

ANNE APPLEBAUM:
Przyjrzyjcie się
własnej historii

KRES MACIEREWICZA
W MON trwa
wielkie sprzątanie

WYGNANE MATKI
Reportaż Marka Rabija
z obozu Rohingów

NUDY Z AMBONY
Grzechy główne
polskich kaznodziejów

Kraków 18 marca 2018 nr 12 (3584)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

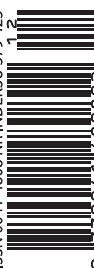
KTO SIĘ BOI SZCZEPIEŃ

Raport przed epidemią

W NUMERZE DODATKI:

- 22. WIELKANOCNY FESTIWAL
LUDWIGA VAN BEETHOVENA
- EUROPEJSKI POETA WOLNOŚCI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy w roku 100-lecia
Odzyskania Niepodległości 1918-2018

STO
LAT

ZAiKS

STO LAT KULTURY

*Od 1918 roku
tworzymy i chronimy*

POSTAW ZAiKS

KS. ADAM

Boniecki: Nie zawsze wystarczy mieć rację

KIEDY NAPISAŁEM: „UFAM LEKARZOM”, DOSTAŁEM (z miłym listem) książkę „Ukryte terapie” Jerzego Zięby, o którym wówczas wyraziłem się niepocholebnie. Książka robi wrażenie: czytelnik niezający się na medycynie z przerażeniem czyta o zagubieniu przez światową medycynę podstawowej wiedzy o chorobach i o złowrogich tego konsekwencjach. Autor na potwierdzenie przytacza mnóstwo informacji o badaniach naukowych, cytując mnóstwo autorów, których nazwiska niewiele mi mówią, ale przecież mogę ich sprawdzić w internecie. Jerzy Zięba pisze tak przekonywająco, że się zaniepokoiłem moim jesiennym szczepieniem przeciwko grypie. Zawsze to robię i nigdy nie zapadam na gripę, lecz konsekwencje...

Przeciw szczepieniom Jerzy Zięba występuje stanowczo, a w szczepieniu dzieci widzi narzędzie zagłady narodu. Prestiż naturoterapeuty zderza się tu z prestiżem lekarzy. W rankingu prestiżu zawód lekarza wciąż zajmuje wysoką, ósmą pozycję (71 proc.), po strażaku (87 proc.) i nauczycielu (74 proc.), a przed rolnikiem na średnim gospodarstwie (69 proc.) i księgowym (63 proc.). Czy to miejsce się utrzyma przy popularności tzw. medycyny naturalnej i powodzeniu „uzdrowicieli”?

Przykładem może być rosnący w siłę ruch antyszczepionkowy, o którym piszemy w tym tygodniu. A komputer? Któż z nas po powrocie od lekarza nie konfrontuje tego, co tam usłyszał, z „doktorem Google”? Do niedawna ciemna masa, dziś się czujemy mądrzy i kompetentni. I trzeba to uznać za fakt zrozumiwały – pacjent, dla którego lekarz ma ze znanych powodów niewiele czasu, może z internetu sporo się dowiedzieć o swojej chorobie i jej leczeniu. Może się też dowiedzieć o szczepieniach, zwłaszcza noworodków i małych dzieci.

Jeśli rodzic przeczyta w internecie obszerny zbiór relacji innych rodziców, którzy opowiadają o powikłaniach poszczepiennych swoich dzieci, nie uspokoją go zapewnienia, że to tylko promil, bo nikt mu nie zagwarantuje, że w tym promilu nie znajdzie się i jego dziecko. Nie przekonają go też odpowiedzi



obrońców szczepień, że „ruchy antyszczepieniowe mają postawę rodem ze średniowiecza” albo że „na-leży ich z tymi obawami odesłać tylko do psychiatrii”. Nie przekona go również argument, że „wszyscy lekarze szczepią swoje dzieci”, no bo jak ma to sprawdzić? Tymczasem słyszy rozsądny, jak się wydaje, wykład o tym, że „od jednego szczepienia do drugiego powinno upłynąć kilka miesięcy, bo organizm dziecka nie jest w żaden sposób przygotowywany na atak szczepionki skojarzonej. W szczególności mózg niemowlęcia nie jest jeszcze do końca rozwinięty, tak że wszystkie obecne w organizmie bakterie i częściowo wysoce trujące nośniki szczepionek, jak np. rtęć (Thiomersal) i jej pochodne, dostają się także do niego. [Wprawdzie] mówimy o najmniejszych dawkach tych trucizn, ale kto jako terapeuta zna poważne uszkodzenia zdrowia, nie zakwalifikuje tych minimalnych ilości trucizny jako dopuszczalnych u małego dziecka”.

Znam lekarkę pracującą w dziecięcym szpitalu zakaźnym. Wiem, że o rodzicach nieszczepiących dzieci myśli jak najgorzej. Cóż, na co dzień ogląda tego skutki. Nie wiem, czy są racje w jakimś stopniu przemawiające na rzecz tych rodziców, którzy np. chcą sprawdzenia, czy ich dziecko znieśli szczepionkę. Wiem jednak, jak dramatyczne są ich obawy i jak źle się czują w bezimiennej masie, której szczepienia są aplikowane taśmowo.

Spór o szczepienia, w którym zrozumiałe emocje idą o lepsze z nauką, pokazuje, że nie zawsze wystarczy mieć rację. By budować tak potrzebny autorytet, lekarz musi nie tylko przekonywać, mówiąc, lecz także słuchać i nie zakładać z góry, że kontestujący to czy tamto na pewno w stu procentach są w błędzie. ©P



ŁUKASZ ŁAMŻA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 14 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

WARSZAWA REKOLEKCJE WIELKOPOSTNE

22–24 marca

czwartek, piątek, godz. 17.30 – nauki

sobota, godz. 10.30 – msza i nauki rekolekcyjne

Prywatne Żeńskie i Męskie Szkoły im. C. Plater-Zyberkówny
(ul. Piękna 24/26)

- Przed naukami będzie możliwość spowiedzi
- Zapisy w sekretariacie szkoły
- Więcej informacji na www.powszech.net/wydarzenia

Msze św. i spowiedź:

MSZE ŚW. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach
(ul. Bonifacego 9, Warszawa), **soboty godz. 18,**

niedziele godz. 8.30.

SPOWIEDŹ – bazylika św. Floriana

(ul. Warszawska 1b, Kraków),

wtorki godz. 18-19.

■ Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem:
kuczminska@tygodnik.com.pl

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Amerykańska awantura
PAWEŁ BRAVO

6-9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

76 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Czas wielkiej demacierewizacji
ANDRZEJ STANKIEWICZ:
W MON trwa wielkie sprzątanie

24 Kogo wychowa katecheta
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*Nowy pomysł MEN może wzniecić
uśpiony spór o religię w szkole*

26 Gabinet oczywistości
PIOTR STANKIEWICZ
o Muzeum II Wojny Światowej

■ ■ WIARA

30 Ambona, która parzy
ARTUR SPORNIĄK: *Grzechy główne
polskiego kaznodziejstwa*

34 Miłosierdzie na Piotrkowskiej
DOROTA BIDZIŃSKA: *Kim jest łódzki
duszpasterz ulicy?*

37 Pojednanie jest możliwe
S. MARIA KRYSZYNA ROTTENBERG

38 Chrześcijanin patrzy na świat
SZYMON HIŻYCKI OSB: *Piąta część
rekolekcji z Ojcami Kościoła*

■ ■ ŚWIAT

40 Utrwalacz władzy dożgonnej
ANNA ŁABUSZEWSKA:
Wybory w Rosji już wkrótce

43 Koniec gazowej epoki
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Zwycięstwo
Ukrainy nad Gazpromem*

44 Za uczciwą Słowację
PATRYCJA BUKALSKA: *Śmierć
dziennikarza uruchomiła lawinę*



■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Raport przed epidemią
ŁUKASZ JACH I ŁUKASZ ŁAMŻA

Lekarstwem na opór przed szczepieniami
mógłby być mądrze skonstruowany przekaz.
Jego adresatów nie można jednak traktować
jak ignorantów.

14 Racje przegrywają z emocjami
ROZMOWA Z RAFAŁEM SZYMCHAKIEM,
KONSULTANTEM KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ
Nie zwyciężymy zasypując oponentów faktami.
Oni nas wywołują na ring, a my wyciągamy
stolik szachowy. Trzeba sięgnąć po ich sposoby.

■ ■ FELIETONY ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER

39 SZYMON HOŁOWNIA

57 ANDRZEJ STASIUK

74 JAN KLATA

75 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCIEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATKI SPECJALNE ■

**22. Wielkanocny Festiwal
Ludwiga van Beethovena**

Europejski Poeta Wolności

Oktadka: grafika PATRYK SROCZYŃSKI

Fotografia: FORUM / MONTAŻ „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

**46 Zespół macierzyństwa
pourazowego**

MAREK RABIJ: *Korespondencja
z Kutupalong, obozu dla Rohingów*

■ ■ HISTORIA

50 Prawda Wielkiego Głodu
ROZMOWA Z ANNE APPLEBAUM:
*Być może obecne kryzysy, polsko-
żydowski i polsko-ukraiński,
sprawiają, że Polacy dokładniej
przyjrzą się własnej historii*

■ ■ NAUKA

54 Gorsza bliźniaczka
ANNA ŁOSIAK: *Powierzchnia
Wenus jest piekłem*

56 Kto nadaje tempo
ŁUKASZ ŁAMŻA: *Czytamy Naturę*

■ ■ KULTURA

64 Życie na wyspach
ADRIAN STACHOWSKI:
*Najważniejszą cechą reportera
jest ciekawość. Małgorzata Szejnert
to jej uosobienie*

68 Szewc bez kopyta
DOROTA KOZIŃSKA: *W operze
coraz częściej grasują analfabeci.
Tym razem ich ofiarą padł Wagner*

70 Kolor Ameryki
JAKUB MAJMUŁEK: *Nowa fala
czarnego kina*

72 Konstelacje bliskości
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Bliiskość” Kantemira Bałagowa

73 Warto zobaczyć w TV

74 Widziane z uniwersytetu
LEKTOR o książce „Za trzecim
razem. Zapisy uniwersyteckie
z lat 1968, 1981 i 1989”

■ ■ ZMYŚŁ

86 Wino, które nie jest sobą
MICHAŁ BARDEŁ o fałszowaniu
i podrabianiu wina

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabi, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Feliety: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotodycja: Edward Augustyn,
Grzyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.


 OBRAZ
TYGODNIA

AMERYKAŃSKA AWANTURA

Jeśli rządzący zachowują się jak dzieci we mgle, ich przeciwnikom tym bardziej przystoi rozsądek w podpowiadaniu drogi wyjścia z kryzysu.

PAWEŁ BRAVO

POLSKI PREZYDENT I PREMIER NIE MAJĄ CO liczyć na spotkania z prezydentem i wiceprezydentem USA, dopóki na miejsce obecnej ustawy o IPN nie pojawi się inna, która uszanuje wrażliwość środowisk żydowskich. Mogą też pojawić się trudności z rozwojem i większym finansowaniem wspólnych projektów obronnych. Do tego sprowadza się sens ostrzeżenia, jakie w lutym wystosowali nieoficjalnie wysocy rangą urzędnicy Departamentu Stanu.

Po ujawnieniu przez Onet notatki, którą polska ambasada sporządziła ze spotkania z nimi (a także analizy, która potwierdzała, iż przy al. Szucha przekaz z Waszyngtonu zrozumiano w ten sposób), wywiązała się publiczna kłótnia. Jej przedmiotem, niestety, nie była ocena realiów współpracy z USA czy nasza zdolność do rozpoznawania interesów i ograniczeń naj-

ważniejszego sojusznika. Więcej dowiedzieć się można było o niedojrzałości i kompleksach, z jakimi do Ameryki podchodzi rodzima klasa polityczna. Z jednej strony przedstawiciele PiS próbowali zaklinać rzeczywistość, obrażając przy tym nasz rozum – zaprzeczali istnieniu dokumentu, po to, by później zapowiadać ukaranie winnych jego ujawnienia, próbowali nie zauważyć, że rzeczniczka Departamentu Stanu w sposób tak jasny, jak to możliwe w dyplomacji, przyznała, iż o żadnych spotkaniach na tzw. najwyższym szczeblu nie ma mowy. O ostrzale propagandowym rządowych mediów, skupionych na piętnowaniu „niemieckiego” portalu, nie ma nawet co wspominać.

Z drugiej strony środowiska władzy niechętnie doznały wzmożenia, w którym trudno nie dostrzec *Schadenfreude*. Mówiono

*Prezydenci
Donald Trump
i Andrzej Duda
w Warszawie,
lipiec 2017 r.*

→ o „sankcjach”, choć nieoficjalne ochłodzenie relacji to daleko słabszy środek nacisku. Owszem: Ameryka wysłała czytelny sygnał, wywarła lekką presję, ale to jeszcze nie katastrofa. Trzeba pamiętać, że jeśli rządzący zachowują się jak dzieci we mgle, ulegając najgorszym nastrojom swego elektoratu, to ich przeciwnikom tym bardziej przystoi rozsądek w podpowiadaniu drogi wyjścia z tego kryzysu.

Andrzej Duda w niedawnym wywiadzie stwierdził, że gdyby prawdą było, iż ustawa

o IPN została uchwalona ekspresowo, by przykryć złe wrażenie po ujawnieniu w jednej z telewizji działań polskich neonazistów, byłaby to „skrajna nieodpowiedzialność, żeby nie powiedzieć: głupota”. W przeciwieństwie do głowy państwa nie musimy się uciekać do trybu warunkowego: tak, to była głupota i nieodpowiedzialność. Ale trudno odczuwać satysfakcję, że nasi partnerzy mówią nam to bez ogródek. Wyjście PiS-u z tej pułapki leży w interesie każdego z nas.

©© PAWEŁ BRAVO

Kiedy Rzeczpospolita mówi: przepraszam



MICHAŁ OKOŃSKI

ŻEBY DOCENIĆ PRZEMÓWIENIE PREZYDENTA RP w 50. rocznicę Marca '68, nie trzeba być wyborcą Andrzeja Dudy – tak jak nie trzeba było być wyborcą Aleksandra Kwaśniewskiego w 2001 r., by docenić słowa, które ówczesny prezydent wygłosił w Jedwabnem. To nie pokorny wykonawca woli prezesa Kaczyńskiego albo człowiek, który przyczynił się do niszczenia niezależnego sądownictwa przepraszał i prosił o wybaczenie ludzi wypędzonych przed półwieczem – robiła to Rzeczpospolita.

W słowach głowy państwa było w zasadzie wszystko, co potrzeba, np. wspomnienie o bohaterach naszej wolności oraz wymienienie w tym kontekście nazwiska Adama Michnika i Karola Modzelewskiego. Stosowna była też perspektywa: człowieka urodzonego na tyle późno, by traktować tamte wydarzenia jako historyczne, i uprawnionego w związku z tym do powiedzenia (ale nie po to, by siłą przeprosin osłabić), że dzisiejsza wolna Polska i jego

pokolenie nie ponosi za Marzec odpowiedzialności.

Bardzo być może (mówił o tym Aleksander Smolar w ubiegłotygodniowym wywiadzie dla „TP”), że poprawność zachowania prezydenta spowodowana była chęcią zminimalizowania szkód wywołanych na arenie międzynarodowej przez ustawę o IPN. Bardzo być może, że było w nim nieco hipokryzji – ale doprawdy nic w tym złego, skoro wedle La Rochefoucaulda hipokryzja to jeszcze jeden hołd dla cnoty. Był zresztą chyba Andrzej Duda autentyczny, gdy dzielił się swoim nagłym odkryciem, że po Marcu wypędzano też tych, którzy wcześniej walczyli o niepodległość, i że gwiazdy Dawida znajdują się także na nagrobkach żołnierzy, którzy bronili Polski w 1920 i 1939 r. Wiedza, że mieszkający tu Żydzi byli i są obywatelami naszego kraju, nie jest z jakichś powodów na prawicy rozpowszechniona – może więc teraz rozpowszechni się trochę bardziej.

©©

Całkowanie szpitali, czyli przyszłość sieci

„PACJENT POWINIEN być prowadzony za rękę od opieki podstawowej, przez specjalistyczną, po szpital” – stwierdził minister zdrowia Łukasz Szumowski, zapowiadając przedstawienie w lipcu propozycji zmian w sieci szpitali. 594 szpitale, które przez gęste sito kwalifikacji weszły do sieci, mają zagwarantowany tzw. ryczałt z NFZ. Reforma – według Konstantego Radziwiłła – „przywracała placówkom misję publiczną”: odtąd szpitale miały już się nie skupiać tylko na najlepiej wycenianych procedurach.

Jak placówki sobie radzą z nowym sposobem rozliczeń? Z niezwykle skomplikowanego wzoru na ryczałt wynika, że aby utrzymać poziom finansowania, placówka musi zmieścić się w widełkach 98–102 proc. wykonania. Cel udało się osiągnąć 40 proc. szpitali. 34 placówkom grozi natomiast drastyczne zmniejszenie finansowania, a nawet likwidacja. Były szef NFZ Andrzej Sośnierz uważa, że w tym systemie pacjent idzie za pieniądzem, a nie odwrotnie – a więc szpitale niechętnie będą się zajmowały przypadkami tzw. kosztochłonnymi. Szumowski zdaje się brać to pod uwagę. Pytanie, czy zmiany uda się zrealizować w ramach radziwiłłowskiej sieci, czy też system czeka kolejna rewolucja.

©© MACIEJ MÜLLER

W SKRÓCIE

MIEDZY PANEM A PLEBANEM. Dla nas nie ma Polski „A”, Polski „B” i „C”. Dla nas jest Polska „od A do Z”, od akceptacji do zwycięstwa dla wszystkich gmin i powiatów – powiedział Mateusz Morawiecki podczas obchodów Dnia Sołtysa w Przysusze. Zdaniem premiera sołtys „musi być jak szeryf bez rewolweru”, ale jednocześnie „jak proboszcz dobry, z dobrym sercem” i jeszcze jak ekspert.

ŚWIĘTO PRAWDA. Być może premier opisywał prezesa PiS, który podczas kolejnych obchodów tzw. miesięcznicy powtórzył, że jesteśmy już blisko prawdy, dodając: „Wiemy na pewno, że to, co zostało ustalone przez komisję Anodiny, powinienem powiedzieć »tzw. komisję« Anodiny i komisję Millera, to nie jest prawda”.

TYS PRAWDA. Są to twierdzenia niemające nic wspólnego z prawdą – skomentował Antoni Macierewicz doniesienia portalu wPolityce.pl o tym, że na przypadającą za miesiąc rocznicę katastrofy nie będzie raportu z prac kierowanej przezeń podkomisji, a części jej członków skończyły się umowy o pracę.

G... PRAWDA. A propos twierdzeń niemających nic wspólnego z prawdą. „Jeżeli ktokolwiek dziś będzie uważał, że rządy PiS w jakimkolwiek stopniu nawiązują do hucpy antyżydowskiej prowadzonej przez aparat partyjny w 1968 r., czyli przez moczarowców, to ja na pewno takiej osobie nie podam ręki” – powiada senator Jan Żaryn. I sam sięga po język moczarowców. „Jeżeli to czyni ambasador obcego państwa, to może trzeba poprosić tę panią, by opuściła to państwo” – mówił o ambasadzie Izraela Annie Azari, która stwierdziła, że przez ostatnie półtora miesiąca dowiedziała się, jak łatwo w Polsce obudzić demony antysemickie.

LICZBA TYGODNIA

126,3

Tyle milionów złotych zebrano podczas tegorocznego finału WOŚP.



AMER ALMOHIBANY / AFP / EAST NEWS

Ghuta bliska upadku, Afrin prawie otoczone

SYRYJSKA ARMIA i jej sojusznicy kontynuują ofensywę na wschodnią Ghutę, 400-tysięczną enklawę pod Damaszkiem, kontrolowaną przez opozycję. Atakującym udało się rozciąć enklawę na trzy izolowane ogniska oporu. Jedną z grup powstańczych zaakceptowała ofertę Asada i opuściła Ghutę wraz z rodzinami, udając się na inne tereny zajęte przez opozycję. Natomiast dwie główne grupy zbrojne odmawiają poddania się. Lekarze bez Granic twierdzą, że w ostatnich tygodniach w enklawie zginęło tysiąc ludzi (na zdjęciu: jedno

z rannych w ataku dzieci). Sytuacja jest fatalna: brakuje żywności, leków, wody. W miniony weekend dotarł tam konwój 13 ciężarówek z pomocą.

Z kolei na północy armia turecka nasila – trwającą od końca stycznia – ofensywę na Afrin, jeden z regionów zajętych przez syryjskich Kurdów. Turcy i ich syryjscy sojusznicy (sunnickie milicje) zajęli część regionu, stoją pod miastem Afrin i zapewne wkrótce je otoczą. Wątpliwe jednak, czy miasto szybko padnie: Kurdowie przerzucają tu posiłki z innych regionów. Źródła kurdyjskie twierdzą, że w enklawie zginęło ok. 200 cywilów. Skutkiem walk o Afrin jest wstrzymanie przez Kurdów działań przeciw resztkom tzw. Państwa Islamskiego. © WP / AFP, DPA, NZZ

Czy rosyjskie służby tropią „zdrajców”

SIERGIEJ SKRIPAL, były pułkownik rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU, został w niedzielę 4 marca znaleziony nieprzytomny na ławce w parku brytyjskiego miasta Salisbury. Scotland Yard sądzi, że został zaatakowany substancją paralityczno-drgawkową. Ofiarą ataku była też jego córka Julia. Oboje walczą w szpitalu o życie (do niedzieli 11 marca wciąż byli nieprzytomni). Brytyjska prasa od początku nie ma wątpliwości, że Skripal padł ofiarą rosyjskich służb i jego przypadek przypomina śmierć Aleksandra Litwinienki, otrutego w Londynie izotopem polonu przez nasłanych z Rosji agentów.

Skripala aresztowano w 2004 r. i skazano na 13 lat za współpracę z brytyjskim wywiadem MI-6. Pracował w wydziale kadr GRU i miał być cennym agentem. W 2010 r. został wymieniony w grupie podobnych jak on skazańców na rosyjskich agentów ujętych w USA. Otrzymał dom w Salisbury, mieszkał tam z rodziną. Jego brat, żona i syn zmarli niedawno; brytyjska prasa spekuluje o okolicznościach ich śmierci.

Prezydent Putin, który przyjął wtedy zdemaskowanych „śpiochów”, mówił, że ich wpadka to efekt działań zdrajców, „a zdrajcy zawsze źle kończą”. Czy właśnie nastąpił odwet?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki:
labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Niemcy o wojnie i przodkach

WIELE NIEMCÓW jest przekonanych, że podczas II wojny światowej ich przodkowie pomogli by ofiarom, a tylko nieliczni widzą ich wśród zbrodniarzy: to wniosek z badań świadomości historycznej społeczeństwa RFN, prowadzonych przez Fundację „Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość” i Uniwersytet Bielefeld. Z sondażu wynika, że 68 proc. uważa, iż Niemcy ponoszą szczególną „moralną odpowiedzialność” za III Rzeszę (neguje to 14 proc.), a 88 proc. sądzi, że wiedza o nazizmie jest konieczna, by przynależeć do Niemiec. Równocześnie, gdy idzie o ich własne rodziny, tylko 18 proc. sądzi, że wśród ich przodków byli oprawcy. Także 18 proc. uważa, że ich przodkowie pomogli by wtedy ofiarom. Zaś 54 proc. twierdzi, że wśród swoich przodków ma ofiary II wojny światowej.

Badania (dostępne na stiftung-evz.de) „Die Zeit” komentuje tak: „Nasza kultura pamięci nie jest wzorem dla świata”. „Berliner Zeitung” pisze, że Niemcy postrzegają się jako naród ofiar i tych, którzy pomagali ofiarom. „Die Welt” przypomina, że w Niemczech w ukryciu przeżyło 5 tys. Żydów, a pomagało im około 10 tys. Niemców. © WP / EPD, ZEIT, BZ, WELT

USA: protest nastolatków

JEDNI NAZYWAJĄ ICH „Pokoleniem Harry’ego Pottera”, inni „Pokoleniem Columbine”: chodzi o generację Amerykanów, którzy urodzili się po masakrze w 1999 r. w Columbine High School w Colorado (sprawca miał potem wielu naśladowców). Od kilku tygodni uczniowie protestują w wielu miejscach USA. Mają dość tego, że pójście do szkoły może być śmiertelnie ryzykowne, i chcą, by ograniczono dostęp do broni. Iskłą zapalną protestów był niedawny atak w Parkland na Florydzie: napastnik, były uczeń, zabił z broni automatycznej 3 nauczycieli i 14 kolegów. Jest pierwsza reakcja: parlament Florydy zaostrzył dostęp do broni (ustawę chce skrzyć stowarzyszenie posiadaczy broni NRA). W międzyczasie do strzelaniny doszło w szkole w Alabamie; zginęła 17-latką. © WP / DPA, RTR

„Nie strzelajcie!”: Waszyngton, 21 lutego 2018 r.



ALEX WONG / GETTY IMAGES

W SKRÓCIE



IAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

**KARDYNAŁ DZIWIŚ
O ANTYSEMITYZMIE.**

„W zalewie nienawiści, manipulowania emocjami i historią próbujemy pokazać, że jedyne, co się liczy, to szacunek dla drugiego człowieka. Dla nas, chrześcijan, to wypełnienie zadania, jakie stawia nam nasz Pan i Mistrz napominając, byśmy dawali świadectwo swej wiary przez to, co czyniliśmy naszym bliźnim, będącym w potrzebie, i umieli rozliczać się z tego, czego im nie uczyniliśmy, w czym ich zawiedliśmy” – powiedział kard. Stanisław Dziwisz podczas Marszu Pamięci, który przeszedł ulicami Krakowa w 75. rocznicę zagłady społeczności żydowskiej.

DZIECI OFIAR REŻIMU. Biskupi Argentyny przekazali sądowi świadectwa chrztów 127 dzieci opozycjonistów zaginionych w latach 1975-84. Dzieci były chrzczone w kaplicy bazy marynarki wojennej, w której prawicowy reżim przetrzymywał blisko 5 tys. osób (większość z nich została zamordowana). Urodzone w bazie dzieci oddawane były do adopcji. Przekazane dokumenty mogą pomóc w ich odnalezieniu przez biologiczne rodziny.

KANONIZACJA PAWŁA VI. Watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin zapowiedział, że kanonizacja Pawła VI odbędzie się na zakończenie Synodu Biskupów o młodości (28 października).

PSYCHOTERAPIA W KOŚCIELE. Z udziałem psychoterapeutów, psychiatrów i teologów odbyła się w Krakowie konferencja naukowa „Psychoterapia osób duchownych i zakonnych”, zorganizowana przez Uniwersytet Papieski Jana Pawła II oraz Akademię Ignatianum. Dyskutowano m.in. temat „Czy psychoterapia niszczy powołanie?”.

O. GRZEGORZ KRAMER:*Bóg jest za darmo*

Zabiera Ksiądz Proboszcz smartfona do konfesjonału?

O. GRZEGORZ KRAMER SJ: Tak. Telefon mam przy sobie niemal non stop.

„Ksiądz nie może zabierać smartfona do konfesjonału, to ateizm praktyczny” – powiedział w ubiegłym tygodniu kard. Mauro Piacenza podczas kursu dla spowiedników.

To, że telefon jest w kieszeni, nie oznacza, że używam go podczas spowiedzi. To, co dzieje się w konfesjonale, jest intymne i bardzo osobiste. Ja i penitent spotykamy się tam z Panem Bogiem. Używanie tam komórki byłoby niedopuszczalne.

A jako penitent mogę robić rachunek sumienia używając smartfona?

Technika pomaga w doświadczeniu wiary, ale nie powinniśmy jej wносить do każdego wydarzenia religijnego, zwłaszcza do sakramentów. Widzę tu różnicę: kiedy jestem w konfesjonale i akurat nie spowiadam, to odmawiam brewiarz albo czytam. Brewiarz w smartfonie jest wygodny i poręczny. Ale gdy pojawia się penitent, odkładam telefon i skupiam się na doświadczeniu spotkania z Bogiem podczas spowiedzi. Bawienie się w tym czasie telefonem

byłoby nadużyciem: coś stałoby się ważniejsze od Boga, który w tym momencie działa.

W ubiegłym tygodniu w Watykanie dyskutowano również o „uiszczaniu opłat za mszę”.

W kancelarii parafialnej często słyszę zdanie: „A ile się należy?”.

I co Ksiądz odpowiada?

Dokładnie to, co powiedział niedawno papież: nic się nie należy, to ofiara, a nie zapłata. Niestety wszyscy mamy z tym problem. Kancelaria parafialna być może wygląda jak urząd, ale nim nie jest: to miejsce spotkania księdza z drugim człowiekiem, gdzie załatwia się sprawy. Tu nie obowiązują zasady jak na poczcie.

Dominikanie piszą na swojej stronie, że „zgodnie z tradycją ofiara za mszę powinna być taką sumą, która pozwoli na utrzymanie kapłana przez jeden dzień”.

Ja nigdy nie mówię o „opłatach” za sprawowanie sakramentów. W ten sposób Kościół przestaje być wspólnotą i zamienia się w urząd, a poza tym sakrament to działanie Boga dla człowieka, a ono zawsze jest za darmo.

© P Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK



MICHAŁ LEPECKI / AG

O. GRZEGORZ KRAMER
jest jezuitą, rekolekcjonistą
i blogerem, proboszczem
parafii jezuickiej w Opolu.



ANDREAS RENTZ / GETTY IMAGES

Karl Lehmann: kardynał-mediator

GDYBY NIE ZOSTAŁ BISKUPEM, pewnie byłby ważnym myślicielem: w końcu gdy w 1968 r. obejmował profesurę, miał 32 lata; początkowo to teologia i filozofia były jego światem. Tymczasem już cztery lata po nominacji biskupiej, w 1987 r., wybrano go też na przewodniczącego niemieckiego Episkopatu. Będąc nim przez 20 lat, stał się jedną z głównych postaci dla tamtejszych katolików. W trudnej roli mediatora integrował w Kościele różne środowiska i wrażliwości (konserwatywne, liberalne) w czasach napięć, także między Niemcami i Watykanem.

Gdy w 2001 r. został w końcu kardynałem (Jan Paweł II długo opóźniał tę nominację), „TP” pisał: „Kieruje niemieckim Kościołem między dwiema pułapkami: akcentowaniem Tradycji skierowanym zbyt mocno wstecz a niebezpieczeństwami nierozsądnych reform”.

Był sympatykiem kard. Bergoglia już na konklawe w 2005 r. Zapewne satysfakcją był dlań fakt, iż w dokumencie „*Amoris laetitia*” papież zrealizował – gdy idzie o duszpasterstwo rozwiedzionych – wiele z tego, co Lehmann postulował od lat.

Karl Lehmann zmarł 11 marca 2018 r.

© P WOJCIECH PIĘCIAK

Więcej na: powszech.net/lehmann



YOUTUBE

Nagroda Herberta

POETKA IRLANDZKA Nuala Ní Dhomhnaill (ur. 1952) została laureatką Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej im. Zbigniewa Herberta. Píše w języku irlandzkim, mającym wielką tradycję, ale niewielki dziś zasięg; na angielski tłumaczyli ją inni wybitni poeci jej kraju, jak Paul Muldoon i noblista Seamus Heaney. Sięga do

mitologii celtyckiej i do tematyki współczesnej, w tym feministycznej. Polskie przekłady znaleźć można w antologii Jerzego Jarniewicza „Sześć poetek irlandzkich”. Nagrodę Herberta otrzymali dotąd Charles Simic, W.S. Merwin, Ryszard Krynicki, Lars Gustafsson i piszący w afrikaans Breyten Breytenbach. W skład jury wchodzi Jurij Andruchowycz, Edward Hirsch, Michael Krüger, Mercedes Monmany i Tomasz Różycki; sekretarzem jury jest Andrzej Franaszek. © ©



ASAHI SHIMBUN / GETTY IMAGES

Arktyczna bomba

WIECZNA ZMARZLINA zaczyna topnieć i uwalnia do atmosfery gazy, które jeszcze bardziej napędzają globalne ocieplenie. Według najnowszych badań NASA, opublikowanych w ubiegłym tygodniu, w zmarzlinie znajduje się dwukrotnie więcej związków węgla, niż ludzkość wyemitowała od początku rewolucji przemysłowej. Szczyt emisji nadejdzie za 40-60 lat. Paradoksalnie,

najwięcej gazów cieplarnianych wyprodukuje bardziej zamrożona zmarzlina na północy Arktyki. Ta w jej południowej części topnieje szybciej, ale jej emisje są na razie pochłaniane przez roślinność, szybko podbijającą te już nie tak mroźne rejony. CO₂ i metan, które emituje topniejąca zmarzlina, to pozostałości zwierząt i roślin, które były zamrożone pod ziemią przez tysiące lat. Wraz z topnieniem zmarzliny rozpoczyna się proces ich rozkładu.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nic nowego w pamięci

HIPOKAMP, STRUKTURA MÓZGU zaangażowana m.in. w pamięć i uczenie się, u dorosłych przestaje tworzyć neurony – donoszą Shawn Sorrells i współpracownicy na łamach „Nature”. Już po pierwszym roku życia tempo powstawania nowych neuronów drastycznie spada. To zła wiadomość m.in. dla osób cierpiących np. na chorobę Alzheimera, ponieważ wzmożona neurogenезa mogłaby kompensować ubytek neuronów związany z postępem choroby.

Od około dwóch dekad uważano, że neurogenезa w hipokampie trwa przez całe życie, choć jej tempo zależy od wieku i stopnia aktywności fizycznej. Sorrells i współpracownicy przebadali próbki, które pobrano od pacjentów cierpiących na padaczkę.



EAST NEWS

kę. Niektórzy twierdzą, że wynik nie jest rozstrzygający, ponieważ mogły na niego wpłynąć niebrane pod uwagę okoliczności – np. to, że dorośli pacjenci mogli cierpieć na depresję albo być przykuci do łóżek.

© © ŁK

Koszty kultury

SZYMPANSY ŻYJĄCE w Parku Narodowym Tai, leżącym w Wybrzeżu Kości Słoniowej, rozłupują skorupki orzechów za pomocą kamiennych lub drewnianych narzędzi – te pierwsze gwarantują większą wydajność.

Odmienne techniki stosowane są nawet przez sąsiednie społeczności. Zespół Christophe'a Boescha przeanalizował na łamach „Animal Behavior” skuteczność różnych technik i zachowanie młodych samic, przenoszących się do którejś z sąsiednich grup. Jak się okazuje, dostosowują się one do obowiązującej w niej techniki, nawet jeśli jest ona mniej wydajna od tej opanowanej przez samicę wcześniej. To pokazuje, że kultura u szympanów może rozprzestrzeniać się podobnie jak u ludzi.

© © ŁK

RAPORT PRZED EPIDEMIA

Lekarstwem na opór przed szczepieniami
mógłby być mądrze skonstruowany przekaz.
Jego adresatów nie można jednak traktować jak ignorantów.

TEKST ŁUKASZ JACH, ŁUKASZ ŁAMŻA
ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

To, co dzieje się obecnie w Polsce – spadek liczby osób zaszczepionych, zalew publicznie wyrażanych wątpliwości odnośnie do szczepień powszechnych, głosy niepokoju na temat niepożądanych odczynów poszczepiennych (NOP-ów), słowem: „ruch antyszczepionkowy” – nie jest niczym nowym. Ani niezrozumiałym. Nie świadczy też o żadnej patologii społecznej. To element naturalnego „cyklu antyszczepionkowego”, znanego od przynajmniej 150 lat, mającego swoje przyczyny, przebieg i konsekwencje. W tym sensie zjawisko to przypomina epidemię, którą można spokojnie i systematycznie zarządzać.

Najpierw trzeba się jednak wyzbyc paru uprzedzeń. Przede wszystkim: nie traktować „antyszczepionkowców” jak reprezentantów tajemniczej, bezmyślnej, złośliwej rasy, która dokonuje inwazji na zdrowe i mądre społeczeństwo. Zarówno osoby sceptyczne wobec szczepień, jak i ludzie szczepiący dzieci zgodnie z kalendarzem, mają swoje powody, motywacje i system wartości, które wpływają na podejmowane przez nich decyzje. Nie ma żadnych dowodów na to, że nieszczepienie wynika na przykład z niższej inteligencji, zaś osoby szczepiące dzieci podjęły przemyślaną decyzję opartą na rzetelnej wiedzy medycznej. Nie powinniśmy szufladkować ludzi, odpowiednio, „proszczepionkowych” i „antyszczepionkowych”, według prostej dychotomii „mądrzy-głupi” albo „wiedzący-niewiedzący”.

Istnieją liczne doniesienia pokazujące, że za niechęcią wobec obowiązkowych szczepień dzieci kryją się naturalne cechy ludzkiego umysłu. Jedno z takich badań przedstawiamy w tym artykule.

Choroba szwedzka

Zacznijmy jednak od lekcji historii. Pod koniec XVIII w. szczepienie przeciwko czarnej ospie zawędrowało do Skandynawii. W 1754 r. szwedzka Rada Zdrowia zleciła przetłumaczenie na język szwedzki francuskich badań nad skutecznością szczepień, a w 1766 r. zaleciła utworzenie w Sztokholmie „centrum szczepień”. Od 1801 r. państwo szwedzkie finansowało szczepienie przeciwko czarnej ospie. W 1816 r. pojawiło się pierwsze prawo nakazujące szczepić dzieci, a w 1853 r. zastrzeżono przepisy – przykładowo, szkoły nie mogły przyjmować niezaszczepionych dzieci, a dziecko opuszczające sierociniec musiało posiadać świadectwo szczepie-

nia. Dane statystyczne pokazują spektakularny spadek zachorowań od początku XIX w. W latach 60. XIX w. niemal 80 proc. Szwedów było zaszczepionych przeciwko ospie.

Od lat 50. i 60. XIX w., zwłaszcza w Sztokholmie, odsetek zaszczepionych zaczął jednak spadać i w 1872 r. Rada Zdrowia oszacowała, że wynosi zaledwie ok. 45 proc. Jedną z przyczyn był coraz głośniejszy ruch antyszczepionkowy. W 1861 r. dr N.L. Andersson, w raporcie napisanym po epidemii czarnej ospy w Kristianstad, odnotował dwie przyczyny opozycji wobec szczepień: medyczne i ideologiczne. Z jednej strony podnoszono niepełną skuteczność (część osób zaszczepionych i tak chorowała; konieczne były doszczepienia itd.), a z drugiej – niektórzy interpretowali chorobę jako karę boską, przez co szczepienie równało się „blokowaniu” boskiego planu. Odnotowano m.in., że cała społeczność baptystów w parafii Holm konsekwentnie odmawia szczepienia swoich dzieci.

Reakcją środowiska lekarskiego było zintensyfikowanie wysiłków. W 1872 r. pierwszy lekarz Sztokholmu, dr C.A. Grähs, ogłosił, że konieczne może być przymusowe doprowadzanie dzieci na szczepionki za pośrednictwem „policji zdrowotnej”. Skutkiem – co warto odnotować – był tym ostrzejszy sprzeciw środowisk antyszczepionkowych i tej czę-

ści społeczności medycznej, która była sceptyczna wobec ostrego planu Grähsa. W ten sposób po stronie „przeciw” mimowolnie znalazła się część środowiska lekarskiego.

I wtedy przyszła epidemia. O ile w typowym, spokojnym roku w Sztokholmie w wyniku czarnej ospy ginęło kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt osób, w 1874 r. odnotowano 1191 zgonów – niemal 20 proc. wszystkich przypadków śmierci w tym roku. Z wielkim trudem epidemię udało się zażegnać i w niedługim czasie, bez żadnego przymusu, liczba osób zaszczepionych wzrosła. W 1875 r. było tylko 20 przypadków śmiertelnych, w 1876 r. – trzy. Rok 1880 stanowił pierwszy w zarejestrowanej historii medycznej, kiedy w Sztokholmie nikt nie umarł w wyniku czarnej ospy. Dziś – przypomnijmy – choroba ta ma status eradykowanej, czyli nie występuje w ludzkiej populacji.

Jeszcze garść przykładów. W 1974 r. ukazał się w Wielkiej Brytanii raport na temat negatywnych reakcji po szczepionce na krztusiec. Wskaźnik zaszczepień spadł i na przełomie lat 70. i 80. liczba zachorowań – również zakończonych śmiercią – wielokrotnie wzrosła. Bezpośrednio później wskaźnik zaszczepień wzrósł, a liczba chorych spadła. Analogiczna sytuacja wystąpiła w Japonii, również w odniesieniu do krztuśca. Po wielu dekadach z minimalną liczbą zachorowań rozgorzała debata publiczna na temat negatywnych odczynów poszczepiennych i w ciągu zaledwie dwóch lat (1974-76) wskaźnik zaszczepień noworodków spadł z 80 proc. do 10 proc. W 1979 r. wystąpiła epidemia krztuśca; zachorowało 13 tys. dzieci, 41 zmarło. W 1981 r. Japończycy wprowadzili nową acelularną (bezkomórkową) szczepionkę na krztusiec i liczba zachorowań spadła do poziomu sprzed „epidemii antyszczepionkowej”. Analiza podobnych przypadków, również z Rosji czy Australii, potwierdza ogólny, dość smutny wzorec: dopiero epidemia przerywa „cykl antyszczepionkowy”.

Psychologia strzykawki i igły

Zauważmy, że sednem całej tej historii, a zarazem słabym ogniwem programu powszechnych szczepień jest „czynnik ludzki”, czyli, mówiąc nieco precyzyjniej, ludzka psychika. Co właściwie sprawia, że szczepimy – lub nie?

Abym odpowiedzieć na to pytanie, sięgnęliśmy do literatury psychologicznej, →



→ ale także do wstępnych, nieopublikowanych jeszcze wyników badań prowadzonych w Katedrze Psychologii Zdrowia i Jakości Życia Uniwersytetu Śląskiego. Magistrantka jednego z nas [Łukasza Jacha – red.] – Olga Pabian – prowadzi od dłuższego czasu szerokie badania z udziałem polskich „anty-” i „proszczepionkowców”. Przygotowane przez nią kwestionariusze psychologiczne wypełniło prawie 400 osób, co pozwoliło na wgląd w motywacje i wartości mogące leżeć u podstaw decyzji o szczepieniu. Podstawowym celem było wejście w „psychologię szczepienia”, wykraczającą poza potoczną diagnozę („ci, którzy wiedzą – szczepią, a ci, którzy nie wiedzą – nie szczepią”). Uczestnicy badania nie byli więc pytani o to, czy rzeczywiście szczepią (tego typu pytania są mało wiarygodne) – sprawdzano głównie stopień „sympatii” bądź „antypatii” do szczepionek oraz związanych z tym postaw i wartości.

Niektóre wyniki były łatwe do przewidywania: przykładowo, osoby sceptyczne wobec szczepień czuły się bardziej odpowiedzialne za zdrowie swoje oraz bliskich i częściej były skłonne uznawać, że są w stanie uniknąć choroby, jeśli tylko będą o siebie odpowiednio dbać. Zwolennicy szczepień byli z kolei bardziej skłonni zawierzać swoje zdrowie innym i w większym stopniu zgadzali się z tym, że pielęgnowanie zdrowia wymaga konsultacji z lekarzami. Dalej: osoby wykazujące szczepionkowy sceptycyzm niechętnie przyznają, że za ich stan zdrowia mógłby do pewnego stopnia odpowiadać czysty zbieg okoliczności. Ma to psychologiczny sens: jeżeli wierzę, że to w moich rękach spoczywa odpowiedzialność za moje zdrowie, a rola lekarzy i czynników przypadkowych jest niewielka, po cóż mam się szczepić? Co gorsza, przekonanie to bywa rozciągane na innych. Podnoszony często argument, że nieszczepienie swojego dziecka jest narażaniem innych dzieci, trafia w próżnię, jeśli mówimy do osoby, która odpowie: „Trzeba było dbać o swoje dziecko” oraz „Jeżeli twoje dziecko choruje, wina leży po twojej stronie”.

Mogłoby się wydawać, że nastawienie antyszczepionkowe wiąże się z brakiem szacunku dla zdrowia i skłonnością do ryzykanctwa. Na poziomie psychologicznym jest odwrotnie: badani antyszczepionkowcy wykazywali się silniejszym od proszczepionkowców przekonaniem, że szczęście człowieka jest uzależnione od

stanu zdrowia, np. częściej zgadzając się ze zdaniem, że „gdy człowiek jest chory, to jest nieszczęśliwy”, a także silniejszym przywiązaniem do wartości, którą określa się jako „bezpieczeństwo osobiste”. O parametrze tym świadczy choćby odpowiedź na pytanie, czy jest „ważne, aby unikać chorób i chronić swoje zdrowie”.

Co nam siedzi w głowach?

Wyniki te nie są bynajmniej paradoksalne, a pierwszą sprawą, którą należy wyjaśnić, jest ubóstwo znaczeniowe samego słowa „antyszczepionkowiec”. Nie kryje się za nim żaden określony profil psychologiczny, np. „zatwardziałego sceptyka” wierzącego w mity i wyznającego teorie spiskowe. W rzeczywistości jedynie część badanych twierdziła, że wierzy w związki między szczepionkami i autyzmem albo

Nie traktujmy antyszczepionkowców

jak reprezentantów
bezmądrzej, złośliwej rasy.

Osoby sceptyczne wobec
szczepień mają swoje powody,
motywacje i system wartości.



obecność w szczepionkach fragmentów płodów poaborcyjnych. W przeprowadzonym badaniu obok grupy „antyszczepionkowców spiskowych” pojawiły się osoby silnie lub umiarkowanie sceptyczne wobec bezpieczeństwa i procedury szczepienia. Ba, 13 proc. badanych lokuowało się „pośrodku skali”, łącząc wiarę w skuteczność i konieczność szczepień z różnego rodzaju wątpliwościami. Szczególnie istotny jest w tym kontekście problem niepożądanego odczynu poszczepiennych (tzw. NOP-ów), ale też samej procedury szczepienia.

Potwierdzają to badania przeprowadzane na reprezentatywnych próbach Polaków. W 2017 r. CBOS zadał im szereg pytań na tematy związane ze szczepieniami. Tylko 5 proc. badanych wyraźnie zgodziło się z tezą, że szczepionki mogą wywoływać „poważne zaburzenia rozwojowe” dzieci. Odsetek osób uważających, że szczepionki są promowane głównie w interesie koncernów farmaceutycznych, spadł o 9 proc. względem poprzedniego badania (z 40 do 31 proc.), przeprowadzonego w 2013 r. Mówiąc ogólniej: poziom pozytywnych postaw wobec szczepionek wzrósł w ciągu tych czterech lat. Przykładowo, ze zdaniem „Ogólnie rzecz biorąc, szczepienie dzieci powoduje więcej dobrego niż złego” w 2013 r. zgodziło się 79 proc. ankietowanych, a w 2017 r. – 85 proc.

Dlaczego więc rośnie liczba osób nie-szczepiących dzieci? Zauważmy, że w okresie 2013-17 zwiększyła się grupa Polaków wyrażająca niepokój wobec łagodniej zdefiniowanych „skutków ubocznych i powikłań”. Nie wygląda więc na to, by rósł poziom ogólnej niewiedzy na temat skuteczności czy konieczności szczepionek – badani przez CBOS wręcz coraz częściej i bardziej stanowczo potwierdzają konsensus naukowy. Rośnie natomiast poziom wątpliwości czy też, mówiąc z przymrużeniem oka, „grymaszenia”.

Zauważmy: ryzyko choroby jest odległe i mało znane. Ilu młodych rodziców widziało na własne oczy dziecko chore na krztusiec? W ubiegłym roku zarejestrowano w Polsce 3045 przypadków tej choroby – nie jest ona zatem czymś powszechnym (coż – właśnie dzięki szczepionkom...). Łatwo więc zbagatelizować odległą ewentualność, zwłaszcza w obliczu bezpośredniej konieczności narażenia dziecka na ból i stres związany z wkłuciem igły, a także ryzyko NOP-ów.

Psycholog Jonathan Haidt zidentyfikował „moduły” stojące u podstaw ludzkiej moralności. Jednym z nich jest moduł „krzywdy-troska”. Zgodnie z tą koncepcją u samego korzenia bycia istotą moralną jest wrodzona niechęć do wywoływania bólu („krzywda”) i skłonność do działań opiekuńczych („troska”). Co ciekawe, jedno z pytań, jakim Haidt sprawdza, na ile silny jest ów moduł u danej osoby, dotyczy hipotetycznej sytuacji... „wbicia sterylnej igły w dziecięce ramię”.

Nie oznacza to oczywiście, że rodzic przeprowadzający dziecko na obowiązkowe szczepienie jest niemoralny, ale raczej, że podejmując decyzję o zaszczepieniu dziecka, w pewnym sensie musi działać „pod prąd” instynktownemu odruchowi. Haidt twierdzi, że siła tego odruchu jest różna u różnych osób. Widok płaczącego noworodka jest czymś bliskim, konkretnym. Krztusiec – dla większości z nas – abstrakcją. Mogłoby to tłumaczyć, dlaczego skłonność do szczepień spada wraz z odstępem czasowym od ostatniej epidemii. Dopiero ona dobitnie uświadamia społeczeństwu, że krztusiec to coś więcej niż „przelotny kaszelek” – chorobę tę nazywano niegdyś „studniowym kaszlem”, ponieważ może trwać wiele miesięcy, a w ostrych przypadkach kaszel bywa tak silny, że powoduje pęknięcie żeber.

Dla przeciętnego tokijczyka w 1978 r. (albo warszawiaka w 2018 r.) „krzywda” związana z atakiem krztuśca jest czymś nieznanym, hipotetycznym, odległym. Pamiętamy też, że wielu z nas żyje w przekonaniu o osobistej „mocy sprawczej” – to ja decyduję o swoim zdrowiu. Ergo: jeśli będę ostrożny i mądry, choroba mnie nie spotka.

Przechodzimy w ten sposób do kolejnej kwestii: życia w kulturze indywidualizmu. Współcześnie jesteśmy na każdym kroku utwierdzani w przekonaniu o własnej wolności i możliwości samostanowienia – w dziedzinach religii, edukacji, wykonywanej pracy czy sposobów spędzania wolnego czasu. Życie to dla nas rodzaj indywidualnego projektu, dzieła realizowanego poprzez serię wyborów będących nie tylko narzędziem ekspresji, ale wręcz obowiązkiem nowoczesnego człowieka. Przenoszenie decyzji na innych stanowi zaś wyraz rezygnacji z wolności, bo ostateczny wybór w dowolnej sprawie – od składu najbliższego posiłku, przez metodę leczenia stomatologicznego czy środka antykonceptyjnego, po sposób pochówku

– należeć ma do jednostki. Nie powinno dziwić, że osoby przyzwyczajone do możliwości czy wręcz konieczności wybierania zaczynają czuć się nieswojo w sytuacji, gdy rozwiązanie jest im narzucane.

Mała krzywda

Czy oznacza to, że mamy po prostu czekać na epidemię? Cóż, jeśli sądzić po „typowym przebiegu” krzywej rozwoju ruchu antyszczepionkowego, można by tak rzeczywiście uznać. Epidemia przypomina o dwóch ważnych cechach choroby, którymi odpowiadają dwie ważne cechy ludzkiej psychiki. Po pierwsze, choroba spada na nas z zewnątrz i przypadkowo, godząc w głęboko zakorzenione (szczególnie silnie w osobach o skłonności antyszczepionkowej) przekonanie o samostanowieniu i osobistej odpowiedzialności za zdro-

Ryzyko choroby jest odległe.

Łatwo je zbagatelizować w obliczu narażenia dziecka na ból i stres oraz ryzyko niepożądanych odczynów poszczepiennych.



wie swoje i dzieci. Po drugie, jest czymś poważnym, potencjalnie śmiertelnym, co umieszcza w zupełnie innej perspektywie natychmiastowy „koszt” szczepienia, jakim jest ból i dyskomfort dziecka, ale też zawsze istniejące ryzyko NOP-ów. W obliczu epidemii łatwiej przekonać samego siebie, że wyrządzenie „małej krzywdy” zdrowemu dziecku jest w istocie działaniem na rzecz zdrowia.

Lekarstwem na skłonności antyszczepionkowe nie musi być jednak epidemia. Być może mógłby nim być mądrze skonstruowany przekaz. Jego fundament nie może być jednak potoczny, kreskówkowy obraz „antyszczepionkowca”. Obok prawidłowości opisanych wyżej można by wspomnieć choćby o tym, że osoby o skłonności antyszczepionkowej mają znacznie mniejsze zaufanie do autorytetu nauki i osoby lekarza. Ponadto źródłem problemu często nie jest poziom faktów, lecz wartości. Komunikat kierowany ze strony „profesora epidemiologii”, który zapewnia o skuteczności szczepień, jest z góry skazany na porażkę. Osoba niechętna wobec szczepień nie tylko ma inne autorytety, ale ponadto może być doskonale poinformowana na temat skuteczności szczepień.

Można oczywiście zapytać, czy powyższy akapit nie jest czysto akademickim rozważaniem, na podstawie którego nie da się skonstruować kampanii informacyjnej. Tak, to niewykluczone. Z drugiej strony opracowanie szczepionki na czarną ośpę też mogło się kiedyś wydawać niemożliwe. Być może istnieje „lekarstwo na antyszczepionkowść”, ale aby je opracować, trzeba zacząć od bezstronnego potraktowania skłonności antyszczepionkowych jako naturalnej, powszechnie występującej na świecie, mającej swój korzeń w typowych cechach ludzkiej psychiki reakcji społeczeństwa na... spadek zachorowań na choroby zakaźne. ©

ŁUKASZ JACH, ŁUKASZ ŁAMŹA

ŁUKASZ JACH jest psychologiem, pracownikiem Zakładu Psychologii Zdrowia i Jakości Życia Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Ojciec dwójki zaszczepionych dzieci (3 i 6 lat).

ŁUKASZ ŁAMŹA jest filozofem i popularyzatorem nauki, pracownikiem Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, redaktorem „TP”. Ojciec dwójki zaszczepionych dzieci (4 i 6 lat).

Racje przegrywają z emocjami

RAFAŁ SZYMCZAK, KONSULTANT KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ:

Nie zwyciężymy, zasypując oponentów faktami. Oni nas wywołują na ring, a my wyciągamy stolik szachowy. Trzeba sięgnąć po ich sposoby.

MACIEJ MÜLLER: „Zaszczep, zaszczep swoje dzieci / jeszcze dziś idź do pediatry, on szczepionkę ci poleci” – rapuje niejaki Gisu, *alter ego* szefa Głównego Inspektoratu Sanitarnego Marka Posobkiewicza, w reakcji na antyszczepionkowe wypowiedzi postać Liroya. Dobry pomysł?

RAFAŁ SZYMCZAK: Wszelkie emocjonalne przekazy w dialogu z antyszczepionkowcami, którzy świetnie posługują się takimi narzędziami, są wartościowe. Po humor też warto sięgać. Przypominam sobie spot o szczepieniach nakręcony przez lekarzy – z jednej strony merytoryczny, z drugiej emocjonalny i zabawny choćby przez to, że bohaterowie demonstrowali swoją złość, używając wulgaryzmów. Niemniej trzeba uważać, żeby coś, co ma być zabawne, nie stało się ośmieszające.

Weźmy poważniejszy przykład: na początku sezonu grypowego przed kamerami nawzajem zaszczepili się politycy-lekarze: ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł i marszałek Senatu Stanisław Karczewski.

Świetny pomysł, coś jak inżynierowie, którzy stają pod wybudowanym przez siebie mostem. Zachęcamy innych, ale sami też się szczepimy. Przekonujemy, że ryzyko jest minimalne, jesteśmy tego pewni i gotowi to zademonstrować.

O co w ogóle chodzi w pozytywnej propagandzie na temat szczepień? Czy nie o przekonanie ludzi do zachowań, których woleliby nie podejmować?

Wyróżniłbym trzy czynniki wpływające na postawę antyszczepionkową. Pierwszy to chęć oszczędzenia własnemu dziecku cierpienia. Drugi to postawa libe-

ralna – mam prawo wyboru i nikt nie będzie mi go zabierał. Trzeci to powszechna utrata zaufania do elit, w tym przypadku medycznych i naukowych. Pierwszy problem jest właściwie nierozwiązywalny: dwójka moich dzieci też płakała przy szczepieniach i wiem, co wtedy czuje rodzic. Racjonalny przekaz, że chronię je przed czymś znacznie groźniejszym, nie działa na te emocje.

Komunikaty proszczepionkowe posługują się na ogół językiem bardzo racjonalnym.

A racja z emocją nie wygra. Ktoś, kto się boi o dziecko, znajdzie z miejsca tysiąc kontrargumentów. Dlatego trzeba przestać mówić z piedestału nauki, która jest z natury racjonalna i z emocjami kiepsko sobie radzi. Ten spór nie odbywa się zresztą na osi wiedza–niewiedza.

W USA głośno było swego czasu o talk-show na temat szczepionek i autyzmu, w którym pierwszy uczestnik przedstawiał tabele, dowody i statystyki obalające twierdzenia o ich związku. Po nim wystąpiła niejaka Jenny McCarthy, która pokazała swojego synka z autyzmem i powiedziała: to jest mój materiał dowodowy. Posprzątań.

To typowy sposób działania Jenny McCarthy, byłej modelki „Playboya”, ikony ruchu antyszczepionkowego w USA. Dla opinii publicznej jest wiarygodna, ponieważ jest znana. Wygrała debatę, posługując się emocjonalną manipulacją. Dlatego właśnie nie zwyciężymy, zasypując oponentów faktami. Trzeba raczej sięgnąć po ich sposoby. A zaatakować trzeba przede wszystkim ów argument wolnościowy. Powiedzieć: OK, możecie

podejmować wolne decyzje dotyczące siebie, a nawet swoich dzieci. Ale decydując się na nieszczepienie, dokonujecie wyboru także za inne dzieci i ich rodziców. W sieci krąży film dotyczący szczepienia przeciw krztuścowi. Na tę chorobę szczepi się w czwartym miesiącu życia, wcześniej dziecko nie jest chronione. Film nakręcili rodzice, których dzieci w tym okresie zetknęły się – np. w poczekalni przed gabinetem – z kimś chorym na krztusiec. Dla niemowlęcia taka infekcja oznacza śmierć w cierpieniach. Te dzieci umarły, bo ktoś inny podjął decyzję o nieszczepieniu.

Strasznie agresywny przekaz. Właściwie szantaż.

Nikogo nie powinno się zachęcać do opowiadania przed kamerą o śmierci dziecka. Należałoby to zrobić subtelniej, ale uderzając w argument o wolności osobistej. Stawka jest przecież wielka. Grupa ludzi o obniżonej odporności jest sporo: to np. osoby ze stwardnieniem rozsianym czy dzieci po chemioterapii. Ospa, grypa czy świnka to dla nich zagrożenie życia. Nie chcę, żeby moje dziecko było w niebezpieczeństwie przez to, że ktoś podjął decyzję o nieszczepieniu. Nie interesuje mnie, dlaczego robi krzywdę swojemu dziecku: interesuje mnie, że robi krzywdę mojemu.

Ten silnie emocjonalny przekaz, obok którego nie da się przejść obojętnie, jest niezbędny do tego, żeby zdobyć zainteresowanie i wsparcie ludzi niezaangażowanych, nieprzeżywających dylematów związanych ze szczepieniami.

Niezależnie od tego można działać na innym gruncie, np. żądając rozwiązań prawnych, które zablokują dostęp do publicznych przedszkoli i szkół dzieciom nieszczepionym. Tak jest np. w Australii, a przymiarki były też w kilku miastach polskich. Jeżeli moje dziecko przed wyjazdem na kolonię musi dostarczyć zaświadczenie, że nie ma wszy, to dlaczego nie zbiera się podobnych dokumentów dotyczących szczepień?

Czyli sugerowałby Pan, żeby w przekazie publicznym odwoływać się do argumentów dotyczących zdrowia publicznego?

Absolutnie nie używajmy takich sformułowań! Pokażujmy konkretne przypadki. Widziałem w amerykańskiej prasie ciekawą kampanię proszczepionkową. Całostronicowy obrazek przedstawiał cza-

rownicę, wampira albo wilkołaka z pytaniem: „Czy twoje dziecko się tego boi?”. Odwracając kartkę, trafiło się na hasło: „A powinno się bać zarazków, przed którymi jednak możesz je ochronić szczepionkami”. To gra na emocjach i odwołanie się do indywidualnych doświadczeń. Indywidualny wymiar przekazu jest o tyle ważny, że argument wolnościowy też ma taki charakter. W ten sposób wchodzimy na ten sam poziom dyskursu.



ARCHIWUM PRYWATNE

RAFAŁ SZYMCHAK jest konsultantem komunikacji społecznej, współnikiem w agencji Profile, współtwórcą ruchu Obywatele Nauki.

na takich ludzi trochę nieufnie: lekarze lubią swoją działkę traktować jak wiedzę tajemną.

Zauważyłem, że kiedy zadaję lekarzowi trudne pytanie, on z automatu przechodzi na slang medyczny. Tracę możliwość podjęcia polemiki. On ma kompetencje, ja nie – i on to wykorzystuje. Podobnie się dzieje, kiedy pacjent wkracza do gabinetu z plikiem wydruków z internetu i wyjaśnia lekarzowi, na co choruje i jak należy go leczyć. Ten odruch prowadzenia własnych poszukiwań też wynika swoją drogą z zaniku zaufania do ekspertów. Ale to pole dla lekarza, żeby wejść z tym człowiekiem w dialog.

Kto powinien mówić w przekazie proszczepionkowym: lekarz, przedstawiciel rządu, pracownik koncernu, pacjent?

Będę się upierał przy rodzicach dzieci, których życie jest zagrożone tym, że inni się nie szczepią. Ich słowa będą wiarygodne, w dodatku nasycone lękiem, złością i frustracją, które przeżywają. To zabieg podobny do tego, który zastosowała McCarthy: pokazujemy dziecko. Kiedy mówimy o dzieciach, które wciąż ocierają się o śmierć, emocje – współczucie, współcierpienie – są tak silne, że to zamyka dyskusję.

Są też historie działaczy antyszczepionkowych, których dzieci umarły na którąś z chorób, przeciw którym się szczepi. We Włoszech czy w Hiszpanii głośne były wystąpienia telewizyjne takich ludzi, którzy powiedzieli: zrobiliśmy krzywdę swoim dzieciom. Wpływ takiego świadectwa na świadomość publiczną jest olbrzymi. To też odpowiedź na argument chronienia swojego dziecka.

Porozmawiajmy o narzędziach. Można odnieść wrażenie, że z jednej strony mamy ulotki i plakaty, a z drugiej posty facebookowe i memy.

Ktoś nas wywołuje na ring, a my go zapraszamy do stolika szachowego... Komunikacja przeniosła się już do internetu, szczególnie ta emocjonalna, a w sieci wszystko wolno. Znam profile facebookowe, na moje oko dofinansowywane przez koncerny, bo są tak aktywne, że nie mogliby tego robić sami działacze proszczepionkowi. Wykonują dobrą robotę, bo nie tylko pokazują statystyki, ale posługują się prostymi przekazami emocjonalnymi.

Wydaje się, że więcej lęku niż ukłucie igłą wywołują tzw. niepożądane odczyny poszczepienne. Rodzice boją się nie tyle zacerwienia skóry czy kaszlu, ile mitów dotyczących zmian neurologicznych, autyzmu. A NOP-y są faktem: występują rzadko, ale jednak. Jak dyskutować z tym argumentem?

Niepożądane odczyny dotyczą wszystkich leków, a w przypadku szczepionek ich występowanie jest statystycznie najniższe. Tak więc mamy dyskurs wiedzy z przesądem. Jednocześnie mamy do czynienia z lękiem, jeśli więc zaczniemy podawać twarde dane i dowodzić, że badania na temat powiązania szczepień z autyzmem były fałszerstwem – to przegramy sprawę. I tu zatem wykorzystajmy argument o tym, że nieszczepione dziecko stanowi zagrożenie dla życia innego dziecka. To rodzi emocje, a my mamy wtedy w ręce podobne narzędzie jak antyszczepionkowcy.

Na to można łatwo odpowiedzieć: czemu mam ryzykować autyzm u mojego dziecka po to, żeby inne dziecko było bezpieczne?

Jeśli takie słowa padną, mamy otwartą drogę do użycia bardziej racjonalnych argumentów. Porównajmy liczbę przypadków śmierci dzieci w wyniku nieszczepienia z liczbą bardzo poważnych powikłań w wyniku szczepień. Ta statystyka jest dla antyszczepionkowców miażdżąca. NOP-y są niezwykle rzadkie i w zdecydowanej większości bardzo łagodne.

Wspomniał Pan o kryzysie zaufania do elit, tymczasem można odnieść wrażenie, że strona proszczepionkowa wystawia na front głównie lekarzy, i to najlepiej z habilitacją.

Nie przesadzajmy, wśród lekarzy jest sporo dobrych popularyzatorów. Mój przyjaciel immunolog pisze książki dla dzieci. Inna sprawa, że środowisko patrzy

Statystyki są miażdżące dla antyszczepionkowców:

niepożądane odczyny poszczepienne są bardzo rzadkie i prawie zawsze bardzo łagodne.



→ Czyli bardziej niż wielkie kampanie medialne potrzebna jest codzienna obecność w mediach społecznościowych?

Przecież kampanie reklamowe też już przeniosły się do internetu. Minęły czasy, w których robiąc kampanię produktu, kręciło się wyłącznie spoty telewizyjne. Dzisiaj sieć jest najistotniejszym źródłem informacji. Dlatego antyszczepionkowcy nie drukują ulotek i nie wieszają plakatów.

Czy takie eventy kalendarzowe, jak Dzień Zwalczenia Grypy, Tydzień Szczepień czy Żółty Tydzień mają sens?

Tak, bo często nawet jeśli ludzie nie mają wątpliwości co do szczepień, to zwyczajnie zapominają np. o tym, że zaraz zacznie się sezon grypowy. A zaszczepienie dziecka na grypę wymaga tego, żeby ono w danej chwili było zdrowe, jeszcze nie złapało np. jesiennej przeziębienia. Więc to dobrze, że nagle wszędzie słychać komunikat „zaszczep swoje dziecko”.

Głośna była niedawno sprawa z województwa lubuskiego: lekarze podawali dzieciom szczepionki, które ze względu na przerwanie łańcucha chłodniczego nadawały się do utylizacji. Ministerstwo Zdrowia mnożyło komunikaty, że taki preparat nie może zaszkodzić, a jednocześnie Zbigniew Ziobro uruchomił dla wyjaśnienia sprawy prokuratorów wysokie-

Nie chcę, żeby moje dziecko było w niebezpieczeństwie

przez czyjąś decyzję o nieszczepieniu.

Nie interesuje mnie, dlaczego robi krzywdę swojemu dziecku. Interesuje mnie, że robi krzywdę mojemu.

go szczebla. Fatalna komunikacja w sytuacji kryzysowej.

Zasada jest w takich przypadkach jedna: nie wolno niczego ukrywać. Przed laty doszło w pewnej fabryce leków do pomyłki: pomyłono dwa preparaty – corhydron, stosowany np. w astmie i ciężkiej alergii, ze skoliną, która zwiotcza mięśnie. Pomyłkowe zażycie mogło być niebezpieczne, ale także trudne do wykrycia, bo osoba z ciężką astmą mogła umrzeć z objawami niewzbudzającymi podejrzeń. Inspektorat Farmaceutyczny, wiedząc o tym, nie ostrzegł ludzi, nie chcąc wywołać paniki. Efekt był taki, że panika i tak wybuchła, bo informacja wyciekła, a zachowanie urzędu wzbudziło zrozumiałą wściekłość wszystkich zainteresowanych: bo ktoś, kto ma dbać o moje zdrowie, nie ostrzegł mnie przed niebezpieczeństwem.

Wzorcowo zachowała się 20 lat temu firma J&J. W jednym z jej magazynów

w USA szalenię wstrzyknął do ampułek z popularnym lekiem przeciwgorączkowym cyjanek potasu. Firma niczego nie ukrywała, co więcej: jej pracownicy chodzili od domu do domu i pytali, czy ktoś nie ma w apteczce owego leku. Takie kryzysy przeważnie kończą się bankructwem, tymczasem J&J nie tylko utrzymała się na rynku, ale zyskała wizerunkowo [zob. więcej: powszech.net/strategia].

Ostatni kazus. Kilka tygodni temu Inspektorat Farmaceutyczny w Kielcach wycofał z obrotu w województwie serię szczepionek pentaxim po tym, jak jedna z przychodni zgłosiła, że proszek nie potoczył się z zawiesziną. Preparaty wystano do badań laboratoryjnych. Po kilku dniach przywrócono je do obrotu, a komunikat brzmiał: „próbka preparatu (...) jest zgodna ze specyfikacją podmiotu odpowiedzialnego oraz z aktualną Charakterystyką Produktu Leczniczego”.

Niestety to się wpisuje w ogólny problem tego, jak branża medyczna w Polsce komunikuje się ze społeczeństwem. Jeśli ktoś mówi do mnie w sposób niezrozumiały, to znaczy, że chce coś ukryć – to naturalna i zrozumiała reakcja. Tutaj sytuacja jest o tyle paradoksalna, iż Inspektorat dysponował informacją, że wszystko jest w porządku i że nie ma czego się bać. Zmarnowano szansę na uspokojenie tych, którzy nabrali nieufności wobec szczepień. © Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

TP

Zaproś Czytelników „Tygodnika”

25 kwietnia ukaże się podwójne, szeroko promowane, wyjątkowe wydanie „Tygodnika Powszechnego” – na majówkę. Chcemy w nim zaprezentować miejsca, które warto odwiedzić podczas długich weekendów, urlopu czy wakacji. Dokąd pojechać, gdzie zaplanować wizytę, czego nie pominąć?

Zapraszamy galerie, muzea, instytucje kultury i organizatorów festiwali: przygotowaliśmy specjalne ceny na ogłoszenia prasowe i internetowe. Na Państwa kontakt czekają Anna Pietrzykowska i Mateusz Gawron pod numerem 12 422 05 70 lub adresem: reklama@tygodnik.com.pl

Kulturalna majówka

– tylko z „Tygodnikiem Powszechnym”!



OSTATNIE DNI NISKICH CEN PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!



Szanowni Państwo,

ze względu na wprowadzone z dnia na dzień przez Poczta Polską podwyżki obsługi przesyłek krajowych zostaliśmy zmuszeni do podniesienia cen prenumeraty. Od 21 marca 2018 r. będzie funkcjonował nowy cennik, nad którym aktualnie pracujemy. Do tego czasu mogą jeszcze Państwo skorzystać z poprzedniej oferty.

Dołożymy wszelkich starań, by podwyżka była jak najmniej dotkliwa. Podkreślamy też, że „Tygodnik” w prenumeracie to pewność otrzymania każdego wydania, to egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej oraz dostęp do ofert lojalnościowych dla Prenumeratorów.

Wydawca Tygodnika Powszechnego



CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – AKTUALNY TYLKO DO 21 MARCA 2018!

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER
MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

PAWEŁ

Śpiewak: Miasto Boże



„MIASTO BOŻE, NAJŚWIĘTSZE Z PRZYBYTKÓW najwyższego” – Psalm 46 to krótka pieśń. Buduje się wokół słów: Bóg jest ratunkiem i ucieczką w ucisku i nieszczęściu. O dwóch formach takiego ucisku i nieszczęść mowa.

Jedne mają charakter naturalny. Opisują je wzburzone wody, które podmywają góry, poruszają ziemię i każą nam myśleć zarówno o pierwotnym chaosie, jak o potopie. Inne wiążą się z wojnami i śmiercią od łuków i mieczy. Dziś pewnie byśmy powiedzieli, że chaos natury dopełnia chaos ludzki, chaos historii. Psalmista powiada: większy niż wszystkie nieszczęścia jest Bóg, wywyższony ponad narodami, Bóg, który ma siedzibę w mieście Bożym, w Jerozolimie, na górze Syjon. „Strumienie rzeki jego rozweselają miasto Boże, najświętszy z przybytków najwyższego”. Taki jest porządek rzeczy, a odpowiedź na katastrofy i przemoc ma tylko jedną postać: spokoju i zaufania. W akceptacji losu i przeznaczenia tkwi heroizm wiary. Trzeba uznać, że ani chaos natury, ani chaos historii nie mogą zmienić potęgi Boga – tej „twierdzy wysokiej”. Symbolem czy znakiem panowania Boga Izraela jest Jerozolima i świątynia – *miszkan*. Tam nie sięgają pierwotne wody zniszczenia. Tam płynie spokojny strumień. Syjon uczy nas o bezwarunkowej władzy Boga (występującego pod imieniem *Jud Hej Waw Hej*), stojącego też ponad prawami i prerogatywami wszelkich ziemskich instytucji politycznych. Tylko miasto Boga daje poczucie bezpieczeństwa. Upadają góry, wody zalewają ziemie, królestwa drżą, narody wzburzają, a spokój daje Bóg. Szukajmy tego spokoju, nakazuje psalmista.

W Psalmie 2 władca w mieście Bożym zyskuje nadzwyczajny tytuł syna Boga, którego spłodził Pan, *Jud Hej Waw Hej*. Król z rodu Dawida, jeśli tylko tego zażąda od swego niebiańskiego Króla, otrzyma taką moc, iż rozkruszy wrogów i weźmie przeciwników w niewolę. Jego siła płynie z siły Boga i jest znakiem potęgi najwyższego. Królowanie potomków Dawida jest znakiem królowania Boga Ojca. Bóg jest koronowany w niebie, władca z rodziny Dawida – na ziemi, a w nim spotyka się to, co na górze, co należy do obszaru boskiego, co daje doświadczenie spokoju, z tym, co na dole, co wiąże się ze zmianą, buntem, orężem. Król Izraela stoi ponad zwykłą polityką. Wyraża i reprezentuje Boga. On, jak czytamy, „postawił króla mojego nad Syjonem, górą świętą moją”. Syjon urasta do roli centrum ziemi, miejsca, które każe nam myśleć o przyczynie wszystkiego, o porządku tego świata, o niezdarności buntowników i potędze Króla jedynego.

Góra Syjon jest opiewana w wielu księgach, np. w Księdze Izajasza. Staje się miejscem mitycznym. Niesie jakąś pierwszorzędną energię. Wznosi się ponad wszystkie inne góry. Mít ma niewiele wspólnego z rzeczywistością: ta góra dziś jest ledwo zauważalna. Prowadzą do niej dobrze widoczne znaki, bo wzrok ją z trudem odnajduje. Cieszy ludzi religii i syjonistów, bo do niej tęsknią wszyscy Żydzi diaspory i dla niej śpiewają swoje pieśni. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Serce i Chleb



„OTO NADCHODZĄ DNI – WYROČNIA PANA – gdy zawrę z domem Izraela i z domem Judy Nowe Przymierze. Będzie się ono różnić od przymierza, które zawarłem z ich przodkami (...). Tamci złamali moje przymierze (...). Moje Prawo umieszczę w ich wnętrzu i wypiszę je w ich sercach”.

Serce w Biblii uważane jest za miejsce dla myśli. Serce doświadcza radości i smutku. Mądre serce odróżnia dobro od zła, grzech od sprawiedliwości. Utożsamiane jest z wolą i sumieniem. Jednym słowem – reprezentuje człowieka. To w sercu, wewnątrz nas, dochodzi do spotkania człowieka z Bogiem i dlatego jest ono miejscem, w którym może dojść do nawrócenia. Bóg pragnie „umieścić” swoje prawo w nas, a to znaczy, że pragnie nas do siebie przekonać, pragnie, byśmy Go polubili, zaufali Mu, zaprzyjaźnili się z Nim i pokochali, czyli poszli za Nim. Żeby tak się stało, najpierw trzeba Boga spotkać.

Nauczono nas, że Jezus jest w chlebie i winie, które *de facto* nie są już chlebem i winem, choć zachowują dawny smak i wygląd. Jak to możliwe? W jaki sposób chleb staje się ciałem, a wino krwią? Jezus mówi: „Uroczyscie zapewniam was: Ten, kto wierzy, ma życie wieczne. Ja jestem chlebem życia. Wasi przodkowie jedli na pustyni mannę, ale pomarli. To jest natomiast chleb, który zstępuje z nieba, aby każdy, kto go spożyje, nie zaznał śmierci. Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Ktokolwiek będzie spożywał ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata”. A więc to Jezus jest chlebem, pokarmem, a to znaczy, że nie chodzi o Jego ciało i krew, czyli tkanki Jego organizmu, ale o Niego samego, o żywą osobę. Adorując Najświętszy Sakrament, nie adorujemy części Jezusowego organizmu, ale Jego samego, żywego, całego. Spożywać Jezusa znaczy upodabniać się do Niego. Co więc począć z konsekracją, przeistoczeniem, transsubstancjacją? Zostawmy to teologom i historykom. Nie bójmy się tajemnicy – misterium.

Profesor Bogdan de Barbaro mówi: „Ja wierzę, że pyszałkowatość, czyli poczucie, że się wie, zanim jeszcze się czegoś dowiedziało naprawdę, jest zgubna. (...) Jest większa szansa, że coś się urodzi z pokornego »nie wiem« niż z »wiem na pewno, jak jest«. W dodatku »nie wiem« rodzi zaciekawienie, otwiera. (...) Dzięki temu pojawia się miejsce na dialog, wymianę myśli. Przy czym to »nie wiem« nie jest wcale pozbawione energii, nie jest kapitulacją. Ono wyciąga rękę, pyta i słucha. Mnie się wydaje, że taki rodzaj kontaktu z drugim człowiekiem w ogóle, nie tylko w terapii, ma głęboki sens. Pozwala się nawzajem zobaczyć, zrozumieć, poczuć”.

Z Bogiem jest podobnie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Jeszcze o prawie

Dusza
kochająca Boga
im bardziej się
trudzi, tym spokojniej
odpoczywa.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA



Niech Piękno,
które kochasz,
będzie tym,
co czynisz.

RUMI



Wybrał PIOTR SIKORA



W OSTATNIM TYGODNIU Jezus przemówił do nas w liturgii m.in. następującym fragmentem Kazania na Górze: „Nie sądzicie, że przyszedłem znieść

Prawo i Proroków; nie przyszedłem znieść, ale wypełnić” (Mt 5, 17). Sięgnąłem do greckiego tekstu i uderzył mnie sam początek owego zdania: „*mé nomisete*”.

Słowo „*nomizo*” („*nomisete*”) pochodzi źródłowo od „*nomos*”, „prawo”, które to słowo pojawia się zaraz: „że przyszedłem znieść Prawo (*nomos*)”. Mamy więc do czynienia z zapewne celową grą słów: „*nomisete*” – „*nomos*”: „Nie czyńcie prawem tego, że przyszedłem znieść prawo”. Tak jakby życie – do tej pory odnozione do określonych norm i zasad – od tego momentu miało być poddane tylko jednemu prawu: „nie ma żadnych norm i zasad”; „jedynym obowiązującym prawem jest wolność”.

Jezus mówi wyraźnie, żeby Mu nie wmawiać takiej idei, i nic dziwnego. Przykłady i konsekwencje takiego poglądu (zwłaszcza kiedy pojawią się ludzie usiłujący tenże pogląd wprowadzić w życie społeczeństw) są przerażające: totalitarna wolność dość łatwo piętnuje albo wsadza do więzień np. tych, którzy upierają się przy używaniu terminów „matka” i „ojciec”, a nie „rodzic 1” i „rodzic 2” (albo „żona” i „mąż” – zamiast „poprawnego”: „partner 1”, „partner 2”) – wszak takiej nietolerancji można i należy przeciwstawiać się siłą.

Myślę jednak, że w poleceniu Jezusowym kryje się jeszcze i inne przesłanie: tam, gdzie „znosimy” Prawo Boże, bardzo szybko w jego miejsce powołujemy do życia nasze własne prawa i normy. Co więcej: nadajemy im moc i sankcje daleko przekraczające Bożą wy-

obraźnię – gotowi jesteśmy je wyegzekwować na każdym i w każdych warunkach. Ich obowiązywalność jest o wiele większa niż Boskich przykazań. Nasze „przykazania” są też z reguły o wiele bardziej detaliczne i szczegółowe – potrafią drobiazgowo opisać te fragmenty życia i działania, które Pan Bóg pozostawiał ludzkiej wyobraźni i wolności.

Wydaje mi się także, że owo tworzenie własnych praw nie zawsze musi być intencjonalnie „w miejsce” czy „zamiast” Prawa Bożego – na zasadzie przeciwieństwa czy wrogości. Czasami (częściej?) pojawia się ono „obok”, „równolegle” – w najlepszej intencji – jako doprecyzowanie, zastosowanie, zaktualizowanie do potrzeb konkretnej, lokalnej społeczności. Właśnie tak się pojawiają wszystkie przepisy i zwyczaje, normujące niemal każdy fragment ludzkich zachowań, typu: „kiedy poprawnie składamy ręce, prawy kciuk musi się koniecznie znaleźć na lewym – nigdy odwrotnie!”. Albo: „by móc przystąpić do bierzmowania, trzeba koniecznie zaliczyć wszystkie Gorzkie Żale i dwie trzecie nabożeństw majowych”.

Jezus mówi, że przyszedł wypełnić Prawo – wraca do tej myśli, kiedy po zmartwychwstaniu wędruje z uczniami do Emaus. Mówi im wtedy, że wszystkie teksty Prawa i Proroków spełniają się na Nim, i że kluczem do ich interpretacji jest dokonane przez Niego paschalne dzieło zbawienia. Właśnie tak. Prawo prowadzi człowieka ku zbawieniu – taki ma cel: otworzyć go na rzeczywistość zbawczą w Jezusie Chrystusie. Nie ma celu samo w sobie. Ma cel jako „pedagog”, czyli ten, kto prowadzi ucznia do Nauczyciela – Zbawiciela. Ma być skutecznym drogowskazem; nie murem czy zawadą. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 III)

5. Niedziela Wielkiego Postu: Jr 31, 31-34;
Ps 51; Hbr 5, 7-9; J 12, 20-33;
Poniedziałek, św. Józefa Oblubieńca NMP:
2 Sm 7, 4-5a. 12-14a. 16;
Ps 19; Rz 4, 13. 16-18. 22; Mt 1, 16. 18-21. 24a;
Wtorek: Lb 21, 4-9; Ps 102; J 8, 21-30;

Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95; Dn 3; J 8, 31-42;
Czwartek: Rdz 17, 3-9; Ps 105; J 8, 51-59;
Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;
Sobota: Ez 37, 21-28; Jr 31; J 11, 45-57;
Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7;
Ps 22; Flp 2, 6-11; Mk 14, 1 – 15, 47.



CZAS WIELKIEJ DEMACIEREWIZACJI

Jeszcze pół roku temu był
praktycznie drugą osobą w państwie.
Dziś, zmarginalizowany i pozbawiony swoich ludzi,
marzy o nowym rozdaniu na prawicy.
Być może ostatnim
w jego politycznym życiu.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

PRAWA SĄ TU BEZWZGLĘDNE. GDY USUWA się z eksponowanego stanowiska ważnego i wyrazistego gracza, muszą za tym pójść dalsze brutalne działania. „Ścinanego” należy upokorzyć, wyciąć jego ludzi i wyrzucić do góry nogami wszystko, co po sobie zostawił. W tych kategoriach odwołanie Antoniego Macierewicza z rządu jest klasyczną czystką – spełnia wszystkie te warunki.

Z Rosjanami po sąsiedzku

Nie jest jasne, czy nadal zajmuje swój dotychczasowy ministerialny gabinet. Ale wiadomo, że wciąż urzęduje w ściśle strzeżonym gmachu MON przy ul. Klonowej, po sąsiedzku z ambasadą Rosji. Paradoksalnie, to na dziedzińcu tego budynku jako minister żegnał się z armią, nie szczędząc wcale płomiennych słów. Tyle że miejsca pracy nie zmienił – urzęduje tu teraz jako szef podkomisji smoleńskiej. Nowy szef MON Mariusz Błaszczak uciekł do innego kompleksu resortu – przy al. Niepodległości. Wydumał nawet uzasadnienie – że to dla uczczenia stulecia niepodległości właśnie. Ale panowanie na Klonowej i służbowy samochód

z kierowcą to jedyne, co Macierewiczowi zostało z władzy.

Odwołany został w upokarzający sposób – o dymisji nie wiedział do ostatniej chwili. Dzień po odwołaniu rządu przyjechał na smoleńską miesięcznicę sam i stanął w dalekich rzędach. To był symbol jego upadku. Natychmiast odszedł szef kontrwywiadu wojskowego Piotr Bączek, zausznik Macierewicza. Chwilę potem wycięci zostali wiceministrowie. Głowę położyli nawet tacy jak poseł PiS Bartosz Kownacki, którego związki z Macierewiczem wynikały raczej z politycznej pragmatyki niż z głębokiego afektu.

W trzeciej turze wzięto się za ludzi Macierewicza na niższych szczeblach w resorcie, choćby w gabinetach wiceministrów. Na bruk wyrzuceni zostali ludzie od lat wierni partii. – Strasznie ich potraktowano. To dla nich bolesna nauczka. Sądzę, że część z nich rozstanie się z PiS – opowiada jeden z członków kierownictwa MON za czasów Macierewicza.

Wzięto się też za jego ludzi w podległych mu spółkach. W Polskiej Grupie Zbrojeniowej wymieniona została rada nadzorcza, a potem zarząd. A PGZ to gigant, który zrzesza większość zakładów pracujących na rzecz obronności kraju.

Antoni Macierewicz,
Warszawa, 28 lipca 2017 r.

→ Wszędzie ludzi Macierewicza zastępują zaufani Błaszczaka.

Prywatna armia ministra

Po oczyszczeniu resortu obrony i biznesu wojennego ze wszystkich, których można było posądzić o macierewiczowskie odchylenie, ruszyła operacja zmian w strukturze armii. W jej ramach zmienił podporządkowanie Wojsk Obrony Terytorialnej, wcielając je w struktury armii. Do tej pory WOT – ukochane dziecko Macierewicza – były podległe jemu osobiście. Wcielenie „terytorialsów” do struktur wojska nie jest jednak wyłącznie operacją organizacyjną. To chęć przeorania WOT, bo w PiS panuje przekonanie, że to prywatna armia i zaplecze Macierewicza.

Nie ma możliwości, by tak szeroko zakrojoną operację „demacierewizacji” przeprowadził na własną rękę nowy szef MON Mariusz Błaszczak. To polityczny służbiśta, typ rewizora, twardą ręką egzekwującego rozkazy Jarosława Kaczyńskiego – bo to on podejmował kluczowe decyzje dotyczące usunięcia Macierewicza i przeprowadzenia czystki wśród jego ludzi.

Po wyrzuceniu Macierewicza rozkwitł Andrzej Duda. Prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego wraz z MON pracować będzie teraz nad reformą systemu dowodzenia – to kluczowa kwestia dla organizacji armii. Za Macierewicza to było nie do pomyslenia, stanowiąc jedno z głównych pól konfliktu. Poprzez nową organizację szefostwa armii minister w praktyce chciał zmarginalizować wojskowe wpływy prezydenta, określone przez konstytucję. Błaszczak dostał też od prezydenta, zadowolonego z usunięcia Macierewicza, zielone światło na zmiany w korpusie generalskim.

Przez ostatni rok Duda nie chciał powoływać generałów Macierewiczowi. A Błaszczak dostał zgodę na 14 nominacji niemal od ręki. Wśród powołanych – i to na najwyższy stopień generała cztero gwiazdkowego – znalazł się szef sztabu

generalnego gen. Leszek Surawski. To oficer wskazany na szefa sztabu przez Macierewicza, który jednak nie spełnił nadziei, jakie pokładał w nim minister: nie dał sobą ręcznie sterować. W efekcie popadł w niełaskę, a Macierewicz pomijał go na kolejnych listach do awansu słanych do Dudy przed każdym wojskowym świętem. Czwarta gwiazdka Surawskiego była tymczasem jednym z fundamentalnych warunków prezydenta – bez nazwiska szefa sztabu na liście awansowej Duda nie chciał zatwierdzić innych nominacji.

Policzek dla Macierewicza

Harmonijna współpraca Błaszczaka z Pałacem Prezydenckim, która przysłała po destrukcyjnej wojnie, jaką z Dudą prowadził Macierewicz, ma jeszcze jedną przyczynę. Macierewicz pod rękę z Bączkiem w zeszłym roku najpierw wstrzymali, a potem odebrali dostęp do tajemnic państwowych gen. Jarosławowi Kraszewskiemu, głównemu doradcy wojskowemu prezydenta. Był szef MON sugerował jego wschodnie inklinacje. Ale tak naprawdę nie podobało mu się głównie to, że Kraszewski jest krytyczny wobec zmian w armii, buntuje prezydenta i utrzymuje zażyłe kontakty z oficerską śmietanką usuniętą z wojska.

Po wyrzuceniu Macierewicza Kraszewski szybko odzyskał certyfikaty bezpieczeństwa. To policzek dla byłego szefa MON, który w spór z generałem – a przez to z prezydentem – zaangażował wszystkie swe możliwości i środki. Były wycieki materiałów do pravicowej prasy, były ostre słowa i poważne zarzuty. Nie ostało się nic. W dniu powołania nowego składu rządu Morawieckiego – już bez Macierewicza – operatorzy kamer nie musieli się szczególnie rozglądać, by wychwycić rozpromienione lico Kraszewskiego podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim. Wiedział, że odzyska certyfikaty, co umożliwi mu powrót do pracy. Już wcześniej jego dokumenty przeglądał nieformalnie – na prośbę prezydenta – Mariusz Kamiński i wysłał do głowy państwa uspokajające sygnały. Duda z Kamińskim i Błaszczakiem pozamiatali sprawę dla Macierewicza fundamentalną. Nie ma się zatem co dziwić, że jest wściekły.

„Nie mam cienia wątpliwości wobec decyzji Służby Kontrwywiadu Wojskowego. To była decyzja merytoryczna i trafna. A polityka miewa swoje konieczności” – stwierdził w wywiadzie dla sieci rozgłośni katolickich Macierewicz. Towa-

rzyszył temu wywód, z którego wynikało, że nigdy w przeszłości, zwłaszcza w sprawie wschodniej agentury, się nie mylił. „Prawda zawsze wypływa na wierzch, trzeba tylko być konsekwentnym i trochę poczekać” – powtórzył swe motto.

Bizancjum w zbrojeniówce

Macierewicz czekać może naprawdę długo, jeśli w ogóle ma jeszcze szanse na eksponowane stanowisko w ramach PiS. Niedostrzegany dotąd motywem pozbycia się go były bowiem narastające sygnały o nieprawidłowościach w nadzorowanych przez firmy i instytucjach. Zaczęło się od Bartłomieja Misiewicza – jego stylu bycia, zarobków i stanowisk w firmach podległych Macierewiczowi, a także podejrzeń o lobbing. Ale równocześnie pojawiały się inne sygnały – chodziło o bizancjum, marnotrawstwo, a nawet korupcję w zbrojeniówce. Czy tak było, to w sumie nieistotne. Ważne, że uwierzył w tę wersję Kaczyński.

Koordinator specsłużb Mariusz Kamiński faszerował lidera PiS kompromatami na ten temat od dłuższego czasu. Miały pokazywać, że Macierewicz nie interesuje się nieprawidłowościami lub je lekceważy. Kamiński walczy z Macierewiczem od lat, najstarsi pisowcy nie pamiętają, skąd się wzięła ta wzajemna niechęć. Poza ambicjami czysto politycznymi – współzawodnictwem w partii – nałożyły się na to ciągoty obu panów do specsłużb. Powiedzieć, że się nie znoszą, to nic nie powiedzieć. W minionym roku Kamiński próbował zreorganizować służby w taki sposób, by Macierewicz stracił wyłączny wpływ na swe ukochane zabawki – Służbę Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbę Wywiadu Wojskowego. Musiał się poddać, wtedy jeszcze Macierewicz był za silny.

Ale co się odwlecze, to nie uciecze. W decydującym o dymisji momencie *dossier* Kamińskiego zostało użyte przeciw Macierewiczowi. Słysząc o co najmniej jednym konkretnym przykładzie, który wykorzystano do ataku. Chodziło o przetarg na zakup systemu artylerii rakietowej Homar. W PiS nie spodobał się udział w przedsięwzięciu jednej z prywatnych polskich firm, pod lupę wzięto też planowane koszty. Kaczyński uwierzył, że to podejrzana transakcja.

W spiskowej teorii – w którą chce wierzyć wielu ludzi PiS – Macierewicz mógłby próbować budować własną partię w oparciu o ludzi ze struktur WOT, a biznesmeni



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

utuczeni na kontraktach zbrojeniowych mieliby ją finansować. – To kompletna bzdura, choć wiem, że takie podejrzenie krąży w kierownictwie partii. Powiem tak: pracowałem z nim przez lata i ani razu nie pojawił się pomysł budowy czegoś własnego – zarzeka się jeden z ludzi Macierewicza, który odszedł wraz z nim z wojska.

Ale zaufania do organizacji zakupów dla armii za czasów Macierewicza w PiS nie ma za grosz. Błaszczak zapowiedział, że powoła specagencję, która „całościowo zajmie się zakupami dla wojska”.

Miliony w plastiku

Ostatni, wcale nie najważniejszy, za to najbardziej widowiskowy etap „podtapiania” Macierewicza zaczął się w ostatnich dniach. To publiczne rozprawianie się z jego finansowym eldorado. Gdy się okazało, że w ciągu półtora roku MON zapłaciło niemal 15 mln zł służbowymi kartami kredytowymi – ponad siedem razy więcej niż pozostałe ministerstwa razem wzięte – nikt nie stanął w obronie Macierewicza.

Wiele wskazuje na to, że akurat w tej sprawie były szef MON był bez winy. Po pierwsze, na tę kwotę złożyły się także wydatki armii. Po wtóre, nawet niecierpiący Macierewicza jego poprzednik w resorcie Tomasz Siemoniak (PO) przyznaje, że opozycja rozdmuchała tę sprawę, bo za jego czasów wydawano podobne kwoty. Paradoksalnie, w tej najbardziej nośnej społecznie kwestii PiS przyłączyło się do ataku na Macierewicza. Działania partii po ujawnieniu wydatków opłaconych „plastikiem” po prostu zdyskredytowały byłego ministra. Premier Morawiecki oświadczył bowiem, że Błaszczak po objęciu kierownictwa w MON zlecił audyt „wszystkich działań zakupowych i zamó-

Niedostrzeganym dotąd motywem pozbycia się ministra były **narastające sygnały o nieprawidłowościach** w nadzorowanych przezeń firmach i instytucjach.

wieniowych”. Polityka najłatwiej zoptymalizować elektoratowi, wytykając pazerność na publiczny grosz. A właśnie to ważni ludzie PiS robią dziś byłemu ministrowi.

Nawet w sprawie Smoleńska wokół Macierewicza coraz większa pustka, odkąd prezes Kaczyński zaczął przebąkiwać, że być może przyczyną katastrofy nie da się w pełni wyjaśnić. „Lepiej powiedzieć, że pewnych rzeczy się nie da ustalić, niż ustalać je z ryzykiem błędu” – oświadczył niedawno prezes, co było odczytywane jako oczekiwanie na decyzje prokuratury i wyraźne dystansowanie się od rozmiłowanej w spiskach podkomisji Macierewicza.

Przetrwąć wielką czystkę

Na swej politycznej drodze cofnął się o ponad dekadę. Kiedy w 2007 r., po dwóch latach rządów, PiS straciło władzę, Macierewicz przestał być szefem Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Liderzy partii udawali, że walczą dla niego o ważne stanowisko w Sejmie. Ale tylko udawali. Nie został członkiem komisji ds. służb specjalnych, nie wszedł także do komisji śledczej wyjaśniającej śmierć Krzysztofa Olewnika.

Powód był prosty – bracia Kaczyńscy byli na niego wściekli za wpadki podczas

likwidacji WSI, w tym słynny aneks, który prezydent Lech Kaczyński uznał za nienadający się do publikacji. To wyglądało na koniec kariery. Macierewicz snuł się po Sejmie bez większego sensu, a na korytarzach i podczas posiedzeń komisji fundował posłom opozycji tanie złośliwości, za zwyczaj o wschodnim podtekście.

Wtedy – paradoksalnie – od politycznej śmierci uratował go Smoleńsk, który stał się jego polityczną lokomotywą na lata. Dziś Macierewicz znów wrócił do Sejmu i podczas posiedzeń komisji pyta posłów Platformy, kto im płaci i czy choć w Boga wierzą. Czeka na swą nową lokomotywę – po lustracji, likwidacji WSI i właśnie Smoleńsku. Ale z siódmym krzyżykiem na karku – nawet jeśli zadufany w swą tężyzną fizyczną, wspomagana regularnymi treningami – czekać zbyt wiele nie może.

– Antoni może ruszyć do ataku, jeśli Kaczyński ze względów zdrowotnych nie będzie już w stanie kontrolować PiS – mówi jego współpracownik. – Ale wtedy partia się po prostu rozpadnie na dwie, trzy mniejsze. Macierewicz mógłby zawalczyć o 7-10 proc.

Jak już pisałem w „Tygodniku”, jako wiceprezes PiS Macierewicz od lat trzyma w politycznej zamrażarce prawdziwie własną partię: Ruch Katolicko-Narodowy. Kierują nią dyskretnie jego ludzie, pilnujący, by papiery się zgadzały i w każdej chwili można było wprowadzić szyld RKN na scenę polityczną. Na razie jednak Macierewicz musi przetrwać wielką czystkę. W jego długim politycznym życiu – już pół wieku temu brał udział w marcowych protestach – to jedno z najbardziej dotkliwych upokorzeń.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU”:

wielkie pytania. przełomy w fizyce

- Tomasz Miller o zmiernych cząstkach i triumfie pól
- Sebastian Szybka o granicach klasycznej mechaniki i matym pytaniu za milion dolarów
- Michał Eckstein i Paweł Horodecki o największej zagadce kwantów
- Tomasz Płazak o ciemnym sektorze wszechświata
- Rozmowa z astrochemikiem Nigelem Masonem o innych światach



Kogo wychowa katecheta

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nowy pomysł MEN może wznieść uśpiony spór o religię w szkole.

EMOCJE SĄ TAK DUŻE, JAKBY CHODZIŁO o decyzję strategiczną: wyprowadzenie religii ze szkół bądź – dajmy na to – objęcie nią obowiązkowo wszystkich uczniów. „To nie żart. Minister edukacji Anna Zalewska pokazała rozporządzenie, zgodnie z którym katecheci mogliby być wychowawcami klas! (...) Niby dlaczego uczniowie i uczennice mieliby teraz doświadczać katechezy podczas godzin wychowawczych i szkolnych wycieczek?” – pytała na Facebooku Partia Razem.

„Atak na umożliwienie katechetom bycie wychowawcami klas to atak na ludzi wierzących” – pisał z kolei na swoim profilu Tomasz Terlikowski.

O co chodzi w planowanej – choć znajdującej się dopiero na etapie konsultacji – zmianie przepisów?

Państwo

„Nauczyciel religii wchodzi w skład rady pedagogicznej (...), nie przyjmuje jednak obowiązków wychowawcy klasy” – to zdanie z rozporządzenia MEN dotyczącego lekcji religii od 1992 r. nikogo nie kłuło w oczy. Dlaczego teraz kłuć zaczęło?

Resort edukacji tłumaczy, że od tamtej pory zmieniły się realia: w latach 90. nauczycielami religii byli głównie księża, teraz – zwłaszcza w miastach – nauczają jej częściej osoby świeckie. Komisja Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu podaje, że w bieżącym roku szkolnym na ponad 31 tys. szkolnych katechetów ponad 18 tys. stanowią świeccy (źródło: KAI). W dodatku – jak podkreśla MEN – wielu z nich jest zatrudnionych także jako nauczyciele innych przedmiotów bądź ma wyznaczone inne obowiązki. Dotyczy to ponad 10 tys. nauczycieli religii: prowadzą zajęcia indywidualne, lekcje wychowania do życia w rodzinie, są bibliotekarzami, uczą w zasadzie wszystkich możliwych przedmiotów. Wychowawcami być nie mogą.

„W obecnych realiach (...) zdarza się, że nauczyciel religii (uczący także innych

przedmiotów) jest jedynym, któremu nie powierzono wychowawstwa” – pisze ministerstwo, dodając, że na potrzebę zmiany „wielokrotnie wskazywali przedstawiciele Kościołów i innych związków wyznaniowych (...) Kwestia ta jest także poruszana w interpelacjach poselskich oraz w zapytaniach kierowanych do MEN, zarówno przez dyrektorów szkół, nauczycieli religii, jak i rodziców”.

Choć konkretnych przykładów tych głosów i zapytań MEN – poproszony o to przez „TP” – nie podaje, nie jest tajemnicą, że za zmianą lobbował Kościół katolicki.

Kościół

Ks. prof. Piotr Tomasik, koordynator Biura Programowania Katechezy przy Komisji Wychowania Katolickiego KEP, mówi „Tygodnikowi” wprost: według Kościoła obowiązujący do tej pory przepis dyskryminuje katechetów.

Dlaczego więc strona kościelna nie interweniowała wcześniej? – Oczekiwania Kościoła nie mają bezpośredniego związku z literą prawa, ale z jego zmieniającą się interpretacją – tłumaczy ks. Tomasik. – Przez całe lata po roku 1990, bez względu na to, kto był przy władzy, interpretacja była następująca: wychowawcą nie może być tylko ten katecheta, który uczy w danej szkole wyłącznie religii. Kilka lat temu szkoły i kuratoria zaczęły w różnych rejonach Polski zmieniać wykładnię tego przepisu, hamując dostęp do wychowawstwa również tym katechetom, którzy uczą innych przedmiotów.

Na zmianę interpretacji przepisu nałożyło się inne zdarzenie: dwa lata temu KEP porozumiała się z MEN w sprawie nowych kwalifikacji wymaganych do nauczania religii. Jednym z punktów tego porozumienia było umożliwienie prowadzenia katechezy przedszkolankom, które ukończą specjalistyczne studia podyplomowe. – Tyle że nowa interpretacja przepisu o zakazie sprawowania wychowawstwa sprawiała, iż porozumienie pozosta-

wało w wielu miejscach martwe – mówi ks. Tomasik.

Duchowny podkreśla, że nowe prawo nie jest próbą poszerzenia wpływów Kościoła. – Wychowawca klasy jest przecież tylko jednym z wielu, którzy mają za zadanie wychowywać. To często człowiek od papierkowej „czarnej roboty”, na którym skupiają się dodatkowe problemy, choćby wychowawcze. Czasami byłoby wygodniej nie brać na siebie tak dużego ciężaru. Tyle że katecheci nie mogą w moim przekonaniu od tej odpowiedzialności uciekać, bo podstawowym uzasadnieniem religii w szkole jest zasada pomocniczości. Także w procesie wychowania.

Obywatel

Dla przeciwników nowego pomysłu MEN ta zmiana to jednak coś więcej niż korekta przepisu. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ekspertka edukacyjna z zarządu Partii Razem, przypomina, że jej ugrupowanie od dawna postuluje wypowiedzenie konkordatu, a w konsekwencji wyprowadzenie religii ze szkół. Zmianę przepisów dotyczących katechetów jej partia odczytuje zaś jako kolejny krok w przeciwną stronę: zawłaszczanie przez Kościół wspólnej edukacyjnej przestrzeni. – Plany minister Zalewskiej można interpretować na różne sposoby – uważa Dzie-





PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA GAZETA

Bp Marian Florczyk święci tornistry pierwszoklasistów, Kielce, wrzesień 2017 r.

mianowicz-Bąk. – Po pierwsze: jako część ideologicznego projektu PiS, dla którego rozdzielność państwa od Kościoła nie jest wartością. Po drugie, według klucza politycznego: reforma oświaty jest szeroko krytykowana, i to nie tylko przez przedstawicieli środowisk lewicowych czy liberalnych, ale też przez stronę konserwatywną i kościelną, która poczuła się zagrożona zachwianiem *status quo*, czyli likwidacją gimnazjów. Być może ten ukłon w stronę katechetów jest jednym ze sposobów udobruchania Kościoła? Po trzecie: pomysł, by katecheci stali się wychowawcami, jest częścią programowo-ideologicznej transformacji polskiej szkoły. W nowych podstawach programowych kładzie się nacisk na treści zgodne z nauczaniem Kościoła. Przykładem są choćby podstawy z wychowania do życia w rodzinie, gdzie położono akcent na wstrzemięźliwość przed ślubem, zaniedbując jednocześnie sprawy edukacji seksualnej.

Według działaczki Razem pokłósiem wejścia w życie nowelizacji byłoby też wzmocnienie przemocy symbolicznej, jaka – wedle ugrupowania – ma miejsce w polskiej szkole. – Ta przemoc ujawnia się w uroczystościach okolicznościowych, takich jak msze święte na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego, jasełkach, wiadać ją również na korytarzach i w salach

lekcyjnych, gdzie są pozawieszane krzyże – uważa Dziemianowicz-Bąk.

– Ta atmosfera dominacji jednej instytucji wyznaniowej to element tego, co socjologia edukacji nazywa „ukrytym programem nauczania”: oficjalnie świecka edukacja podszyta jest religijnymi przekazami i realizowana w ureligijnionej przestrzeni – mówi działaczka Razem. – W tym kontekście używanie przez Kościół i rząd argumentu o dyskryminacji jest odwracaniem kota ogonem: to obecność Kościoła w szkole przyczynia się do dyskryminacji uczniów i ich rodziców.

Podobne obawy ma Rzecznik Praw Obywatelskich. Adam Bodnar napisał w ubiegłym tygodniu list do MEN, zauważając m.in., że resort edukacji nie przedstawił żadnej analizy, „jak proponowana zmiana wpłynie na poszanowanie praw i wolności uczniów nieuczęszczających na lekcje religii i na zapewnienie bezstronności światopoglądowej szkół publicznych”. Rzecznik dodawał, że możliwość pełnienia przez katechetów funkcji wychowawców może doprowadzić „do umocnienia już istniejącej dominacji faktycznej Kościoła katolickiego”. Bodnar zwrócił też uwagę na tzw. misję kanoniczną, jaką otrzymują katecheci od władz kościelnych. „Decyzja dyrektora szkoły o powierzeniu określonych obowiązków nauczycielowi religii nigdy

nie będzie miała zatem charakteru w pełni autonomicznego. Misja kanoniczna jest niejako gwarantem wierności danego katechety doktrynie Kościoła”.

– Czy młoda dziewczyna, mając pytania związane z dojrzewaniem, bezpiecznym seksem, antykoncepcją, zaufa w tych sprawach katechecie? – pyta Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. – Raczej nie, skoro na przedmażeńską inicjację patrzy on przede wszystkim przez pryzmat grzechu.

O to, czy katechecie wolno zrezygnować z misji kanonicznej, zobowiązującej do nauczania w zgodzie z doktryną Kościoła, pytam ks. prof. Tomasika. – W takim zakresie, w jakim styka się z uczniami poza lekcją religii, nie tylko może, ale ma wręcz obowiązek działać jak każdy inny nauczyciel – odpowiada duchowny. – Poza tym zaufajmy dyrektorom szkół. Żaden z nich nie wyznaczy przecież katechety na wychowawcę w klasie, w której są dzieci nieuczęszczające na religię.

Szkoła

Czy rzeczywiście żaden, pokaże praktyka. Można sobie łatwo wyobrazić kilka wariantów: od sytuacji, w której zmiana prawa pomoże dyrektorowi w załatwianiu kadrowych luk, aż po protest rodziców.

Jeszcze bardziej prawdopodobne, że w rzeczywistości szkolnej zmieni się niewiele, rozbudzi się za to spór o obecność religii w publicznej oświacie. Na podobnej zasadzie, jak w przypadku innych światopoglądowych debat, choćby tej o aborcję: każda zapowiedź zmiany prawa zgodnie z postulatami konserwatystów uaktywnia postulat drugiej strony.

Życie toczy się tymczasem gdzieś indziej. W instytucji wychowawcy klasowego – wszystko jedno: geografa, polonisty czy (w przyszłości) katechety – ogniскуje się wiele problemów szkoły. Jeśli jest ona niedofinansowana, a nauczyciele dostają za niskie pensje, to wychowawca klasy otrzymuje za pełnienie tej roli dodatek wręcz żartobliwy (kilkadziesiąt do stu kilkudziesięciu zł). A wykonuje pracę niedającą się opisać w tabelkach i raportach: jest organizatorem (wycieczek, imprez klasowych, zbiorek itd.), ma rozładowywać konflikty wśród uczniów, a w dodatku utrzymywać stały – również często niełatwy – kontakt z rodzicami.

W tym sensie planowana przez MEN nowelizacja to tylko kolejny pomysł, który wywołuje medialne emocje, ale mija się z życiem. ©



Fragment
bocznej fasady
gdańskiego muzeum

JOANNA RUDNIAŃSKA

Gabinet oczywistości

PIOTR STANKIEWICZ

Muzeum II Wojny Światowej nie jest martyrologiczną politgramotą i dlatego nie podoba się obecnej władzy. Ale to nie znaczy, że nie można go krytykować.

O GDAŃSKIM MUZEUM NAPISANO JUŻ niemało, tak o samej wystawie, jak i o politycznych sporach jej towarzyszących. Tak to się bowiem w Polsce na ogół dzieje, że rzeczy o treści wyższej i uniwersalnej wchodzą w obiektywy kamer dopiero wtedy, gdy rozgorzeje wokół nich jatka polityczna.

Najpierw odbyła się więc wielomiesięczna batalia, gdy minister kultury podjął – skuteczną – próbę odwołania twórcy i pierwszego dyrektora placówki Pawła Machcewicza. Na początku lutego o Muzeum było znów głośno w politycznym kontekście, kiedy tenże minister wyznaczył nową radę. W jej składzie znaleźli się m.in. wszyscy autorzy krytycznych ekspertyz, które ponad rok temu posłużyły jako argumenty przeciwko pozostawieniu Machcewicza na stanowisku. Można się na to zżymać, ale można i widzieć pozytywy: sporo osób odwiedziło Muzeum z przekory i lansu, pod hasłem „chcę zobaczyć, zanim PiS zamknie”.

Wszystko to nie zwalnia nas z próby krytycznego spojrzenia na dotychczasową wystawę. Na początku jest forma. Nowoczesność przebija z każdego elementu MIIWŚ, ale jest to nowoczesność nieco nużąca. Muzea narracyjne wyglądają bardzo podobnie, do tego stopnia, że czasem można stracić orientację, czy zwiedzamy akurat Muzeum II Wojny w Gdańsku, Muzeum Powstania Warszawskiego lub POLIN w Warszawie, czy Yad Vashem w Jerozolimie. Nawet geometria przypomina Yad Vashem i – pozwalając sobie na trochę recenzenckiej złośliwości – chciałoby się dorzucić, że brakuje tylko skopiowania zakończenia. Wystawa Yad Vashem kończy się szeroką panoramą jerozolimskich wzgórz, a MIIWŚ mogłoby się przecież kończyć wyjściem na panoramę Trójmiasta i portowych dźwigów – tak, by przypomnieć widzowi, że „zaczęło się w Gdańsku” i że polski Gdańsk jest odpowiedzialny.

Jakkolwiek ta nowoczesność formy nie byłaby jednak zużyta, a podobieństwa do

innych muzeów uderzające, trzeba przyznać, że po Muzeum widać, iż jest najświeższą (przynajmniej jak na polskie warunki) jej wersją. Nie jest to już naiwny i jednostronny zachwyt nowymi prądami w muzealnictwie. Jak zwróciła uwagę Kornelia Sobczak w świetnym tekście („Bezradność liberałów” w grudniowym numerze miesięcznika „Dialog”), MIIWŚ robi pod względem formalnym krok do przodu i syntetyzuje różne sposoby opowiadania. Mamy więc multimedia, ale nie dominują one natarczywie. Mamy stare, dobre eksponaty, sprzączki i guziki z orzełkiem z rdzy, strzałki strategii militarnych i mikroopowieść o okupacyjnym szmuglu. I nie jest to wszystko przeładowane. Muzeum można zwiedzać wiele godzin, ale nic się zanedo nie narzuca, nie ma niepotrzebnej ofensywy na nasze zmysły. Pewne lekcje zostały ewidentnie odrobione.

Z końca czasów

W ogóle syntetyczność jest jednym z głównych wrażeń z tego muzeum. Jest to synteza nie tylko formalna (różne sposoby opowiadania), ale przede wszystkim ideowa. Bo jest i powstanie warszawskie, i powstanie w getcie warszawskim, jest Katyń i jest Jedwabne. To jakby połączenie – chciałoby się nawet powiedzieć, że grzeczne połączenie – wszystkich opowieści o wojnie, tych, które „już można” opowiedzieć, z tymi, które „należy” opowiedzieć. Wszystko się tu ze wszystkim łączy, powstaje synteza, irytująca o tyle, że pisana „z końca czasów”. Oto ostateczny wykład historii II wojny, ponad i poza który nie będzie już wyjścia.

Odnoszę wrażenie, że Muzeum jest niejako pomnikiem, który pokolenie Solidarności postawiło samemu sobie i swojemu myśleniu o historii. Oczywiście wszystko jest na wskroś nowoczesne, a ręka aż do bólu wyciągnięta do młodych i najmłodszych. Jednak na poziomie treści jest już inaczej: nie ma otwarcie zadanych pytań, nie ma „pomyśl o tym, co widziałeś”, jak w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Nie ma niewyjaśnionego. Muzeum przedstawia wojnę jako groźbę, ale nie jako skandal metafizyczny, którego nie da się opowiedzieć. Dokładnie przeciwnie: ono aspiruje do tego, by pokazać, że oto „jest wyjaśnione”. Wojna wybuchła z takich a takich powodów, była straszna z takich a takich, skończyła się w sposób taki a taki. A my, odzyskawszy po 1989 r. wolność

decydowania o własnym losie, możemy sobie to wreszcie opowiedzieć – udając, że jest to opowieść kompletna.

Nie jest chyba przypadkiem, że Muzeum powstało z inicjatywy Donalda Tuska i że przygotowane zostało za rządów PO. Rezonuje w nim bowiem ten „platformerski” sposób myślenia o postideo-wej polityce, w której III RP pod rządami PO była uważana za cywilizacyjny kres wyobraźalnej historii Polski, tak w polityce, jak i w refleksji o historii i o świecie w ogóle.

Te drobne uszczypliwości polityczno-pokoleniowe to jednak nic, bo prawdziwy problem z Muzeum jest dużo głębszy. Mówiąc najkrócej: ta „platformerska synteza” nie drażniłaby nic albo niewiele, gdyby była twórcza i gdyby była syntezą naprawdę. A nie jest. Ale po kolei.

A wojna była straszna

Medialno-polityczny szum rodzi oczekiwanie, że oto zobaczymy mocną i świeżą opowieść o II wojnie, która wychodzi poza utarte schematy, wyłamuje się z podręcznikowych oczywistości i daje świeży historiozoficzny konkret. Tak jednak nie jest.

Muzeum opowiada dużo bardziej zwykłą, standardową i tysiącokrotnie już słyszaną historię. Oto źle posprzątano gruzy świata po Wielkiej Wojnie lat 1914-18, co spowodowało, że wyrosły na nich totalitaryzmy niemiecki, radziecki i włoski (a w tle ten egzotyczny, japoński), które następnie zdradziecko napadły na Polskę

i w ogóle podpaliły świat. Jak to celnie ujmie Sobczak: dowiadujemy się tyle, że straszne totalitaryzmy wywołały wojnę, a była ona straszna.

Muzeum nie proponuje żadnej pogłębionej analizy przyczyn, dla których wojna wybuchła. Nie podsuwa żadnych wątków, żadnych sugestii na temat tego, co można było – hipotetycznie – zrobić, żeby wojny uniknąć. Jest tylko opowieść, że zły Hitler, naiwno-zdradziecki Chamberlain i tak dalej. I oczywiście wspomniał minister Beck w podświetlonej sali z emfazą opowiadający o tym, że liczy się tylko honor. Nagrany głos ministra rozbrzmiewa niczym wyrok boski – nie ma jakiegokolwiek analizy czy próby przybliżenia, skąd wzięło się to sejmowe przemówienie z maja 1939 r., nie ma słowa o tym, jakie decyzje polityczne za nim stały i jak wyglądała sytuacja dyplomatyczna w latach prowadzących do wojny.

Chciałoby się powiedzieć: jak to w Polsce. Historia jest domeną przeznaczenia i „sił fatalnych”, a nie politycznego namysłu i decyzji podejmowanych przez konkretnych ludzi. Ot, Beck wygłosił przemówienie, które wzięło się nie wiadomo skąd. Nie ma żadnej refleksji o tym, czy kataklizm wojny i miliony jej ofiar nie podważają przypadkiem śmiałej tezy, że jedyną rzeczą, jaka się w życiu liczy, jest honor. W przyszłym roku minie 80 lat od tych zdarzeń, a polskiego muzeum ciągle nie stać na szerszą refleksję, czy choćby bardziej szczegółowe zarysowanie horyzontu tamtych czasów. Jedyne, na co nas

stać, to wsteczna racjonalizacja przebiegu zdarzeń jako oczywistych i jedyńcych logicznie możliwych.

Nie trzeba oczywiście dodawać, że nie dowiemy się nic o tym, iż II RP była u schyłku swojego krótkiego istnienia krajem biednym i niedemokratycznym, za to coraz bardziej antysemickim. Szczegółem krytycyzmu wobec własnej historii jest jedna gablotka o zajęciu Zaolzia w 1938 r. Rzeczpospolitą przedwojenną symbolizuje wielkomejska uliczka, żywcem chyba skopiewana z Muzeum POLIN i – to znów celna myśl Sobczak – chyba dopiero w przyszłym stuleciu będzie wolno zasugerować, że może lepszą reprezentacją tamtego świata nie będą „poetyczne bale w Małej Ziemiańskiej”, ale zapalka dzielona na czworo w niezelektryfikowanej wsi poleskiej, albo sztetl.

Za mało uniwersalne

Gdybym miał dać temu Muzeum podtytuł, to zaproponowałbym „męczeństwo Polaków z uniwersalnością w tle”. Bo nie jest bynajmniej tak, jak możemy wnioskować z krytyki płynącej z kręgów bliskich władzy, że nie pokazano, jak Polacy cierpieli i walczyli. Pokazano, obszerne i bardzo wyraźnie. Pod tym względem nie ma kroku w bok od standardowej opowieści o tej walce od pierwszego do ostatniego dnia wojny, a nawet (włączając okres komunizmu) o jeden dzień dłużej. Tutaj nic nowego nad Wisłą i bardzo znaczący jest fakt, że dla krytyków Muzeum... to jest i tak za mało.

→

REKLAMA

W ogarniętej wojnie
Syrii najbardziej
cierpią cywile.

 **pah**
Polska Akcja Humanitarna

Pomóż im razem z Polską Akcją Humanitarną!

Wpłać online: www.pah.org.pl/wplac
lub na konto: Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

dopisek SYRIA

⇒ Pożądanie bogoojczyźnianej i narodowej martyrologii jest najwyraźniej – jak każde pożądanie – niemożliwe do zaspokojenia, a kto raz je żywi, ten będzie chciał już tylko więcej i więcej. W gdańskim Muzeum mamy wszystkie niemieckie zbrodnie, wszystko, co uświęciła krew Polaków, mamy Polskę jako pierwszą skałę cnoty, o którą rozbija się ekspansja Hitlera. Jeśli to jest za mało polskocentryczne – nie wiem, co będzie wystarczające.

Tym, co staje kością w gardle krytykom Muzeum, jest chyba drugi kluczowy element, a więc jego uniwersalizm. Bo faktycznie, Muzeum ze słusznym i programowym rozmachem pokazuje, że II wojna była katastrofą ogólnoplanetarną. Jest tu Hiroszima, jest oblężenie Leningradu i norweskie plakaty zachęcające do wstępowania do SS, jest Iwo Jima, głód w Grecji i dwa powstania w Warszawie. Brakuje chyba tylko japońskiego ataku na australijski Darwin, bitwy u ujścia La Platy i gabloty o rajdach U-Bootów w Zatoce Meksykańskiej. Uniwersalne, światowe doświadczenie – taki był ewidentnie zamysł i jest on wyczerpująco oraz konsekwentnie zrealizowany.

Jednak to główne przesłanie stanowi zarazem główny problem. Trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że uniwersalność II wojny Muzeum pokazuje bardzo zgrabnie... ale też na tym się cały pomysł kończy. Innymi słowy: w końcówce drugiej dekady XXI w. utworzono w Polsce muzeum, które pokazuje, że II wojna światowa faktycznie była światowa. Czy to nie za mało?

To jest główne doświadczenie, jakie towarzyszyło mi w czasie zwiedzania. Kry-



Ekspozyty z MIIWŚ: japoński plakat przestrzegający przed szpiegami, instalacja z żydowskich walizek, naczynie z Dachau

tycy tego Muzeum chcieliby opowieści znacznie bardziej skupionej na Polsce, więc nie przypadło im do gustu, że ten pierwiastek wojennej uniwersalności w ogóle jest obecny. Dla mnie natomiast to było o wiele za mało. To były po prostu wiadome skądinąd oczywistości, które powinny być punktem wyjścia do opowiedzenia czegoś więcej. Na to „więcej” ostrzyłem sobie zęby – ale żadnego „więcej” nie było.

Kraj niekompletności

My, ludzie z książek, z klawiatury i kultury, jesteśmy w dzisiejszej Polsce trochę zakładnikami sytuacji polityczno-ideowej. Wypada nam akceptować i ryczałtowo chwalić wszystko, co choć trochę wyłania się ponad mulistą powierzchnię jednostronnych, narodowo-nacjonalistycznych schematów, pomieszanych z atrofią myśli i szczuciem na uchodźców. Logika naszego położenia jest taka, że trochę nie wypada krytykować takich dzieł i sił, po to po prostu, by dać im pole i przestrzeń do wzrostu. W przypadku Muzeum znaczy to tyle, że powinno się nam ono podobać tylko dlatego, że nie jest martyrologiczną politgramotą. Sama obecność pierwiastka uniwersalnego ma być tym, co sprawi, że uznamy je za mądre. I dopiero trzeba wywalczać przestrzeń, w której można opowiedzieć, że to jest dla mnie – i dla innych osób z mojego pokolenia – ciągle za mało.

Włączmy więc własny pierwiastek uniwersalny: powyższe doświadczenie

nie jest ani tylko moje, ani nie dotyczy tylko muzeów, ani tylko czasów „dobrej zmiany”. Jest to w ogóle jedno z doświadczeń życia w Polsce, że wszystko, a przynajmniej zaskakująco wiele rzeczy, z którymi mamy do czynienia, jest niekompletne, niecałościowe, niedoprowadzone do końca. Mówi się czasem, że Polska to „nie jest kraj dla tych, którzy dbają o szczegół”, że to kraj, w którym „nie ma i nie będzie ładnych rzeczy”, albo że w Polsce nie ceni się estetyki. Te sformułowania są efektowne, lecz zbyt ogólnikowe, a przez to nietrafione.

Proponuję własne: Polska to kraj, w którym nic nie jest kompletne, nic nie jest konsekwentnie dociągnięte do końca. Wieloma rzeczami, projektami obecnymi w naszym życiu kulturalnym, czujemy się zmuszeni cieszyć pomimo tego, że robią wrażenie, iż nie są tak dobre, jak mogłyby być. To jest ten arcypolski motyw: trzeba się cieszyć, że coś w ogóle powstało, i nie ma co narzekać na niedoróbki. Mogłoby przecież nie powstać w ogóle, prawda?



Moim ulubionym przykładem jest tu „Katyń” Andrzeja Wajdy, film słaby scenariuszowo i drewniany aktorsko, ale który trudno rzetelnie krytykować, bo jest jedynym filmem o zbrodni katyńskiej, który o niej nakręcono (mimo że w tym roku mija od niej 78 lat). Istnieją całe półki książek, które uważamy w Polsce za dobre tylko dlatego, że w ogóle zostały wydane – nie bardzo jest miejsce na krytykę ich niechlujnej redakcji, brzydkiego layoutu czy (najczęściej) fatalnego tłumaczenia. Podobnie z Muzeum II Wojny Światowej. Samo to, że istnieje, że jest ładne w formie, że nie ogranicza się do „hej! bagnet na broń” w treści, a w łazience jest mydło i ciepła woda w kranie – sprawia, że trochę głupio krytykować. Ale trzeba, jeżeli Polska ma nie być krajem wiecznego przedszkola. © PIOTR STANKIEWICZ



ANNA

Dziewit-Meller: Baton mocy



SZANOWNY PANIE MINISTRZE ADAMIE Lipiński, pełnomocniku rządu do spraw równego traktowania i przeciwdziałania przemocy.

Z zainteresowaniem przeczytałam wywiad z Panem, zamieszczony w dniu Największego Święta Wszystkich Naszych Kochanych Pań, czyli 8 marca, w „Dzienniku Gazecie Prawnej”. Podczas lektury odniosłam kilkakrotnie wrażenie, że albo jest Pan człowiekiem, który nie boi się głośno myśleć, czyli wypowiadać wszystko to, co akurat przyjdzie Panu do głowy, albo też – przez niedopatrzenie – nie autoryzował Pan tego tekstu. *Tertium chyba non datur*.

Przyznam na początek, że widzę wysiłek, jaki Pan poczynił, by nazwać głośno pewne problemy, które dla bliskich Panu ludzi bywają niedostrzegalne. Np. wartość Konwencji o zapobieganiu przemocy, której stosowanie tak bardzo odradza nam – stojący zawsze na straży czci polskiej rodziny – prezydent Andrzej Duda. Cieszy mnie bowiem to, że mówi Pan o konwencji, iż jest Pan „jej zwoleńnikiem”. Zawsze to coś. Choć nie do końca wiem co.

Cieszę się, że z ust prominentnego polityka PiS padają słowa o tym, że kobiety są gorzej traktowane niż mężczyźni, że mało jest kobiet w polityce i że faktycznie zarządy polskich dużych firm są zdominowane przez mężczyzn. Zdaję sobie sprawę z tego, że to jest jakiś akt odwagi, gdy się wie, że wywiad ten może przeczytać np. poseł Krystyna Pawłowicz. Takie słowa mogą nie przejść bez echa w wielu środowiskach. Doceniam, bo to jest gest w pewnym sensie kopernikański.

Interesujące wydaje mi się też wspomnienie przez Pana bliskiej mu – jak Pan mówi – idei „konserwatyizmu współczesnego”, sformułowanej niegdyś przez środowisko skupione wokół George’a W. Busha.

Zdaniem tego środowiska rząd powinien mieć ograniczoną rolę zarówno w stosunku do rynku, jak i w życiu obywateli, lecz mimo to ma obowiązek brać odpowiedzialność za słabszych uczestników wolnorynkowej gry. Co ciekawe jednak, mówi Pan o tym nie w kontekście pomocy, jaką nieść ma rząd tym, których łódzie nie unoszą się na fali wolnorynkowego przypływu, lecz w kontekście związków partnerskich, o które pyta dziennikarka. Chętnie dopytałabym więc, o co właściwie Panu chodziło – o to, że umiłowany wolny rynek sam uregu-

luje sprawy tych ludzi, czy też, że im Pan trochę współczuje? Gubię się bowiem i nawet pięć lat moich studiów na Wydziale Nauk Politycznych UJ, czyli w kuźni pisowskich kadr i najgłębszym zagłębiu myśli konserwatywnej, sprawy mi nie ułatwia. Albo za mało się przykładałam na zajęciach, albo członkowie PiS usiłujący mówić z sensem o kwestiach praw kobiet i mniejszości muszą przemawiać językiem ezopowym, tak żeby się pani Pawłowicz nie wściekla.

Na koniec mego listu, Panie Ministrze, chciałam jednak przede wszystkim dodać Panu odwagi. Dużą bowiem część rozmowy poświęcił Pan na udowadnianie, że choć dostrzega Pan problemy, to ma związane ręce, umowa polityczna zobowiązuje, a poza tym i tak Pan nic nie może. Nawet „recenzować działań poszczególnych ministerstw”.

A że wzbudził Pan troszkę moją sympatię, postanowiłam Panu pomóc. Weszłam na stronę internetową Pana instytucji, do zakładki „kompetencje pełnomocnika”, i zobaczyłam, że nie jest tak źle i że właśnie Pan może, tylko Pan sobie po prostu nie doczytał! Wybrałam więc dla Pana kilka cytatów mocy. Niech będą od dziś jako te batony energetyczne dla fitblogerek źródłem dobrej energii w chwilach osłabienia. Tłustym drukiem wyróżniłam szczególnie ważne informacje. Coś jak dodatkowa porcja białka dla zmęczonych treningiem mięśni.

„Do zadań Pełnomocnika należy przygotowanie narodowego programu rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, monitorowanie wdrażania programu, koordynowanie i monitorowanie współpracy organów administracji rządowej z sektorem organizacji pozarządowych i innych instytucji obywatelskich. Pełnomocnik wykonuje swoje zadania we współdziałaniu z właściwymi organami administracji rządowej, które są **zobowiązane do współpracy i udzielania pomocy Pełnomocnikowi, w szczególności przez udostępnianie mu informacji i dokumentów niezbędnych do realizacji jego zadań.**

Należy do nich także przeprowadzanie analiz i ocen rozwiązań prawnych pod kątem respektowania zasady równego traktowania, a także **występowanie do właściwych organów z wnioskami o wydanie lub zmianę aktów prawnych w zakresie spraw należących do Pełnomocnika (...)** podejmowanie działań zmierzających do eliminacji lub ograniczenia skutków powstałych w wyniku naruszenia zasady równego traktowania (...) oraz **inicjowanie, realizowanie, koordynowanie lub monitorowanie działań zmierzających do zapewnienia równego traktowania, a także do ochrony przed dyskryminacją**”.

Niech moc będzie z Panem.

©

AMBONA, KTÓRA PARZY

Księża mają kłopot z głoszeniem homilii – wystarczy zobaczyć, jak się przed tym podstawowym dla swojego powołania obowiązkiem bronią. Jakie są grzechy główne polskiego kaznodziejstwa i jak im zaradzić?

ARTUR SPORNIAK

NA PYTANIE ZADANE PRZEZ MŁODZIEŻ: „Co zrobić z takimi księżmi albo z takimi mszami, które trudno przeżyć?” – znany kaznodzieja i rekolekcjonista o. Adam Szustak odpowiedział: „Jeżeli kazanie jest tak nudne, że chce ci się spać, to – mówię teraz zupełnie poważnie – śpij człowieku, a najlepiej jeszcze w pierwszej ławce, pokaż człowiekowi, że tak głądzi, że przytomność tracisz!”.

Inny dominikanin, rekolekcjonista w Dominikańskim Ośrodku Kaznodziejstwu w Łodzi, o. Tomasz Zamorski w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym” wskazuje na grecki źródłosłów słowa „homilia”, odwołujący się do rozmowy: – To niby jest monolog kaznodziei, ale dobra homilia powoduje, że człowiek, który cię słucha, jakby prowadził z tobą rozmowę.

Zrozumiałe jest więc, że bardzo ważny dla kaznodziei powinien być przekaz zwrotny. Stąd prostolinijna sugestia o zasypianiu podczas mszy. Co jednak, jeśli homilia jest obciążona poważniejszymi usterekami?

I na to o. Szustak ma odpowiedź. Gdy nie chodzi o nudę, a „o jakieś rzeczy głupie, sprzeczne z nauką Kościoła, np. jakieś widzisz polityczne księdza”, wówczas: „Katoliku drogi, obowiązkiem Twoim jest pójść po mszy do zakrystii i powiedzieć temu księdzu, co o tym sądzisz. Przystańcie się bać! Nie zgodzą się z wami, to się nie

zgodzą, wyciepną was z zakrystii, to was wyciepną – trudno, ale idźcie!”.

Zanim jednak udamy się do zakrystii, rozeznajmy problem bardziej wnikliwie.

1. GRZECH: politykowanie

„Polskich spraw nie rozstrzygnie ani ulica, ani zagranica, ani ręka podniesiona w Brukseli” – mówił podczas pasterki w katedrze oliwskiej w Gdańsku abp Sławoj Leszek Głódź. Skąd pomysł, by na ambonie posłużyć się językiem polityków?

– Po pierwsze, te słowa są nieprawdziwe, bo wiadomo, że Unia nie jest naszym wrogiem, chce tylko, byśmy przestrzegali prawa, które sami ustanowiliśmy w umowie społecznej, jaką jest konstytucja – reaguje ks. Wiesław Przyczyna, wieloletni przewodniczący Stowarzyszenia Homiletyków Polskich.

Reakcja profesora uczącego homiletyki w UPJPII w Krakowie pokazuje słabość języka polityków. Można go spokojnie odrzucić – polityczna interpretacja zawsze jest jedną z wielu. O wiele poważniejszym jednak skutkiem użycia takiego języka na ambonie jest wprowadzenie do Kościoła podziału – od razu wiemy, po której stronie stanął abp Głódź.

– Każdy ksiądz jest obywatelem danego państwa i ma prawo sympatyzować z taką czy inną opcją polityczną. Ale prywatnych poglądów nie wolno mu wynosić na am-

bonę, ponieważ tam występuje już w imieniu Kościoła i Pana Boga. A Bóg nie dzieli – zauważa ks. Przyczyna.

Po co zatem to robi – by prowokować? Krakowski homileta wskazuje na bardziej prozaiczną przyczynę. – Myślę, że to jest chęć współuczestniczenia w sprawowaniu władzy. W każdym człowieku coś takiego siedzi, zaś u duchownych pragnienie kierowania ludźmi w sferze duchowej nierzadko przekracza granice i wchodzi w sprawy społeczne i polityczne. Ciekawi mnie, czy mężczyźni żyjący w małżeństwie także zmagają się z pokusą narzucania swojej władzy całej rodzinie? – zastanawia się ks. Przyczyna.

Nie przekonuje go argument, że przecież obowiązkiem biskupa jest zajmować stanowisko także w ważnych sprawach społecznych (choć często doraźna polityka mylona jest z takimi sprawami). – Przez takie zachowania biskupi i księża pokazują, że misteria naszej wiary, które przeżywamy w roku liturgicznym, nie są aż tak ważne, bo ważniejsze mamy sprawy społeczne. A przecież sprawy społeczne można poruszać poza liturgią (listy pasterskie, media, internet). To odruchy wykształcone jeszcze z czasów PRL, kiedy duchowieństwo miało ograniczany przez władze komunistyczne kontakt ze społeczeństwem. Ludziom trzeba głosić misteria wiary, a oni, jeśli będą związani z Chrystusem, będą wiedzieć, jak mają się za-



W katedrze oliwskiej, 26 kwietnia 2008 r.

chować w sprawach społecznych – uważa ks. Przyczyna.

Życie dopisało ironiczną puentę do homilii z katedry oliwskiej. Jak się okazało, PiS-owska zbitkę „ani ulica, ani zagranica” po raz pierwszy użył – wówczas przeciwko inteligencji – w antysemickiej nagonce w marcu ’68 najbliższy współpracownik Gomułki Zenon Kliszko.

2. GRZECH: moralizowanie

Z podobnych psychologicznych mechanizmów rodzi się kolejny grzech – równie, o ile nie bardziej powszechny jak politykowanie.

– Moralizowanie polega na nakładaniu obowiązków bez pokazania, gdzie jest źródło siły do ich realizacji – tłumaczy ks. Wiesław Przyczyna. – Jeśli poka-

żemy, co Bóg zrobił dla człowieka, będzie nam łatwiej podjąć pewne zadania jako odpowiedź na wysiłek Boga. To wzorzec dla każdej homilii.

O. Tomasz Zamorski zauważa, że często homilie rodzą się podczas księżowskich obiadów, podczas których rozmawia się np. o skandalach pokazywanych w telewizji. Wystarczy, że celebrytka przyzna się →

→ do aborcji, koledzy księży to skomentują i mamy gotowy zarys homilii.

– Zwykle są to jednak powierzchowne rozmowy, w których główną rolę odgrywają emocje. Najczęściej nie stoi za tym żadna rzetelna praca, próbująca problem rozgryźć, odpowiedzieć na pytanie: dlaczego tak się stało? Łatwiej powtórzyć za słyszany czy przeczytany komentarz. Jeżeli wygłaszana na ambonie opinia pochodzi ze środowiska kościelnego, to ksiądz myśli, że reprezentuje Kościół. Tymczasem to, co myśli Kościół, jest w tekście biblijnym na dany dzień. I to powinno być treścią homilii – podkreśla dominikanin.

3. GRZECH: liturgia jako show

Ci, co mają łatwość mówienia homilii i wyrobiony warsztat kaznodziejski, mogą ulec pokusie, by podkreślić kaznodziejską publicystykę i zrobić show. Wystarczy, że znajda „wroga” – np. liberalizm, najlepiej w konkretnym wcieleniu. Ring zwykle cieszy się wzięciem, a „ring” na ambonie jest dodatkowo komfortowy, bo „wróg” nie ma szans odpowiedzieć – homilia nie jest przecież publiczną debatą.

– To, niestety, częsty styl naszego duszpasterstwa: prowadzenie wojny. Nie szukamy w Słowie Bożym, na czym polega prawdziwa walka i do czego się ona odnosi – zauważa ks. Arkadiusz Lechowski, wikary w parafii św. Anny w Łodzi i odpowiedzialny za spotkania Alpha (jednej z metod nowej ewangelizacji) w Archidiecezji Łódzkiej.

Gdy homilia nagrodzona zostanie okłaskami, kaznodzieja może się utwierdzić w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Tymczasem, jak zauważa ks. Przyczyna: – Liturgia nie jest moją prywatną sprawą. W Polsce wśród księży funkcjonuje przekonanie, że my jesteśmy gospodarzami liturgii. Ksiądz jak showman chce na sobie skupić uwagę, dlatego szuka. Jest różnica między zawodowcem a mistykiem. Mistyk modli się – sam włącza się w sprawowane misterium, a przez niego włączają się inni.

4. GRZECH: unikanie homilii

Naturalny odruch jest taki, że jeśli coś sprawia nam trudność, będziemy tego unikać. Zławsza gdy świadomi będziemy nieustannej pokusy pójścia na skróty w radzeniu sobie z ową trudnością (politykowanie, moralizowanie, szukania wrogów).

– Gdy jeżdżę po kraju, księży mówią: „Mamy dyżur homiletyczny. Kazanie

Jeżeli ktoś nie żyje słowem,
nie przetrwał go, nie odniósł
do swojego życia,
nie powie dobrej homilii.
Niech to będzie homilia
trzyminutowa,
nieporadna warsztatowo,
ale powiedziana od siebie.

wypada mi raz na dziewięć tygodni”. Ale wtedy on umiera ze strachu, bo nie ma w ogóle nawyku głoszenia Słowa – mówi o. Zamorski. – Traktuje homilię jako najgorszą katorgę w posłudze kapłańskiej. Tymczasem obok sprawowania misterii chrześcijańskich (Eucharystii, spowiedzi) głoszenie Słowa to najważniejsze zadanie księdza.

„Dyżur homiletyczny” to przygotowanie homilii przez wyznaczonego grafikiem księdza i głoszenie jej na wszystkich mszach niedzielnych. Ksiądz dyżurny „wpada” na mszę zwykle pod koniec obrzędów wstępnych i wychodzi zwykle po komunii. Ale to nie jedyne popularne nadużycie. Można odnieść wrażenie, że księży wykorzystują każdą nadarzającą się okazję do rezygnacji z homilii podczas niedzielnej mszy, np. odczytują komunikat z zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu. Nagminnie w polskich diecezjach jest też rezygnowanie z homilii, gdy zaraz po mszy zorganizowana jest adoracja Najświętszego Sakramentu, albo nabożeństwo Drogi Krzyżowej.

Każde z tych zachowań to łamanie norm Kościoła. Przypomniały to niedawno „Wskazania Konferencji Episkopatu Polski dotyczące homilii mszalnej”. Dokument powstał z inicjatywy Stowarzyszenia Homiletów Polskich – to ono przygotowało jego projekt i przekazało Komisji Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Ks. Przyczyna przyznaje, że sporządzony przez homiletów projekt był bardziej wymagający, np. zakazywał używania podczas homilii środków multimedialnych. – Ilustrowanie homilii wyświetlaniem na ekranie zdjęć czy filmów wprowadza dwa przeciwstawne mechanizmy odbioru treści. Słowo wchodzi w głębię, budzi wyobraźnię i działa od wewnątrz, czyli ostatecznie poszerza rzeczywistość,

a obraz zamyka, bo widzi się tylko tyle, ile jest wyświetlone – tłumaczy krakowski homileta.

Przyjęte podczas 377. zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu w październiku i ogłoszone pod koniec listopada ubiegłego roku wytyczne są łagodniejsze: „W homilii zaleca się ostrożność duszpasterską w wykorzystywaniu narzędzi aktywizujących, jakimi mogą być czasem nowoczesne formy techniczne (np. film, obraz, muzyka), a także rekwizyty”.

5. GRZECH: nieżyłciowość

Księża boją się mówić homilie, bo mają świadomość, że niewiele wiedzą o życiu i problemach ludzi, do których mówią. Zławsza gdy czas seminarium spędzili pod kłosem, a potem na parafii utrzymują przyjaźnie tylko w kapłańskim gronie.

– Homilie nie dotyczą konkretnych problemów poszczególnych ludzi, konkretnych wspólnot: parafialnej, diecezjalnej czy narodowej. Homilie te można wygłosić tak samo w Niemczech, na Florydzie, jak i w Australii. A tak nie powinno być. My mamy tyle różnych problemów z naszą wiarą – w wymiarze i osobistym, i wspólnotowym, że homilia powinna dotyczyć spraw, które ludzi boją, które ich cieszą i którymi się smucą – zauważa ks. Przyczyna. – Na przykład czytamy w Ewangelii, że nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Tymczasem politycy uchwalają ustawy, które narzucają taką odpowiedzialność.

Zdaniem krakowskiego homilety mierzenie polityki Ewangelią nie jest politykowaniem. – Politykowanie to działanie odwrotne: mierzenie Ewangelii polityką.

Ks. Lechowski zauważa: – By temu zaradzić, trzeba wsłuchiwać się w świat. To kwestia otwartości. Młodzi nie są w stanie nas zrozumieć – ani to, o czym mówimy, ani to, co proponujemy. Nie chodzi o to, że mamy zmienić propozycje, ale o to, żeby ich zrozumieć i dostosować sposób mówienia do ich języka.

6. GRZECH: słabe przygotowanie

To, że księży boją się głosić homilie albo idą na łatwiznę, wynika także z ich słabego przygotowania. – Wielu księży bardzo mało czyta. W seminarium nie nauczono ich też samodzielnego, odkrywczego myślenia. W związku z tym mają trudności z byciem kreatywnym na ambonie – zauważa o. Zamorski.

Ks. Lechowski dopowiada, że wielu nie czyta nawet Pisma Świętego.

– Być może przedmioty teologiczne, które pomagają Biblię zrozumieć, są zbyt technicznie wykładane w seminariach – zauważa łódzki dominikanin.

Ale o. Zamorski wskazuje także, że wielu księży jest zwyczajnie przepracowanych, ma zbyt wiele „etatów”, stąd nie starcza im czasu na solidne przygotowanie niedzielnej homilii. Zatem sięgają po gotowce.

7. GRZECH: brak zaangażowania

Korzystanie z gotowych materiałów homiletycznych przypieczętowało najbardziej fundamentalny grzech: głoszenia abstrakcyjnych kazań, niezakorzenionych w życiu kaznodziei.

– Wiele księży nie prowadzi życia duchowego, które w naturalny sposób rodziłoby kaznodziejstwo. Idealnie, gdy sami dla siebie czytają Słowo Boże i są przez nie prowadzeni. Jeżeli jednak nie ma życia Słowem Bożym, to nie dasz tego, czego nie masz – zauważa o. Zamorski.

Dominikanin ten deficyt w przeżywaniu więzi ze Słowem Bożym uważa za źródłowy problem kiepskiej jakości polskich homilii. Podobnie sądzi ks. Lechowski. – Jeżeli ktoś nie żyje Słowem, nie przetrwał go, nie odniósł do swojego życia, nie powie dobrej homilii. Niech to będzie homilia trzyminutowa, nieporadna warsztatowo, ale powiedziana od siebie. Wtedy zapadnie ludziom w pamięć. Jeśli naszym obowiązkiem jest przepowiadanie Słowa Bożego, to nie rozumiem księży, którzy

tym Słowem nie żyją – dziwi się łódzki wikary.

O. Zamorski wyjaśnia, jak zmieniało się rozumienie homilii. – Po Soborze Watykańskim II to integralna część liturgii. Homilia jest odsłuchem tekstów z dnia i zapytaniem się, co dzisiaj przez te teksty mówi Bóg, a nie co mówi Bóg na temat przeze mnie wymyślony. Problemy z homilią to ciągle problemy z recepcją nauczania soboru. Jesteśmy spadkobiercami kazania, które najczęściej było rozumiane katechetycznie jako miniwykład, tłumaczący prawdy wiary lub prawdy związane z moralnością, czyli będący taką okazjonalną katechezą.

O. Zamorski wyjaśnia subtelny różnicę między homilią a kazaniem. Ponieważ kazanie głoszone jest poza liturgią, kaznodzieja ma tematycznie większą swobodę. – Odniesieniem homilii powinny być inne teksty biblijne, życie słuchaczy tu i teraz oraz mój intymny związek ze Słowem. Kazanie może sięgać do różnych źródeł – odwoływać się do różnych kodów kulturowych.

Antidotum

Księża w swojej działalności kaznodziejskiej mogą otrzymać instytucjonalne wsparcie, choć jest ono – jak podkreślają rozmówcy „Tygodnika” – kroplą w morzu potrzeb.

W Krakowie salwatoriańskie Centrum Formacji Duchowej kierowane przez ks. Krzysztofa Wonsa prowadzi warsztaty *lectio divina*. Ta starożytna benedyktyńska praktyka jest jakby stworzona, by zaradzić

problemom polskich księży. Jest umiejętnością codziennej modlitwy słowami Pisma Świętego, która ma przemieniać życie zgodnie z sekwencją: *lectio, meditatio, oratio, contemplatio, actio* – czytam, medytuję, modlę się, kontempluję, działam.

Ks. Wons przestrzega: „ksiądz, który nie czyta Biblii, który nie słucha Słowa Bożego, jest w niebezpieczeństwie, jest zagrożony”, a także: „jakie czytanie Słowa Bożego w Kościele, takie czytanie spraw Kościoła i świata”.

Dominikański Ośrodek Kaznodziejski w Łodzi dwa razy do roku organizuje warsztaty dla księży. Ojcowie uczą m.in., kiedy skończyć kazanie (o. Zamorski: „Czujesz, że tracisz kontakt wzrokowy z osobami?”); jak przełamać onieśmienie („Reakcje związane z lękiem i stresem, jak mnie odbiorą moi słuchacze, biorą się z lęku o obraz siebie samego”) czy jakie niespodzianki czekają na kaznodzieję („Czasami zadają pytanie retoryczne, na które ktoś z obecnych na mszy głośno odpowiada”). Z warsztatów korzysta jednak co roku ok. 30 duchownych, podczas gdy w całej Polsce jest ich 30 tys.

Większości księży pozostaje własna systematyczna lektura Pisma Świętego, ewentualnie organizowanie spotkań biblijnych, rozmowy z ludźmi o ich życiowych problemach i modlitwa do Ducha Świętego o wsparcie. Pod warunkiem, że od czasu do czasu znajdzie się ktoś odważny, kto np. w zakrystii po mszy uświadomi im, że wygłoszona homilia nie była najwyższych lotów.

© © ARTUR SPORNIAK

REKLAMA

WIEMY, JAK USZCZĘŚLIWIĆ DZIECI!

moja POLSKA

EMI

PŚIEROCINIEC

WILGA WYDAWNICTWO



TOMASZ STANCZAK / AGENCJA GAZETA

Ks. Michał Misiak w siłowni na terenie parafii przy ul. Rzgowskiej, Łódź, luty 2017 r.

Miłosierdzie na Piotrkowskiej

DOROTA BIDZIŃSKA

Nie ma swojej plebanii i dyżurów w kancelarii parafialnej. Żyje z kolegami w wynajętym mieszkaniu. Kim jest łódzki duszpasterz ulicy?

CIEMNA ULICA W ŁODZI. GDZIEŚ W BRAMIE słychać krzyki. Przyspiesza, idzie właśnie w tym kierunku.

– W czymś pomóc? – pyta. Uważnie przygląda się chłopakom z butelkami w dłoniach: – Mogę się dołączyć?

– Co ty? Przebieieraniec? – rzuca jeden z nich, wpatrując się w jego sutannę.

– Nie, jestem księdzem – odpowiada spokojnie.

Siada z nimi. Pyta, jak żyją, czy czegoś potrzebują. Przede wszystkim słucha. Zdarza się, że po chwili jeden z nich skinie na niego: – Chodź, księżulku, ze mną.

Zaprowadzi go w głąb podwórka. Zacznie opowiadać. Szczere, prosto z serca. O nałogu, z którym nie daje sobie rady. O żonie, która odeszła i zabrała dzieci. Czasem zdecyduje się na spowiedź. W odrapany, zasikany podwórku padną słowa rozgrzeszenia.

– Mam wrażenie, że w Kościele źle rozkładamy akcenty. Potrzeba nam równowagi między odwagą szukania i mądrością pielęgnowania.

Ks. Michał szuka. Ciągnie go do „trudnych środowisk”: kibiców, bezdomnych, uzależnionych od narkotyków lub dopalaczy. Mówi, że paradoksalnie właśnie tam najłatwiej głosić Dobrą Nowinę.

Tak jak tym dwóm młodym chłopakom. Spotkał ich któregoś wieczoru. Stali w bramie, palili i głośno przeklinali. Podszedł i zapytał, czy nie chcieliby spędzić czasu inaczej. Zaprosił ich na mecz. Przyszli, razem pograli w piłkę. Potem zaproponował im wyjazd na wakacyjne rekolekcje oazowe.

– Mocno przeżyli ten czas. Po powrocie zaczęli mi pomagać w parafii – opowiada ks. Michał. – Myślę, że tak chętnie odpowiedzieli na moje zaproszenie, bo w tych kilku prostych słowach zostali zaakceptowani. Obaj mieli w domu nieciekawą sytuację. Jednemu z nich niedawno zmarł tata. Zapił się. Dawno przyklejono im łatkę tych, przed którymi trzeba uciekać na drugą stronę ulicy albo chować cenniejsze rzeczy, bo ukradną. A teraz, być może pierwszy raz od dawna, ktoś im zaufał.

– Czy się boję? Nie – odpowiada. – Wiem, że to dziwne, chodzić nocami po strychach w poszukiwaniu bezdomnych czy rozdzielać bijących się na noże w bramie i nawet nie czuć przyspieszonego tętna. Podczas święceń otrzymałem od Ducha Świętego dar męstwa, który sprawia, że w takich sytuacjach nie odczuwam lęku. Nie jest to moja naturalna odwaga,

bo sam z siebie byłem zawsze raczej nieśmiały.

Eksperyment

Papież Franciszek w dokumentach, przemówieniach i homiliach stale mówi o duszpasterstwie misyjnym i Kościele wyruszającym w drogę. W adhortacji „*Evangelii gaudium*” pisze o sercu, które „nigdy się nie zamyka, nigdy nie szuka poczucia własnego bezpieczeństwa, nigdy nie wybiera sztywnej samoobrony. Wie, że ono samo musi wzrastać w zrozumieniu Ewangelii i w rozeznawaniu dróg Ducha, i wtedy nie rezygnuje z możliwego dobra, lecz podejmuje ryzyko pobrudzenia się ulicznym błotem”.

Z podobnymi słowami zwrócił się w styczniu do wiernych nowy arcybiskup łódzki Grzegorz Ryś w liście na rozpoczęcie IV Synodu Archidiecezji: „Nie chodzi o to, byśmy z trwogą pilnowali naszych statystyk, zaklinając je, by nie spadały w zbyt szybkim tempie. Chodzi o to, byśmy wyszli z Ewangelią do świata”.

Słowa te wybrzmiewają zwłaszcza w Łodzi, gdzie według najnowszego raportu Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego z 2016 r. udział wiernych uczestniczących w niedzielnej mszy wynosi zaledwie 23,4 proc. (trzecie miejsce od końca w rankingu wszystkich diecezji), zaś osób przystępujących do komunii – 10,9 proc. (co daje Łódź czwarte miejsce od końca).

Ks. Misiak nie odczuwa tego kryzysu. Zbyt często jest świadkiem poruszających nawróceń, powrotów do Boga po wielu latach błędzenia i szukania, gorliwych spowiedzi. Od wielu lat stara się być blisko ludzi. W jednej ze swoich parafii założył akademię parkouru, żeby dotrzeć do tamtejszej młodzieży. Nauczył się nawet jeździć na desce. W Pabianicach zadarł z miejscowymi dostawcami dopalaczy, bo co wieczór przychodził na plac, na którym je sprzedawano, zagadywał do uzależnionych, częstował ich herbatą, modlił się za nich.

Do tej pory musiał dzielić tę aktywność z codziennymi obowiązkami na parafii. – Wbrew pozorom nie tak łatwo być dla ludzi, kiedy żyje się na parafii – opowiada. – Na wielu plebaniach nie wolno karmić, pozwalać się wykapać i nocować potrzebującym. Często wieczorem wylacza się domofon lub zamyka się bramy i furtki, czyniąc z plebanii twierdzę nie do zdobycia. Zdarza się, że młodzi księża słyszą od swych proboszczów: możesz realizo-

wać swoje fanaberie ewangelizacyjne, ale w czasie wolnym, po kancelarii i innych dyżurach. A przecież ewangelizacja jest nie tyle najważniejszym zadaniem Kościoła, co tak naprawdę jedynym!

Abp Marek Jędraszewski, kiedy jeszcze zarządzał łódzką archidiecezją, postanowił, że ks. Misiak swoje powołanie powinien realizować poza parafią. Żeby być bliżej ludzi – zamieszkał w prywatnym mieszkaniu, które wynajmuje na spółkę z dwójką młodych chłopaków. Ten eksperyment potrwa rok i pokaże, czy taka niestandardowa praca duszpasterska się sprawdzi. – Inicjatywy, które podejmuje ks. Michał, mają błogosławieństwo zarówno mojego poprzednika, jak i moje – wyjaśnia nowy metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś. – Trzeba równocześnie wyraźnie zaznaczyć, że mimo tej specyficznej sytuacji nie działa sam, zawieszony w próżni. Jest mocno związany ze środowiskiem jezuitów, z tamtejszą wspólnotą ewangelizacyjną Mocni w Duchu. Jeszcze zobaczymy, jak to się w przyszłości rozwinie.

Pakujcie w Duchu Świętym

Na pierwszy rzut oka wygląda jak zwykła, osiedlowa siłownia. Surowe wnętrza, sprzęty do ćwiczeń, na ścianach plakaty z kulturystami.

Ale plakaty podpisane są imionami biblijnych siłaczy: Dawid, Gedeon, Benażasz, Samson. Na ścianie obok motywacyjne wpisy od nawróconych raperów z grupy Wyrwani z Niewoli, Marcina Zielińskiego – znanego młodego ewangelizatora, który zachęca odwiedzających siłownię, by „pakowali w Duchu Świętym”, od trenera z łódzkiej szkoły walki („Żyć z pasją. Bo pasja prowadzi do Boga, jeżeli Bóg jest na pierwszym miejscu”) i zawodnika tajskiego boks („Trzeba walczyć, aby Bóg dał zwycięstwo”). Z głośników brzmi chrześcijański rap. Siłownia powstała przy kościele jezuitów. Nazywa się Mocni w Duchu.

– To miejsce dla tych, którym może łatwiej jest przyjść na siłownię niż do kościoła – mówi ks. Misiak. – Codziennie dyżuruje tu osoba, które spotkały w swoim życiu Jezusa. Siłownia to przestrzeń, w której szybko zawiązują się znajomości. Zawsze między jedną a drugą serią ćwiczeń jest okazja, żeby trochę pogadać. A taka rozmowa to świetny czas, by dzielić się wiarą. Raz od chłopaka podnoszącego sztangę usłyszałem: „Te ciężary to jest nic

w porównaniu z tym, co człowiek dźwiga w sobie”. Zapytałem go: „A ty? Co dźwigasz?”. Nawiązała się w ten sposób bardzo głęboka rozmowa.

– Przychodzą tu np. osoby, które Bóg uzdrowił z uzależnienia od dopalaczy – mówi Alek Beta, trener personalny i opiekun siłowni. – Dzielę się swoimi świadectwami. Kątem oka widzę, jak wielu ćwiczących przysłuchuje się im z uwagą. Kiedyś od jednego chłopaka, z którym trenowałem, usłyszałem poruszającą historię. Też był uzależniony, miał depresję i myśli samobójcze. Pewnego wieczoru zdesperowany pobiegł do lasu. Tam uklęknął i zaczął w duchu wołać do Boga: „Jeśli jesteś, to daj mi znak. Teraz. Nie za tydzień, za miesiąc, tylko teraz. Bo inaczej się zabiję”. Wtedy nagle podszedł do niego jakiś człowiek. Podał mu rękę i zapytał: „Mogę ci jakoś pomóc, przyjacielu?”. Totalnie go zatkało. Wymamrotał zaskoczony: „Już mi pomogłeś”. To zdarzenie zrobiło na nim tak ogromne wrażenie, że wróciła mu wola walki. Uwierzył, że Bóg może go uratować. Wyszedł z nałogu. Żyje do dziś.

Drzwi siłowni co chwilę się otwierają. Ktoś wpada na trening, ktoś tylko się przywitać, ktoś przyszedł, bo ma problemy i już nie mógł dłużej wysiedzieć sam w czterech ścianach. Są tu kibice, członkowie subkultur, chłopaki z blokowisk. Ks. Michał wie, jak do nich trafić.

– Najpierw zostałem punkiem. Ale to był tylko taki młodzieńczy bunt: chodziłem na wagary i nie chciało mi się uczyć. Nie szła za tym żadna głębsza ideologia – opowiada. – Potem bujnęło mnie na prawo, to znaczy zostałem członkiem Młodzieży Wszechpolskiej. To było doświadczenie o tyle ważne, że rzeczywiście wierzyłem w wartości, które szły za tą organizacją: patriotyzm, honor, waleczność. Dziś z perspektywy czasu jestem wdzięczny Bogu za tamte etapy mojego życia, bo dzięki nim lepiej rozumiem dziewczyny i chłopaków, którzy angażują się w takie ruchy. Łatwiej mi do nich dotrzeć z Ewangelią, uczyć miłości i szacunku do każdego człowieka.

Ks. Michałowi i jego przyjaciółom marzą się kolejne miejsca, w których ludzie będą mogli doświadczyć prawdziwej wspólnoty, tak jak ta, która spontanicznie powstała na siłowni.

– Otwieramy przy Piotrkowskiej bistro cafe – mówi Marta Gapienek ze wspólnoty Mocni w Duchu. – Chcemy stworzyć miejsce, gdzie każdy będzie mógł odpocząć, ➔

→ zatrzymać się, porozmawiać przy herbatce, posłuchać muzyki, zainspirować się spotkaniami z różnymi ludźmi. Z kubkiem kawy i dobrym ciastem czy sałatką będziemy czekać na każdego zmęczonego, zagonionego i głodnego.

Na Pietrynie

Reprezentacyjna ulica Łodzi – słynna Piotrkowska. Właśnie tu ks. Misiak przyszedł z coroczną wizytą duszpasterską. Błogosławił miejsca pracy i odpoczynku. Modlił się z hipsterami z modnych sklepów i starszami ze skromnych straganów. Z niektórymi był pięć minut, z innymi ponad godzinę.

W pubie ze stałymi bywalcami i transmisjami meczów modlił się: „Niech krzyżem i śpiewają, Panie Jezu, niech sobie nawet przecinkiem upuszczają emocje... Ale tylko tu, na meczach. W domu niech ci mężowie i ojcowie będą mężni, opanowani, niepijący, kochający”.

Na Piotrkowskiej codziennie odbywa się też godzina miłosierdzia. To pomysł Dominika i Rafała, współlokatorów ks. Michała, którzy codziennie modlili się Koronką do Bożego Miłosierdzia w swoim mieszkaniu. Któregoś dnia wymyślili, żeby wyjść z modlitwą na ulicę. Stanęli z różańcami na niewielkim placu. Stop-

niowo zaczęli dołączać do nich znajomi, osoby z kościelnych wspólnot, ale też przechodnie i ci, dla których ulica jest jedynym domem – grupka kręcących się po okolicy bezdomnych.

Modlą się głośno, z gitarą. Brodaty mężczyzna w zniszczonej kurtce niezdarne tańczy do pieśni uwielbienia. Większość przechodniów mija ich obojętnie. Część zwalnia i przygląda się uważnie. To do nich podchodzą niektóre z modlących się osób, zagadują, proponują modlitwę w ważnych dla przechodniów intencjach.

– My się tu przytulamy – mówi cicho Kasia, bezdomna, która dołączyła do modlących się na Piotrkowskiej. – Tu jest ciepło. To co, że niektórzy są pijani? Czy pijani nie mogą się modlić? Przynoszą nam jedzenie, ciepłą herbatę, czasem ubrania. Dobrze, że tu są. Ale ja się pytam: gdzie oni byli wcześniej? Dlaczego nikt nie przychodził do nas wcześniej...? Dwa, trzy lata temu – kończy lekko rozżalona.

Mról po godzinnej modlitwie daje się we znaki, ale nikt nie spieszy się do domu. Ktoś pobiegł do pobliskiego bistro po kilka porcji ciepłych zup na wynos. Rozmawiają, ściskają się, śmieją. Są poruszeni i szczęśliwi. Brodaty mężczyzna, który jeszcze przed chwilą tańczył z unie-

sionymi rękami, nagle poczuł się gorzej. Przysiadł na murku, wymiotuje. Chłopaki z powagą kładą mu ręce na ramionach. Szeptem modlą się za niego.

Czy tak wygląda współczesny Kościół? Garstka pełnych entuzjazmu zapaleńców, którzy, jak uczniowie z pierwszych stron Dziejów Apostolskich, wyglądają, jakby „upili się młodym winem”. I rzesza ludzi przechodzących obojętnie, z lekkim zdziwieniem, obok.

Szpadel w rękach Boga

Wtorkowy wieczór pod kościołem jezuitów w centrum Łodzi. O tym, co się tu dzieje, najlepiej mówią ślady wydeptane w świeżym śniegu. Co tydzień ks. Michał Misiak zaprasza na „spacer miłosierdzia”. To czas, kiedy maszerując razem z nim wokół kościoła, można porozmawiać o najtrudniejszych sprawach, odbyć spokojną, głęboką spowiedź bez popędzania przez kolejkę czekających przed konfesjonalem penitentów.

– Modłę się, żeby takie spacery przyjęły się w wielu parafiach w Polsce – mówi. – Ludzie, którzy przychodzą na rozmowę lub spowiedź, są poruszeni wagą swoich problemów, a następnie mocą Bożej interwencji. Spacerując dookoła kościoła widzę, jak sakrament pojednania zmienia nie tylko ludzkie życiorysy, ale i twarze. Często po spowiedzi mówię kobietom prosto z mostu: „Jesteś piękna! Widać wolność i pokój w twoich oczach”.

Ale to nie oznacza, że kapłaństwo jest dla niego łatwe. Szczerze przyznaje, że mimo spotykanych na co dzień ludzi, z którymi się modli i rozmawia, nie przestaje czuć się samotny. Swoje powołanie widzi jako bycie dla wszystkich, co sprawia, że jego serce nie może należeć do jednej osoby. Celibat i samotność z nim związaną postrzega jako krzyż, który – jak mówi – ciągle na nowo stara się podejmować, dojrzewając do decyzji całkowitej ofiary ze swojego szczęścia.

– Zawsze wychodzę do ludzi ze świadomością swojej słabości i grzeszności oraz mocy Bożej, która działa przeze mnie dzięki charyzmatom i kapłaństwu, które dostałem. To mnie upokarza, przez co czyni skutecznym. Z tymi moimi braćmi, wadami czuję się jak brudny szpadel w rękach Pana Boga. Są na pewno czystsze i lepiej zadbane. Ale i tym niedoskonałym można przecież przekopać ogródek. Wszystko zależy od Ogródnika.

© DOROTA BIDZIŃSKA

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że 4 marca 2018 roku
w Toruniu zmarła w wieku 95 lat
nasza kochana Mama, Babcia i Prababcia

ś.†p.

Elżbieta Weymanowa

z domu Szeptycka

cóрка Leona i Jadwigi z Szembeków,
prawnuczka Aleksandra Fredry,

ostatnia ze swego pokolenia,
sanitariuszka AK, ofiarny lekarz pediatria,
współzałożycielka i wolontariuszka toruńskiego hospicjum domowego,
członek Rodziny Katyńskiej,
wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Toruniu,
człowiek wielkiej wiary, życzliwy światu i ludziom.

Pograżeni w żałobie
CÓRKA I SYN Z RODZINAMI

Pojednanie jest możliwe

S. MARIA KRYSZYNA ROTTENBERG

To, co Bóg uczyni na końcu czasów, będzie tak radykalne, że zaskoczy wszystkich: Żydów, chrześcijan, każdego człowieka.

SOBOROWA DEKLARACJA „*NOSTRA AETATE*” z 28 października 1965 r. i żydowski dokument „*Dabru emet*” („Mówmy prawdę”), który ukazał się 10 września 2000 r., a opracowany został przez ponad 220 rabinów i intelektualistów żydowskich, czytane razem dają najpełniejszy obraz trudnych relacji chrześcijan z ich „starszymi braćmi w wierze” na przestrzeni wieków. Rodzi się dziś pytanie, dlaczego dopiero 35 lat po II Soborze Watykańskim ukazała się żydowska odpowiedź na deklarację „*Nostra aetate*”.

Lepiej późno niż wcale, odpowiadają specjaliści po jednej i drugiej stronie.

„Zgłębiając tajemnice Kościoła ten Święty Sobór pamięta o więzi, jaką został duchowo złączony lud Nowego Przymierza z potomstwem Abrahama. Kościół bowiem Chrystusowy uznaje, iż początki jego wiary i wybrania znajdują się według Bożej tajemnicy zbawienia już u Patriarchów, Mojżesza i Proroków. (...) Dlatego też Święty Sobór, idąc śladami świętych Apostołów Piotra i Pawła, żarliwie zaklina chrześcijan, aby dobrze postępując wśród narodów (1 P 2, 12), jeśli to tylko możliwe i o ile to od nich zależy, zachowywali pokój ze wszystkimi ludźmi (Rz 12, 18) tak, by prawdziwie byli synami Ojca, który jest w niebie (Mt 5, 45)”.

Nauczanie soborowe powoli torowało sobie drogę do świadomości coraz to szerszych kręgów – najpierw elit, potem zwykłych wiernych Kościoła rzymskokatolickiego. Ekumenizm i dialog żydowsko-chrześcijański w Kościele też miały zagościć przeciwników w czasie trwania Soboru i długo jeszcze po jego zamknięciu. Nie inaczej było i jest po stronie żydowskiej odnośnie do dokumentu „*Dabru emet*” sprzed 18 lat. Istnieje na ten temat ogromna literatura, także w języku polskim.

Jak słusznie zauważył wybitny znawca tej problematyki David Novak – rabin

z Toronto, filozof i teolog, współautor dokumentu „*Dabru emet*” – trudnością było nie tylko nowe rozumienie Żydów i judaizmu przez chrześcijan („Kto spotyka Jezusa, spotyka judaizm”, Jan Paweł II) oraz chrześcijaństwa przez Żydów, ale też pogłębione rozumienie chrześcijaństwa przez samych chrześcijan oraz judaizmu przez Żydów. To była i jest ciernista droga. Równocześnie musimy być świadomi, mówi rabin Novak, że nasze doktrynalne rozstrzygnięcia tak po jednej, jak i drugiej stronie są jedynie tymczasowe. To, co Bóg uczyni na końcu czasów, u kresu historii, będzie tak radykalne, że zaskoczy nas wszystkich: Żydów, chrześcijan i wszystkich innych ludzi. Taka jest płaszczyzna doktrynalna (teologiczna) dialogu.

A cóż powiedzieć o wymiarze historycznym, o zacieklej sporach, tak w świecie, jak i w Polsce, które trwają i końca ich nie widać; ile gniewu, nienawiści, emocji, podejrzeń. Dla Żydów zwornikiem niejako dziejów Izraela jest Zagłada i trwanie – przetrwanie. Dla nas zaś tysiąc lat względnie pokojowego współistnienia Polaków i Żydów na naszych ziemiach, korzenie ludowego antysemityzmu, jego przejawy i skutki oraz niemożliwy już prawie do określenia stopień jakiegoś współodpowiedzialności niektórych Polaków za zbrodnie niemieckich nazistów dokonane na terenie okupowanej Polski.

Dobrym tego przykładem są coroczne Dni Judaizmu w Kościele rzymskokatolickim w Polsce. W Białymstoku 16 stycznia 2003 r. Szewach Weiss powiedział: „Jaka szkoda, że spotykamy się dziś z judaizmem, a nie z Żydami, bo ich praktycznie w Polsce nie ma”. W innym kontekście postawiono mu pytanie: czy Polacy i Żydzi mogą zacząć wszystko na nowo? Przewodniczący Knesetu (1992-96), były ambasador Izraela w Polsce (2001-03), przyjaciel Polski, od lat daje świadec-

two temu właśnie, że możemy zacząć na nowo, że pojednanie jest możliwe.

Podobne świadectwo dał w lutym 2004 r. były minister spraw zagranicznych Adam Daniel Rotfeld – urodzony w Przemyslanach 4 marca 1938 r., dziecko Holokaustu, uratowany w klasztorze studentów w Uniowie, pod Lwowem – w czasie uroczystości upamiętniającej bł. Emiliana Kowcza, kapłana Ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego w Przemyslanach, zamęczonego na Majdanku (1944 r.), głównie za ratowanie Żydów.

Byłam naocznym świadkiem tych dwóch spotkań: Białystok 2003, Majdanek 2004 oraz wielu innych w Polsce i Europie.

Ostatnie wydarzenia wokół nowelizacji ustawy o IPN odbiły się echem na całym świecie, w Polsce dokonywały się zaś bez udziału Żydów, bo ich po prostu nie ma; pozostała po roku 1968 zaledwie znikoma garstka Polaków o żydowskich korzeniach. O, paradoksie!

Wybitny politolog i socjolog francuski polskiego pochodzenia, Georges Mink, autor znakomitej syntezy naszych dziejów od roku 1914 do czasów najnowszych, w książce „Polska w sercu Europy”, udzielając wywiadu dla „Rzeczpospolitej” na temat antysemityzmu, kończy swą wypowiedź traumatycznym wspomnieniem losu swojego ojca, deportowanego z Paryża, więźnia obozu Auschwitz-Birkenau, torturowanego przez polskiego kapo, a uratowanego przez niemieckiego majstra będącego świadkiem wydarzenia. „Ten obraz – mówi prof. Mink – spowodował, że choć oczywiście znam proporcje, wiem, kto jest odpowiedzialny za Holokaust, i walczę z relatywizacją zbrodni nazizmu, to przecież zrozumiałem, że wtedy nie wszyscy Niemcy byli zli, a wszyscy Polacy dobrzy”.

Myślę, że gdybyśmy dzisiaj w Polsce umieli w głębi własnego serca i sumienia spokojnie, bez patosu, powiedzieć sobie: „nie wszyscy Niemcy byli zli, a nie wszyscy Polacy dobrzy”, nie doszłoby do tak gwałtownych i gorszących sporów wokół nowelizacji ustawy IPN, która właśnie weszła w życie. ©

S. MARIA KRYSZYNA ROTTENBERG należy do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, założonego w 1918 r. przez Różę Czacką i związanego z Zakładem dla Ociemniałych w Łaskach.

Chrześcijanin patrzy na świat

SZYMON HIŻYCKI OSB

Czy mnisi i święci z początków Kościoła mogą nas czegoś nauczyć? Przyjrzyjmy się im w Wielkim Poście – dzisiaj o tajemniczym autorze dziełka „Do Diogneta”.

POMYŚLMY, CO ZWYKŁY CHRZEŚCIJANIN mógłby dzisiaj powiedzieć swoim niewierzącym kolegom i koleżankom? Jakich argumentów i jakich obrazów mógłby użyć, aby pokazać wielkość Ewangelii i codzienność życia wspólnoty Kościoła?

W 1436 r. szczęśliwym przypadkiem w Konstantynopolu został odkryty rękopis zawierający różne teksty pochodzące z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Pomiędzy nimi znajdowało się tajemnicze dzieło, klasyfikowane dzisiaj jako przynależące do literatury apokryficznej, „Do Diogneta”. Tekst powstał na przełomie II i III wieku, zapewne w Egipcie, ale wymienia się również Azję Mniejszą bądź Rzym. Nieznany nam autor nieznanemu również poganinowi, Diognetowi, wyklada nie tylko zasady chrześcijańskiego życia, ale także prawdy wiary. Poniższy fragment doskonale wprowadza nas w klimat dyskursu.

„Chrześcijanie nie różnią się od innych ludzi ani miejscem zamieszkania, ani językiem, ani strojem. Nie mają bowiem własnych miast, nie posługują się jakimś niezwykłym dialektem, ich sposób życia nie odznacza się niczym szczególnym. Nie zawdzięczają swej nauki jakimś pomysłom czy marzeniom niespokojnych umysłów, nie występują, jak tyłu innych, w obronie poglądów ludzkich. Mieszkają w miastach hellenistycznych i barbarzyńskich, jak komu wypadło, stosując się do miejscowych zwyczajów w ubraniu, je-



Fresk przedstawiający Jezusa uzdrawiającego kobietę. Rzym, katakumby św. Marcelina, III wiek.

dzeniu, sposobie życia, a przecież samym swoim postępowaniem uzewnętrzniają owe przedziwne i wręcz paradoksalne prawa, jakimi się rządzą. Mieszkają każdy we własnej ojczyźnie, lecz niby obcy przybysze. Podejmują wszystkie obowiązki jak obywatele i znoszą wszystkie ciężary jak cudzoziemcy. Każda ziemia obca jest im ojczyzną i każda ojczyzna ziemią obcą. Żenią się jak wszyscy i mają dzieci, lecz nie porzucają nowo narodzonych. Wszyscy dzielą jeden stół, lecz nie jedno łóże.

Są w ciele, lecz żyją nie według ciała. Przebywają na ziemi, lecz są obywatelami nieba. Słuchają ustalonych praw, z własnym życiem zwyciężają prawa. Kochają wszystkich ludzi, a wszyscy ich prześladowają”.

Zwyczajność życia chrześcijańskiego jest chyba czymś najlepszym, co dzisiaj wierzący może dać niewierzącemu światu. Nic w tym niezwykłego, że prowadzimy życie pobożne – w sumie jesteśmy bardzo, bardzo normalni. O wiele jednak bardziej interesująca jest motywacja, która przyświeca chrześcijanom: skąd oni to wszystko mają? W dalszej części tekstu autor wyjaśnia podstawy naszej religii: wiarę w jednego Boga, który z miłości do człowieka zesłał Syna, aby Ten stał się człowiekiem, umarł i zmartwychwstał; że Ten Syn przyjdzie na sąd... Czy dzisiaj, kiedy nasze emocje rozpalają dyskusje na temat moralności, komunii dla osób pozostających w związkach niesakramentalnych, aborcji, homoseksualizmu... – nie byłoby właściwe postąpić tak, jak to uczynił autor „Do Diogneta”? Przypomnieć sobie teologię dogmatyczną, która przecież nie mówi o abstrakcyjnych prawdach, ale o niewyobrażalnym dziele miłości podjętym przez Boga dla zbawienia każdego człowieka? Czy wobec takich tajemnic człowiek może pozostać obojętny? A gdy się nimi przejmie na serio, to pewnie wtedy także i kwestie moralne same jakoś w nas się ukształtują w sposób właściwy dla tradycji katolickiej.

„Do Diogneta” naucza nas dzisiaj nie tylko przez swą literę, ale także przez dzieje samego rękopisu; on bowiem, przetrwawszy szczęśliwie niemal 17 wieków, został zniszczony podczas pożaru wywołanego artyleryjskim ostrzałem Strasburga podczas wojny prusko-francuskiej w 1870 r. W świetle tego, co wyżej powiedziano, czy nie jest to dla nas wszystkich przestroga?

©

O. SZYMON HIŻYCKI (ur. 1980) jest opatem klasztoru benedyktynów w Tyńcu, patrologiem i badaczem początków monastycyzmu.

SZYMON

Hołownia: Obrońcy śpiworka



POD KONIEC FALI TEGOROCZNYCH MROZÓW DO sieci trafiło zdjęcie kartki wywieszonej w klatce bloku na warszawskich Kabatach. Lokator z mieszkania 129 zaapelował do sąsiadów, by nie wpuszczali na klatkę bezdomnych. Bo ktoś wpuścił, zrobił herbatę (czego dowodem pokazane na zdjęciu kubki) i skończyło się tak, że bezdomny podłożył sobie pod głowę leżący na saneczkach dziecięcy śpiworek. I teraz śpiworek trzeba będzie uprać, co kosztuje 35 zł. „Prosimy nie wpuszczać na klatkę bezdomnych, którzy stanowią zagrożenie dla nas i dla naszego mienia. Liczymy także na przyzwoitość właścicieli kubeczków i na przeprosiny za zaistniałą sytuację” – czytamy w ogłoszeniu.

Początkowo myślałem, że to fejk. Że jednak nie – przekonały mnie dwie rzeczy. Pierwsza: po wrzuceniu owego zdjęcia na Facebooka otrzymałem wiadomość od autorki fotografii, która poinformowała, że rozmawiała z autorem kartki i ów był z siebie dumny, iż udało mu się wypłoszyć z klatki „śmierdziela”. Dowód drugi: komentarze rodaków, którzy zalali mi profil wyrazami gorącego wsparcia dla obrońców śpiworka. Nie należę do ludzi mających kłopot z artykulacją przekonań: gdy napnę pamięć, przywołam może ze dwa momenty, w których zabrałem mi słów. Ten był trzeci.

Początkowo wdawałem się jeszcze w dyskusję z ojcami i matkami, którzy wyjaśniali, że bezdomni to: brudasy, roznosiciele insektów i mikrobow, same sobie winne darmozjady, „wredne ścierwa” czekające tylko, by zdefekować się na wycieraczkę. Że jak ja śmiem twierdzić, że Jezus się z takimi utożsamiał i kazał takim pomagać?! A z nami, którzy musimy ten smród znosić, to się nie utożsamiał? Żeby ten menel miał miękko pod głową – to jest dla Boga ważniejsze niż to, że moje dziecko nie będzie mogło pojechać na saneczki? „Ja bym nie tolerowała śmierdzącego bezdomnego nawet w 20-stopniowy mróz. Dlaczego mam znosić jego smród, jego problemy? Dlatego, że jestem katolikiem? Mam kochać i dotykać człowieka, na którym mieszkają pchły i inne pasożyty? Ja też mam swoje problemy. Ale że nie mam choroby alkoholowej i nie jestem w kryzysie bezdomności, to nikogo nie interesuje, czy np. mogę znosić czyjs smród, jadąc z nim autobusem? Mam obowiązek go znosić, bo właśnie jestem katolikiem? To mnie zobowiązuje, żeby reagować na jego kryzysy bez względu na warunki? Otóż nikt z nas nie jest Jezusem Chrystusem”.

Początkowo wdawałem się jeszcze w dyskusję z ojcami i matkami, którzy wyjaśniali, że bezdomni to: brudasy, roznosiciele insektów i mikrobow, same sobie winne darmozjady, „wredne ścierwa” czekające tylko, by zdefekować się na wycieraczkę. Że jak ja śmiem twierdzić, że Jezus się z takimi utożsamiał i kazał takim pomagać?! A z nami, którzy musimy ten smród znosić, to się nie utożsamiał? Żeby ten menel miał miękko pod głową – to jest dla Boga ważniejsze niż to, że moje dziecko nie będzie mogło pojechać na saneczki? „Ja bym nie tolerowała śmierdzącego bezdomnego nawet w 20-stopniowy mróz. Dlaczego mam znosić jego smród, jego problemy? Dlatego, że jestem katolikiem? Mam kochać i dotykać człowieka, na którym mieszkają pchły i inne pasożyty? Ja też mam swoje problemy. Ale że nie mam choroby alkoholowej i nie jestem w kryzysie bezdomności, to nikogo nie interesuje, czy np. mogę znosić czyjs smród, jadąc z nim autobusem? Mam obowiązek go znosić, bo właśnie jestem katolikiem? To mnie zobowiązuje, żeby reagować na jego kryzysy bez względu na warunki? Otóż nikt z nas nie jest Jezusem Chrystusem”.

Przyznaję: oniemiałem widząc, ilu moich współziomków jest święcie przekonanych, że Jezus to taki pan z budki stojącej przy szlabanie, którego zadaniem jest dopilnować, by na ogrodzone

osiedle naszego komfortu nie wkradł się przypadkiem ktoś przykry. Oto Kościół Wyznawców Jezusa Czystych Śpiworek, Zadbanych Klatek, Pachnących Autobusów. Kościół głoszący Nowinę: „Zaprawdę powiadam wam: lękajcie się! A gdy brzydzicie się swojego brata, którego się lękacie – Pan Jezus jest z wami! Cierpienie waszych nosów, lęk o wasze saneczki, o to, by nie pałętali się tu jacyś śmierdiele i ciapaci, włączone jest w Jego mękę na krzyżu!”.

Ja wiem, że wielu myśli inaczej. Wiem, że jest Zupa na Plantach (i dziesiątki innych Zup w całej Polsce), domy Wspólnoty Chleb Życia, Kamilińska Misja Pomocy Społecznej, Wspólnota Sant'Egidio, kuchnie socjalne, parafialne ogrzewalnie czy (najbardziej potrzebne) łaźnie. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie jednak, jak liczni są inni. Jakie okopy – mimo tysięcy godzin katechezy, setek kazań, religijnej propagandy (w tym i mojej) – zdołała wyrwać w umysłach moich rodaków sączona im od paru lat ideologia separacji naszości (etnicznej, religijnej, ekonomicznej, społecznej) od inności. Jak – mimo tysięcy godzin katechezy, setek kazań, religijnej propagandy (w tym przecież i mojej) w audio, tekście i wideo – nadal nie wierzą w to, że ziemia jest drogą do domu: bo co będzie, to nie wiadomo, a na razie trzeba się przecież tu jakoś bezpiecznie urządzić.

Młodzież od swastyk z wafelków mówi wszak: „To nie tak, że my nienawidzimy Żydów albo czarnych, oni mogą przecież sobie żyć, ale za granicą, u siebie, w jakimś Żydowie albo Murzynowie, od naszej ziemi – wara”. Nasz rząd i jego propaganda, co tłucze swoim wiernym do głów w sprawie uchodźców? „Oczywiście, że to są ludzie. Ale ponieważ roznoszą choroby i islam, będziemy im pomagać zdalnie, talerzyk zostawiany podczas naszej polskiej Wigilii nie jest dla nich”. Gdzie jest miejsce chorych na AIDS? W zamkniętych ośrodkach. Bezdomni? Do noclegowni. Staruszkowie? Do domów starców. Jezus na pewno nie chciałby, żebyśmy czuli się źle patrząc, jak ludzie męczą się i umierają. Kto wreszcie powoła fundację na rzecz opieki nad szantażowanymi Ewangelią? Nad męczennikami katolicyzmu bezobjawowego?!

Stawianie murów na granicy dobrobytu (nawet względnego) i biedy to działanie czysto szatańskie, niezależnie od tego, czy ma miejsce w San Diego/Tijuanie, czy na Kabatach. Bo od tej pory nie ma już ludzi, którzy mogliby spotkać się i dowiedzieć o sobie tego, że „domny” jest o dwie niespłacone raty, jedno wredne dziecko, jedną chorobę i utratę pracy, o jeden kieliszek za dużo od tego, by jutro sam być bezdomnym. Że bezdomny jest o kilka wizyt w łaźni, u fryzjera, u terapeuty, o parę miesięcy w mieszkaniu treningowym od tego, by wrócić na „domną” stronę życia. Gdy człowiek staje się elementem społecznego zjawiska, problemem do rozwiązania, kończy się to tak jak dwa tysiące lat temu, gdy szacowne gremium uznało, że jednak może „lepiej, by jeden człowiek umarł za naród”.

Albo za śpiworek. Bo cóż to jest – jeden zamrożony „śmierdziel” wobec wspaniałego dziedzictwa 1000 lat chrześcijaństwa, okragłej rocznicy państwowości, tylu pięknych pomników, akademii, eventów, konferencji i wydarzeń, w których wyraża się piękno naszej społeczności? A że tej zimy zmarło ich 66? Cóż, sami są sobie winni. „Czyż jestem stróżem brata mego?” ©

UTRWALACZ WŁADZY DOZGONNEJ

„Putin spotkał się dziś na Kremlu z Putinem, by omówić udział Putina w wyborach Putina” – to jeden z dowcipów, które krążą po Rosji w związku z reelekcją jedyne go słusznego kandydata.

ANNA ŁABUSZEWSKA

FAJERWERKI GOTOWE DO ODPALENIA, SZAMPANY SIĘ mrozą, wyniki z grubsza oszacowane – kremłowski inżynierowie dusz dopinają ostatnie szczegóły przed aktem, który w niedzielę 18 marca ma zapewnić Władimirowi Putinowi kolejną sześćdziesięcioletnią kadencję prezydencką. I zapewni, skoro Kreml ma proces wyborczy pod kontrolą.

Wybór daty głosowania nie jest przypadkowy: to czwarta rocznica przyłączenia Krymu do Federacji Rosyjskiej. Propaganda nadal ukazuje aneksję jako fundamentalne osiągnięcie upływającej kadencji. A kandydat obiecuje stabilność, wzrost gospodarczy i mocarstwową politykę.

Walka o „kormuszkę”

Filarem władzy Putina jest zamknięty krąg najbliższych współpracowników. Cieszą się przywilejami, pobierają rentę korupcyjną. Putin gwarantuje ich przywileje i majątki.

Tego najbliższego kręgu uczipieni są mniej znaczący uczestnicy podziału dóbr, którzy nie mają uprzywilejowanego statusu jak krąg najbliższy, ale również cieszą się względami. Niższe szczeble piramidy otrzymują apanaże stosownie do roli, jaką wyznacza kasta zajmująca wyższą pozycję.

W latach *prosperity* czerpanie z kaskady petrodolarów pozwalało zaspokoić apetyty dużej części elit. Od kilku lat koniunktura jest gorsza, dóbr do podziału jest zatem mniej. Zarządzanie kryzysowe Kremla polega więc na ograniczaniu liczby tych, którzy mają dostęp do „kormuszki” (odpowiednik naszego „koryta”). W ramach pokazowych akcji – np. pod hasłem zwalczania korupcji – przeprowadza się eliminację jakiejś grupy interesu. Telewi-

dzowie karmieni są reportażami o aresztowaniu gubernatora, który zgromadził na kontach duże sumy, albo relacjami z procesu ministra, któremu sprezentowano teczkę wypchaną banknotami. To jedna z form kielbasy wyborczej: władca rzuca koźła ofiarnego i zapewnia igrzyska ludowi, by ten nie pamiętał, że chleba jest coraz mniej.

Można się spodziewać, że w nowej kadencji podjazdowe walki między koteriami będą się nasilać. Dla najbliższych Putina musi wystarczyć, reszta będzie musiała bić się o okruchy.

Niespokojne sny Brutusa

Inny czynnik, który może doprowadzić do turbulencji, to zachodnie sankcje wprowadzone po aneksji Krymu i agresji Rosji na Ukrainę. Putińska ekipa początkowo próbowała je przecze-kać, ale nie zanoszą się, by miały zelź. Przeciwnie: USA zapowiedziały wprowadzenie nowych, w związku z ingerencją Rosji w amerykańskie wybory. Dotyczy to też sankcji personalnych wobec osób z otoczenia Putina.

Tymczasem co rusz wychodzi na jaw – np. w wyniku śledztw dziennikarskich w rodzaju Panama Papers czy poszukiwań Fundacji Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego – że członkowie rosyjskiej wierchuszki ulokowali majątki na Zachodzie. Nabyli nieruchomości na Łazurowym Wybrzeżu, upchnęli zaskórniaki w zachodnich bankach, kształcą dzieci w prywatnych szkołach brytyjskich. Pogłębiający się konflikt Rosji ze światem Zachodu zagraża temu *dolce vita*.

W nadchodzącej kadencji zadaniem Putina będzie więc wyważenie proporcji – między waleniem





militarną pięścią w stół, w celu zastraszenia Zachodu i wywołania militarystycznej euforii u rodaków, a utrzymaniem stanu posiadania dóbr na Zachodzie. Odcięcie putinowskich bojarów od słodkości zdeponowanych u potencjalnego przeciwnika może podkręcić ferment w elitach.

Intrygi i knucie to modelowe zachowania osadzone w – żywej w Rosji – tradycji bizantyjskiego dworu. Wnikliwi kremliolodzy nie wykluczają więc, że gdy jakaś silna grupa uzna, iż gwarant niczego im już nie gwarantuje, może wymyślić sposób, by się go pozbyć. Choć dziś wydaje się, że w najbliższych latach władzy Putina nikt nie może zagrozić – system okopał się, ma lejce i narzędzia do sprawowania władzy. Niezależnie od nastrojów społecznych. Chyba że pejzaż zamąci czynnik, o którym publicznie się nie mówi. Np. stan zdrowia.

Bez Nawalnego

Uwaga o możliwym wpływie zdrowia Putina na Rosję wzięła się stąd, że już kilka razy kraj – ba, świat cały – zastygł w niepewności. Prezydent zniknął, służba prasowa zacierała ślady, aby nikt się nie domyślił przyczyny jego nieobecności. Snuto domysły, że zaniemógł. Potem pojawiał się, nie tłumacząc nieobecności

Teraz, gdy już miała ruszać kampania wyborcza, Putin też zniknął na jakiś czas: po kolei odwoływano ważne spotkania i wystąpienia. „Przeziębł się” – uspokajał sekretarz prasowy. Temat zdrowia prezydenta bulgotał w mediach społecznościowych, w oficjalnym obiegu był wyciszany. Nikomu przecież nie mogła postać w głowie myśl, że Putin nie będzie w stanie sprawować urzędu przez następnych sześć lat.

Kampania wyborcza Putina – gdy wrócił po niedyspozycji – była odmienna od działań pozostałych kandydatów. Prezydent nie bierze udziału w debatach telewizyjnych, gdzie ścierają się inni uczestnicy wyścigu. Ale to nie oznacza, że nie pojawia się w telewizji. Przeciwnie – jest obecny w ilościach niepomiarowych. Jeździ do wybranych zakładów pracy, ściska dłonie zwycięzców konkursu „Liderzy Rosji”, spotyka się z aktywnym popierającym go Frontu. Wszystkie te przedsięwzięcia są relacjonowane w programach informacyjnych, a potem wałkowane w dyskusjach wazelinarskich politologów obsługujących Kreml. ➔

Władimir Putin z wizytą w Uralwagonzawod, Swierdłowski, 6 marca 2018 r.

→ Putin miażdży stawkę kilku statystów, których Centralna Komisja Wyborcza dopuściła w szranki. Stanowią oni dekorację, na tle której lepiej ma wyglądać imitacja pluralizmu demokratycznego.

Komisja wyborcza już na wstępnym etapie nie dopuściła – pod naciąganiem pretekstem – opozycjonisty Aleksieja Nawalnego. Nie gra on według reguł wyznaczonych przez Kreml i buduje własną pozycję, zbiera elektorat (złożony głównie z młodych ludzi), bada korupcyjne zachowania elity, ujawnia afery. Jest niewygodny, ma charyzmę, dociera do publiczności, choć nie ma dostępu do centralnych mediów i operuje wyłącznie w internecie.

Sztab Putina doszedł widocznie do wniosku, że dopuszczenie Nawalnego do wyborów – nawet gdyby miał zdobyć znikomą liczbę głosów – stwarza zbyt duże ryzyko. Nawalny jest nieprzewidywalny, mógłby zdobyć dodatkową popularność w telewizji (jako kandydat miałby zapewniony czas antenowy), przemycić niepożądane treści. Uznano, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu. A Nawalny wezwał zwolenników do bojkotu wyborów.

Frekwencja, czyli legitymacja

Trudno powiedzieć, na ile hasło bojkotu chwyci. Może kilka procent wyborców nie pójdzie do urn. Tak czy inaczej – to nie na rękę Kremlowi, który zakłada wysoką frekwencję. Bo wtedy lepiej będzie wyglądać odwieczona legitymacja władzy.

Nad zapewnieniem frekwencji pracuje cała machina państwa: pracodawcy wymuszają obecność w lokalu wyborczym na pracownikach, rektorzy na studentach, dowódcy na żołnierzach. Mają być też organizowane akcje promujące udział w głosowaniu, przewiduje się nagrody rzeczowe, konkursy.

Kontrolowane przez Kreml sondażowne podają, że do urn wybiera się 80-81 proc. Rosjan, a ok. 70 proc. deklaruje głosowanie na Putina. Sondaże służą uwiarygodnieniu przekazu narzuconego przez sztab prezydenta: oto Rosjanie jednoczą się wokół przywódcy – jednego człowieka, który może stać na czele nawy państwowej. Nad wbijaniem tego przekazu do głów pracują media.

Kampania Putina odbywa się pod hasłem „Silna Rosja, silny prezydent”. Plakaty i billboardy wiszą w całej Rosji. Podobno są pilnowane przez tajniaków, którzy czuwają, aby nikt nie zniszczył tablic i nie nadszarpnął wizerunku. Tymczasem

w mediach społecznościowych można zobaczyć, że ludzie w wielu miejscach wyżywają się na tych materiałach: obrzucają billboardy jajkami lub dopisują komentarze. W Twitterze kolportowany był filmik, na którym ubrany w czarny kombinezon i czapkę człowiek wypisywał na billboardzie z Putinem słowo „złodziej”.

Kilku panów w łódce, nie licząc pani

Poza Putinem startuje siedem osób. O drugie miejsce walczą zaciekle odwieczny kandydat z ramienia nacjonalistycznej LDPR Władimir Żyrinowski i nowicjusz w wyścigu Paweł Grudinin, kandydat Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej (KPFR). Żyrinowski wszyscy znają: od początku lat 90. XX w. jest obecny w rosyjskiej polityce, zagospodarowując elektorat radykalny. Niby krytykuje władzę, ale zawsze jest z nią w dobrych układach, jego częste wysoki zyskują aplauz zwolenników i dezaprobatę krytyków. I tym razem może liczyć na 6-7 proc. głosów.

Zaskoczeniem było natomiast wystawienie przez komunistów nowego człowieka. Zwykle startował lider KPFR Gienadij Ziuganow (jak Żyrinowski, otrząskany w licznych kampaniach). Ale z niewiadomych powodów partia wystawiła w ostatniej chwili Grudinina. To miało przynieść efekt zaskoczenia i dać komunistom szansę ogrania Żyrinowskiego. Pojawienie się nowej twarzy w omszałych dekoracjach faktycznie przyniosło wzrost notowań kandydata komunistów.

Ale gdy notowania nowicjusza zaczęły rosnąć, Kreml wytoczył armaty (wyrastanie jakiegokolwiek kandydata powyżej ustanowionych kwot najwyraźniej uznano za niebezpieczne). Codziennie w telewizji można było oglądać, jak machina propagandowa wyciąga kolejne trupy z szafy Grudinina: niezadeklarowane w papierach wyborczych konta w Szwajcarii, nieujawnione nieruchomości, podwójne życie rodzinne itd. Grudinin nie jest bowiem ideowym komunistą na dorobku, lecz bogatym latyfundystą nowego typu. Przedstawiany jest jako dyrektor sowchozu imienia Lenina. W istocie firma, którą zarządza, nosi taką sentymentalną nazwę, ale jest nowoczesnym agrokoncernem i nie ma nic wspólnego ze spółdzielnią rolną typu sowieckiego.

Tu kończy się krótka lista kandydatów mogących liczyć na kilka procent głosów i zaczyna się dłuższy spis nazwisk tych,

którzy balansują na granicy błędu statystycznego. Wśród nich na uwagę zasługuje Ksenia Sobczak, dziennikarka i celebrytka. Jej niespodziewany wjazd na scenę polityczną wywołał krótkotrwałe zamieszanie. Córka petersburskiego mentora Putina, inteligentna i krnąbrna skandalistka, ma odciągnąć część antykremlowsko nastawionej publiki od Nawalnego i przyciągnąć jak najwięcej osób do urn. Ksenia walczy dzielnie pod hasłem „Przeciwko wszystkim”, wypowiada śmiało tezy, które nie mieszczą się w dozwolonym kanonie (np. stwierdziła, że zgodnie z prawem międzynarodowym Krym nie należy do Rosji), jeździ po kraju, szuka skrzywdzonych ludzi, w imieniu których potem występuje do miejscowych władz z prośbą o rozwiązanie problemu. Sondaże dają jej jeden procent.

Pozostałym dają jeszcze mniej. Nawet zasłużonemu liderowi demokratycznej partii Jabłoko, Grigorijowi Jawlińskiemu, ekonomiście i autorowi programu gospodarczego z zamierzonych czasów rozpadu Związku Sowieckiego i tworzenia zrębów nowej Rosji (Jawliński może liczyć na 0,8 proc. głosów).

Atomowe ogrody

A z czym do wyborów idzie główny kandydat? Z ogólnymi obietnicami stabilności i zapewnieniami, że złowrogi świat dostanie po nosie, gdy zechce go wetknąć w sprawę Rosji.

Występując niedawno z dorocznym orędziem przed połączonymi izbami parlamentu, Putin przedstawił ogólnikowy plan poprawy sytuacji społecznej i gospodarczej (z jego punktu widzenia i tak niezłej) oraz zaprezentował najnowsze rakiety, w przemawiających do wyobraźni animacjach. Hiperdźwiękowe cacuszka mogą razić cele na całym globie. To była dobitnie wyrażona propozycja podjęcia rozmów z najważniejszymi światowymi aktorami. Bo od czasu aneksji Krymu i od wywołania wojny w Donbasie Rosja jest ciągle w izolacji międzynarodowej – na niczym spęły nadzieje rozmów o „Jalcie 2.0” z nowym prezydentem USA.

Putin w orędziu mówił: „Nie chcieli nas słuchać, teraz posłuchają”. A więc szantaż w stylu nieobliczalnego Kima? W przedstawionym kilka dni później obszernym wywiadzie prezydent wyraził się bardziej dosadnie: „Rosja odpowie na każdy atak. Jeżeli świat ma być bez Rosji, to po co nam taki świat?”. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Koniec gazowej epoki

WOJCIECH KONOŃCZUK

Ukraina odniosła nad rosyjskim Gazpromem bezprecedensowe zwycięstwo w Trybunale Arbitrażowym w Sztokholmie. Jego znaczenie wykracza daleko poza kwestie gazowe.

ROSYJSKO-UKRAIŃSKI HANDEL GAZEM ZAWSZE był czymś więcej niż tylko biznesem. Aby zrozumieć wagę tematu, niezbędne jest przypomnienie kilku faktów. Ukraina tradycyjnie należała do największych importerów rosyjskiego gazu, który przez długi czas pozostawał relatywnie tani. Dla porównania: w 2003 r. Polska kupiła od Gazpromu 6,8 mld m³ tego surowca, Ukraina zaś niemal 60 mld m³. Wielkie ilości gazu przekładały się na wielkie sumy, co w połączeniu z brakiem przejrzystości umów równało się powstawaniu różnych schematów korupcyjnych.

Rosyjski gaz, który zresztą w międzyczasie przestał być tani, stał się ważnym instrumentem wpływów politycznych Moskwy. Bo skoro niezwykle energochłonna gospodarka Ukrainy nie miała możliwości alternatywnych dostaw, to pozostawało dogadanie się z Rosją. Tę zależność Gazprom, narzędzie w ręku Kremla, zawsze potrafił bezwzględnie wykorzystać.

W styczniu 2009 r. Rosjanie sprowokowali kryzys gazowy, którego efektem było zmuszenie ukraińskiego koncernu Naftohaz do podpisania niekorzystnego, dziesięcioletniego kontraktu na dostawy i tranzyt. Szybko okazało się, że rosyjski surowiec dla Ukrainy jest droższy niż dla Niemiec, a ukraińskie rachunki gazowe sięgnęły 8 proc. PKB! Rosyjski szantaż gazowy coraz bardziej się nasilał.

Polska po stronie Kijowa

Gdy w 2010 r. prezydentem Ukrainy został Wiktor Janukowycz, Moskwa łaskawie zgodziła się na udzielenie pewnej zniżki. Ale ceną było przedłużenie do 2042 r. umowy na stacjonowanie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej na Krymie. Reżim Janukowicza nie miał jednak woli politycznej ani śmiałości, by doprowadzić do rewizji fatalnego kontraktu.

Rewolucja Godności stała się początkiem końca skrajnie niekorzystnych rela-

cji z Gazpromem. Stery w Naftohazie objęła młoda ekipa, która przystąpiła do radykalnej sanacji koncernu. Latem 2014 r. Ukraińcy zaskarżyli w Trybunale w Sztokholmie kontrakty na dostawy gazu i na tranzyt. Gazprom wniósł analogiczny pozew, domagając się 56 mld dolarów (sic!) odszkodowania. Był to pierwszy wyłom w dotychczasowych stosunkach, które wcześniej regulowano zakulisowo. Tymczasem Naftohazowi udało się doprowadzić do uruchomienia połączeń gazowych ze Słowacją, Węgrami i Polską. Był to jedyny ratunek, gdyż Gazprom wstrzymał

Jedno ze źródeł ropy naftowej i gazu ziemnego na Ukrainie, Hnidyni (obwód czernihowski), 2016 r.



dostawy, licząc, że rzuci Ukrainę na kolana.

W grudniu 2017 r. i w lutym bieżącego roku sztokholmski Trybunał wydał orzeczenia, które okazały się wielkim i dość nieoczekiwanym zwycięstwem Naftohazu. Arbitrzy zrewidowali większość niekorzystnych dla strony ukraińskiej zapisów kontraktu. I choć uznali dług Naftohazu wobec Gazpromu w wysokości 2 mld dolarów, to jednocześnie nakazali rosyjskiej firmie wypłacenie Ukrainie 4,6 mld dolarów odszkodowania.

Choć od wyroku nie ma odwołania, Rosja odmówiła jego akceptacji. Co więcej, od początku marca Gazprom zmniejszył o 20 proc. ciśnienie w gazociągach idących na Ukrainę oraz wszczął procedurę wypowiedzenia kontraktów z Naftohazem, choć nie ma do tego prawa.

Wygląda na to, że Moskwa nie wytrzymała emocjonalnie goryczy porażki. W obliczu ostrej zimy pomocną rękę do Kijowa wyciągnęło polskie PGNiG, które w trybie pilnym zaczęło dostarczać Naftohazowi część brakującego gazu. Szef koncernu Piotr Woźniak skomentował to dobitnie, mówiąc: „Solidarność energetyczna to nasz obowiązek (...) szczególnie teraz, gdy Ukraina nie otrzymuje dostaw z Rosji”.

Niech to będzie potwierdzenie, że – niezależnie od sporów historycznych – w sprawach strategicznych Polska jednoznacznie jest po stronie Kijowa.

Zerwane gazowe kajdany

Wyrok Trybunału w Sztokholmie kończy równocześnie pewną epokę – i jest symbolicznym zerwaniem przez Ukrainę „gazowych kajdan”. Na skutek własnej imperialnej polityki Rosja utraciła ważny instrument wpływu na Kijów.

Powstaje jednak pytanie: co dalej? Gdy oszołomione przegraną kierownictwo Gazpromu ochłonie, zapewne zrozumie, że porozumienie z Kijowem jest niezbędne. Głównie dlatego, że bałtycki gazociąg Nord Stream 2 – o ile w ogóle powstanie – nie zostanie uruchomiony przed końcem 2019 r., gdy wygasa kontrakt tranzytowy z Ukrainą. A przez ten kraj wciąż eksportowana jest na Zachód połowa rosyjskiego gazu. Najbliższe miesiące mogą być więc burzliwe. Jednak pozycja Ukrainy znacznie wzrosła, zaś dotychczasowa strategia Gazpromu wobec Unii Europejskiej i Ukrainy legła w gruzach.

I jest to bardzo dobra wiadomość. ©



Świece upamiętniające dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczoną oraz zdjęcie premiera Ficy z napisem „Vrón” przed siedzibą słowackiego rządu. Bratysława, 28 lutego 2018 r.

MATEJ KALINA / EAP / PAP

Za uczciwą Słowację

PATRYCJA BUKALSKA

Wystarczyło kilka dni, aby środkowoeuropejski prymus stał się niemal państwem upadłym, gdzie mafiosi sterują politykami. Śmierć dziennikarza uruchomiła lawinę.

KAŻDY DZIEŃ NA SŁOWACJI PRZYNOSI nowe doniesienia o korupcji, każdy obfituje w coraz ostrzejsze słowa. Przetrawienie rządu wydaje się niemal niemożliwe. Rozpisanie wcześniejszych wyborów – lub głęboką rekonstrukcję gabinetu – postuluje prezydent Andrej Kiska. Opozycja zapowiada wniosek o wotum nieufności dla premiera Roberta Ficy. Na ulice wielu miast wychodzą tysiące ludzi, organizowane są kolejne akcje protestu.

Premier Fico jest jednak zdeterminowany, by utrzymać się u władzy bez względu na koszty. Szerzy więc teorie spiskowe: sugeruje, że to prezydent destabilizuje kraj i działa na zlecenie zagranicy, że być może stoi za tym filantrop George Soros (to nie jest chwyt oryginalny, wę-

gierski premier Orbán straszy Sorosem od dawna). Antypaństwowe cele Fico zarzuca nawet ludziom, którzy organizowali pierwsze akcje mające upamiętnić dwoje 27-latków: Jána Kuciaka i jego narzeczoną Martinę Kušnírovą.

W jednej chwili Słowacja, kraj – zdawałoby się – stabilny i uporządkowany, zaczęła dryfować w kierunku co najmniej dezintegracji, a może nawet autokracji. Tymczasem kilka miesięcy temu Fico deklarował, że chce być w „twardym jądrze” Unii Europejskiej...

News z radia

Katarína Nagy Pázmány jechała autem, gdy z radia usłyszała wiadomość o śmierci dziennikarza śledczego Kuciaka i jego na-

rzeczonej – między informacją z Dubaju a prognozą pogody. Pamięta, jak zaczęła przerzucać stacje, aby dowiedzieć się więcej. Nie chciała uwierzyć, że po czymś takim w radiu ktoś będzie mówił o opadach śniegu, że będzie grała muzyka.

– To był dla mnie szok. Razem z mężem mamy po 27 lat, tyle samo co Ján i Martina. My zdążyliśmy się pobrać, za kilka miesięcy urodzi się nasze dziecko. Bardzo szanowałam pracę Jána. Mój mąż nawet go poznał – opowiada „Tygodnikowi”. – Byliśmy tak smutni, zszokowani i jednocześnie źli, że uznaliśmy: musimy coś zrobić!

Na apel o upamiętnienie zamordowanych, którego Katarína była współautorką (wraz z mężem), odpowiedziały nieoczekiwanie tysiące ludzi. W samej Bratysławie na tamten pierwszy protest, w piątek 2 marca, przyszło 25 tys. ludzi. Przyszli także – jak podkreślił: jako zwykły obywatel – prezydent Kiska. Była to największa demonstracja w słowackiej stolicy od 1989 r. Marsze lub wiece odbyły się też w kilkudziesięciu innych słowackich miastach i miasteczkach.

– Dla mnie to był dowód, że istnieje duża grupa ludzi, którzy chcą, żeby w naszym państwie obowiązywały pewne wartości, i są gotowi stanąć w ich obronie. Na marszu atmosfera była spokojna, ludzie częstowali się herbatą, były matki z dziećmi. Byli ludzie ze świata kultury, wszyscy ze świeczkami w dłoniach. Chodziło o pokazanie, że opowiadamy się za demokracją i wolnością słowa, że nie chodzi o gniew, lecz o smutek i miłość – mówi Katarína.

Minęło kilka dni, a Katarína nadal jest bardzo zajęta. Przygotowuje kolejną akcję upamiętniającą Jána i Martinę. Co myśli o tym, że premier zasugerował, iż takie akcje to zaplanowana za granicą próba zmiany rządu? Katarína: – Naszą jedyną motywacją było upamiętnić Jána i Martinę. To absurdalne, że premier w ten sposób stara się odwrócić uwagę od śmierci dwojga odważnych ludzi. Jego teorie spiskowe są niemożliwe do przyjęcia w demokracji. Wierzmy, że ludzie nie dadzą temu posłuchu.

Ośmiornica

Ján Kuciak był dziennikarzem śledczym, pisał dla portalu Aktuality.sk – głównie o korupcji, oszustwach podatkowych i niejasnych powiązaniach między biznesem a polityką. Pod koniec lutego znaleziono go zastrzelonego we własnym domu, razem z narzeczoną – on dostał

kulę w serce, ona miała przestrzeloną głowę. Sposób, w jaki ich zamordowano, wyglądał na egzekucję. Kuciak komuś się naraził, zapewne swoją pracą. Otrzymał już zresztą pogroźki.

Ostatni materiał, którego nie ukończył, a który został opublikowany po jego śmierci przez media w kraju i za granicą, dotyczył włoskiej mafii, która znalazła dla siebie ciche miejsce we wschodniej części Słowacji. Chodziło o wykupione przed laty państwowe (za komunizmu) gospodarstwa rolne, na których restrukturyzację wyłudzano unijne dotacje. Ale było tam też coś więcej: związki mafijnych biznesmenów z ludźmi z otoczenia premiera.

Jak mówiła w wywiadzie dla „DennikN” Pavla Holcová – czeska dziennikarka, która współpracowała z Kuciakiem – tuż przed śmiercią odkrył on związek między politykiem rządzącej partii SMER a biznesmenami z kręgów kalabryjskiej mafii ‘Ndrangheta. Nie był to jednak, jej zdaniem, punkt zwrotny sprawy. ‘Ndrangheta znana jest z tego, że stara się nie ściągać na siebie uwagi, więc na śmierci Kuciaka nie zyskała, wręcz przeciwnie. Komu była ona zatem na rękę? Holcová, która ma teraz policyjną ochronę, nie umie na to odpowiedzieć.

Nikt nie postawił zarzutu, że coś wspólnego z zabójstwem mógłby mieć Fico lub jego ministrowie. Chodzi natomiast o jego odpowiedzialność polityczną, o przyzwolenie na związki między polityką i szmerowym biznesem, a także o jego wrogość wobec mediów, o obrażanie dziennikarzy i podważanie ich wiarygodności.

Gdyby do czegoś takiego doszło gdzieś indziej, pewnie posypałyby się dymisje. Byłby to jednak tylko polityczny kryzys, a nie społeczna rewolucja. Tymczasem na Słowacji rozwija się zupełnie inny scenariusz, który wiele mówi o tym kraju.

Taktyka premiera

– Fico nie ma żadnej ideologii, on ma tylko jedną ideę: utrzymać się u władzy. Dlatego zdecydował się na konfrontację ze społeczeństwem obywatelskim, które ma teraz przeciwko sobie – mówi „Tygodnikowi” słowacki politolog Michal Vašečka. – W Brukseli myślą, że to jest problem korupcji. Ale teraz to już jest inna skala. To hierarchiczna oligarchia, przesuwanie Słowacji w stronę państwa mafijnego. Stąd tak silna reakcja ludzi. I stąd upór Ficy, który nie może ustąpić, bo tu chodzi nie tylko o niego, ale o swego rodzaju system.

Przeciwko Ficy opowiedziała się opozycja, ludzie na ulicy, nawet Kościół. Biskup Marek Forgáč ostrzegał przed „zinstytucjonalizowanym złem”, a stos banknotów na stole (milion euro, które Fico zaprezentował jako nagrodę za informacje o zabójcy) uznał za wyraz cynizmu. Inni duchowni też odnieśli się krytycznie do sytuacji w kraju, nawołując o walkę z korupcją. Przed kolejnymi demonstracjami głos zabrał arcybiskup Bratisławy Stanislav Zvolenský, wyrażając nadzieję, że przemoc i zbrodnia nie zwyciężą. „Niech te zgromadzenia wzbudzą wiarę, że ostatnie słowo na Słowacji (...) będzie należeć do sprawiedliwości” – mówił.

Premier Fico mógł podjąć próbę znalezienia rozwiązania. Zamiast tego zdecydował się szukać winnych wśród bliżej nieokreślonej „zagranicy” i sięgnął po mechanizm tworzenia wrogów i odwracania uwagi od problemów. Jego taktyka wzbudziła zdumienie i niepokój, komentowano ją nawet jako graniczącą z utratą rozumu.

Tymczasem z każdym dniem sytuacja się zaostrza. W miniony czwartek, 8 marca, prokurator Vasil Špírko ujawnił, że są podejrzenia o korupcję wobec ministra spraw wewnętrznych Roberta Kaliňáka i byłego ministra transportu Jána Počiatka (obaj zaprzeczają). Špírko opowiedział przy okazji o tym, jakie szuky spotkały go, gdy zajmował się tą sprawą: został oskarżony o przekroczenie uprawnień, stał przed komisją dyscyplinarną, śledzona była jego rodzina. Powiedział, że zdecydował się ujawnić sprawę, gdyż obawia się o własne życie.

Stawką jest przyszłość

– Po tym, jak Fico rządził już przez tyle lat, powoli szykował się na polityczną emeryturę. Myślał może o posadzie w Brukseli, a może na Słowacji. Śmierć Kuciaka ten plan zniszczyła. W pewien sposób Fico czuje, że to jego koniec i musi utrzymać się o władzy. Za wszelką cenę. I to jest niebezpieczne – mówi Vašečka.

– Stać się Viktorem Orbánem przez jedną noc i to tylko dlatego, że nic innego mu nie pozostało, nie jest takie proste. Ponadto w odróżnieniu od Orbána Fico nie kontroluje mediów, nie przygotowywał się do ograniczania demokracji. Teraz wszystko może się zdarzyć. Nikt nie wie, jaką siłę mogą mieć konspiracyjne paranoje – mówi „Tygodnikowi” dziennikarka Marta Šimečková.

To właśnie zdumiewające wypowiedzi premiera, a także nowe szokujące fakty o korupcji zmieniły charakter demonstracji. W pierwszej chwili chodziło o upamiętnienie zamordowanych, były to akcje apolityczne. Teraz protestujący domagają się wyjaśnienia śmierci Jana i Martiny z pomocą międzynarodowego zespołu śledczych – oraz uczciwego rządu.

– Fico musi ustąpić, każdy kolejny dzień jego władzy to o dzień za dużo. Nie chodzi już o pewne strukturalne zbliżenie z mafią, co jest nie do obrony, ale również o to, jak premier reaguje: swoją partię, rząd i własną osobę utożsamia ze Słowacją. A od tego już tylko krok, by społeczny protest uznać za spisek Sorosa. Wedle zasady: kto atakuje mnie, ten niszczy kraj! Każdy widzi, że to koniec naszej europejskiej orientacji – uważa Šimečková.

– To gra o przyszłość Słowacji. O to, czy pozostanie liberalną demokracją, tym razem już silniejszą, czy też stoczy się w kierunku Węgier – twierdzi Vašečka.

Problem jednak także w tym, że słowacka opozycja parlamentarna wcale nie jest proeuropejska, a w ewentualnych przedterminowych wyborach zyskać mogą ugrupowania skrajne.

Za uczciwy kraj

Trudną decyzję będzie też musiał podjąć prezydent Kiska. Już od jakiegoś czasu słychać, że z powodów rodzinnych nie będzie się starał o kolejną kadencję w wyborach w 2019 r. Ale teraz wydaje się on być ostatnim gwarantem politycznych standardów i zwykłej przyzwoitości. Jego wycofanie się z polityki zostałoby odebrane jako opuszczenie narodu w potrzebie.

Jedynie, czego na razie można być pewnym, to energia ludzi, którzy wychodzą na ulice – takich jak Katarína Nagy Pázmány. – Może jestem naiwna, ale skrzywdzenie człowieka w cywilizowanym demokratycznym kraju jest dla mnie nie do przyjęcia. Nawet teraz, gdy mamy jeszcze tyle do zrobienia przed kolejną akcją, często sobie przypominam, dlaczego to robimy. I nie mogę powstrzymać wtedy łez – mówi dziewczyna.

Na piątkowy wieczór, 9 marca, w Bratisławie i innych miastach zaplanowane były kolejne akcje protestacyjne. Tym razem pod hasłem: „Za uczciwą Słowację”.

Ciąg dalszy na pewno więc nastąpi. Tylko jaki? ©P

Tekst ukończono w piątek 9 marca.

Zespół macierzyństwa pourazowego

TEKST I ZDJĘCIA **MAREK RABIJ** Z BANGLADESZU

W Kutupalong – w obozie dla Rohingów, muzułmańskich uciekinierów z Birmy – ciąży to jeszcze jedna z trudności, z którymi trzeba się zmierzyć. Do końca roku przed tym wyzwaniem stanie prawie 50 tysięcy kobiet.

PRZYPOMINAJĄ BAROKOWE MADONNY, gdy już rozsiądą się ostrożnie na matkach rozłożonych na klepiskach tymczasowych domów. Poprawiają ubranie zwane salwar kamiz i ciążowy brzusek znika w fałdach wzorzystej tuniki. Jeszcze tylko czujny ruch ręką w stronę ourny, kolorowej chustki, która powinna zakrywać włosy przed wścibskimi spojrznięciami, i już są gotowe do rozmowy. Świat musi wiedzieć, przez co przeszły.

25-letnia Shamsunnahar z miejscowości Nappura chce powiedzieć, że nadal ma przed oczyma zwłoki tamtej ciężarnej kobiety, której ktoś rozpołowił brzuch, a płód – wciąż złączony z matką pępowiną – rozdeptał wojskowymi buciorami. Przez to nachodzą ją złe myśli, że dla jej pierwszego dziecka, które przyjdzie na świat za dwa miesiące, inna kobieta byłaby lepszą matką.

19-letnia Noor Kalima z okolic Ratche-daung być może opowiedziałaby o popołudniu w dżungli, gdy zaczęła krwawić, i o panicznym strachu przed tym, co ostatecznie nastąpiło, czyli poronieniem w czwartym miesiącu. W dzień poprze-

dzający tamto popołudnie birmańscy żołnierze zawlekli ją do pustego domu. Męża, który próbował jej bronić, zatłukli na śmierć. Ukryci na skraju lasu sąsiedzi zauważyli ją potem, jak snuje się między spalonymi chatami. Nie wyjaśniła, co zrobili jej żołnierze. Od tamtego wrześniowego popołudnia Noor Kalima nie wypowiedziała ani słowa. Mówią za nią o tym jej matka i starsza siostra.

Noor Bahar, 25-latkę z wioski Baydday Para, w nocy nachodzi wciąż ten sam sen. Widzi w nim, jak żołnierze wrzucają dwumiesięcznego synka sąsiadki do płonącego domu. Tuż potem budzi się z krzykiem, bo wydaje jej się, że zamiast dziecka nosi w brzuchu kulę ognia.

19-letnia Rahena Farmish z Sheil Khali również nie pamięta, kiedy przesiadała całą noc. We śnie pamięć uporczywie odtwarza tępy odgłos pocisków roztrzaskujących głowy jej trzech malutkich siostrzeńców, a potem już do rana dławi się od płaczu, usiłując nie zbudzić szlochem niespełna siedmiomiesięcznej córeczki.

W Kutupalong – i w pięciu innych obozach, w których przed prześladowaniami schroniło się ponad 700 tys. Rohingów, muzułmańskich uchodźców z Birmy – noc dłuży się niemiłosiernie. Nie ma elektryczności. Są tylko upiorne wspomnienia sprzed kilku miesięcy, budzące strach o przyszłość dziecka, które wkrótce przyjdzie na świat.

Lokalne biuro wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców (UNHCR) szacuje, że w obozach przy birmańsko-bangladeskiej granicy mieszka obecnie co najmniej 46 tys. ciężarnych. Urodzą dzieci, które w świetle prawa będą bezpaństwowcami – którym żaden kraj nie chce przyznać obywatelstwa.

Spalona ziemia

Id al-Adha, święto ofiarowania, to jeden z najważniejszych punktów muzułmańskiego kalendarza, wspomnienie proroka Ibrahima, czyli Abrahama, od którego Stwórca zażądał ofiary z syna. Starotestamentowy Bóg zachowuje się czasem tak, jakby testowanie granic ludzkiej wytrzymałości sprawiało mu przyjemność. Birmańscy oficjele pastwienie się nad islamskimi współplemięncami uczynili instrumentem bieżącej polityki.

Id al-Adha w zeszłym roku wypadła 1 września. Trzy dni po jej zakończeniu do Arakanu, ojczyzny Rohingów, wkroczyło birmańskie wojsko wspomagane przez uzbrojonych cywilów.

– Było jeszcze ciemno, gdy usłyszałam strzały. 10 dni wcześniej urodziłam córkę i jeszcze nie wszystko mi się zagoiło – Rahenie Farmish łamie się głos, gdy opowiada o ucieczce. – Ojciec pomógł mi się ubrać i pobiegliśmy z bratem do lasu. Cały dzień i noc przesiedzieliśmy w jakiejś jamie. Przez kilka godzin słychać było strzały i krzyki. Potem zrobiło się cicho. Gdzieś tam był mój mąż. Wypatrywałam go z krzaków i wtedy to zobaczyłam. Wojskowi przyprowadzili grupę ludzi, wśród nich szwagierkę z dwuletnią córeczką i dwoma czteroletnimi bliźniętami. Żołnierz pchnął ją na ziemię i strze-



Ekspedycja reporterska „Tygodnika” jest możliwa dzięki zbiórce społecznościowej

naszych Czytelników. Teksty, wideo i materiały fotograficzne, a także listę osób, które wsparły projekt, publikujemy w specjalnym bezpłatnym serwisie pod linkiem: powszech.net/bangladesz.



19-letnia Rahena Farmish
nie pamięta, kiedy przespała całą noc.

Poniżej: w drodze do punktu wydawania
drewna. Władze woła dostarczać je do obozu
w obawie przed zniszczeniem okolicznych
lasów i upraw.

lił jej w plecy. A potem odwrócił się do
dzieci i każdemu strzelił w głowę. Rozsy-
pałam się wtedy. Nie chciałam żyć. Brata
błagałam, żeby mnie zostawili – głos ko-
biety zamienia się w gardłowy charkot.

Dopiero po zmroku rodzina odważyła
się ruszyć w kierunku, który dawał szansę
przeżycia: ku granicy z Bangladeszem. Ro-
dzinne Sheil Khali spłonęło. Dwanaście
innych rohińskich osad, które minęły po
drodze, nim po 10 dniach dotarli do Ban-
gladeszu, też zrabowano i spalono.

Pod koniec sierpnia 2017 r. władze bir-
mańskie ogłosiły, że rohińscy partyzanci
z ARSA, Armii Wyzwolenia Arakanu, za-
atakowali lokalne posterunki policji i za-
mordowali 12 funkcjonariuszy, dlatego
muszą rozpocząć akcję przeciw bojownikom.
Jeden z zaatakowanych komisariatów
mieścił się w Dumcha Para, opodal
Sheil Khali.

– Czy mieszkali u nas partyzanci?
A może i byli. Ale przecież ani ja, ani moje
dziecko, ani moi siostrzeńcy nie należeli-

śmy do ARSA – Rahena znów zaczyna pła-
kać. – Wojsko nikogo nie szukało. Strze-
lali na oślep. Łapali uciekających i mordo-
wali bez przesłuchiwania.

Wojsko nie działało podług jednego
schematu. Raz atakowało nad ranem, in-
nym razem po południu. Czasem żołnie-
rze zbierali mieszkańców pośrodku osady,
ale częściej po prostu otwierali bez ostrze-
żenia ogień w stronę domów i uciekają-
cych. Wreszcie – raz atakujący mieli na so-
bie mundury regularnej armii, a innym ra-
zem byli nimi młodzi mężczyźni w cywil-
nych ubraniach, którzy skądś mają broń
i granaty. Ale czy to ważne? Zawsze i tak
zostawiali za sobą spaloną ziemię.

Rahena: – Przez pierwsze trzy dni nic nie
jadłam. Cały czas lało, byliśmy zziębnięci,
nogi przestawały mnie słuchać. Brat i oj-
ciec dawali mi jakieś liście, ale bałam się, że
stracę pokarm. Trzeciego dnia zobaczyłam
na krzaku mały owoc i położyłam małą na
chwilę na ziemi, żeby go zerwać. Nagle coś
kazało mi się odwrócić. W stronę córki peł-
zła kobra. Chciałam krzyczeć, ale z ust wy-
szedł mi pisk. Gdyby nie brat, który też zo-
baczył węży i rzucił w niego kijem...

Czas przeszły

W opowieściach ciężarnych właściwie
nie ma przyszłości. Nie ma planowania
imienia dziecka, wątpliwości co do płci,
a tym bardziej nadziei, że trafi mu się lep-
szy los niż rodzicom. Pustkę po tym wy-
pełnił czas przeszły – z trupami, węzami,
pijawkami, zimnem, omdleniami z głodu
i strachem przed ponownym spotkaniem
z oprawcami.

Kobiety, które zaszły w ciążę jeszcze
w Birmie – jak Azida Bhegum z Noorla
Para, która jest w dziewiątym miesiącu –
czekają na rozwiązanie pełne obaw, czy
tygodnie strachu, głodu i wyczerpania nie
odbiły się na zdrowiu dziecka.

Azida ma już szóstkę dzieci, ale żad-
nego nie oczekiwała z takim przeraże-
niem. Wręcz przekonaniem, że będą pro-
blemy. Najmłodsze, 19-miesięczny obec-
nie Ismail, w trakcie tułaczki do Bangla-
deszu i przez kilka pierwszych tygodni
w Kutupalong stracił na wadze dwa kilo. ➔



→ – Ja też wtedy mocno schudłam, a po winnam tyć – kiwa głową Azida, uspokajając Ismaila, który usiłuje wdrapać się na czerwone wiadro z resztką rodzinnych zapasów ryżu.

Ciężarne, które Wszechmogący obdarował nowym życiem już w Bangladeszu, wątpią z kolei, czy potrafią jeszcze być dobrymi matkami. Shamsunnahar – ta, którą prześladowuje wspomnienie kobiety z rozciętym brzuchem – łapie się na tym, że wobec piątki dzieci męża z jego pierwszego małżeństwa zrobiła się agresywna.

Mąż ma 53 lata, chore serce, a teraz dobija go brak pracy. Shamsunnahar rozumie, że nie ma w tym jego winy. Ale rozumieć to jedno, a panować nad sobą to drugie. – Wrzasnę lub dam po łbie, a potem widzę strach w tych małych oczkach i chce mi się ryczeć, bo przecież one przeżyły to samo co my, tylko mniej z tego potrafią zrozumieć. Nie chcę być taką matką, ale boję się, że inną już nie będę. Przestałam ufać ludziom i nie nauczę tego dzieci.

Starsze dzieci Shamsunnahar musiały rzeczywiście przeżyć coś wyjątkowo drastycznego. Gdy wchodzimy do ich szałas, wszystkie pchają się do aparatu, ale na widok złożonego statywu fotograficznego zastygają najpierw w przerażeniu, a potem upewniają się po kilka razy, czy to na pewno nie karabin.

Noor Bahar – ta nawiedzana przez sen o kuli ognia w brzuchu – uważa, że dzieci w ich społeczności dopiero zaczynają odczuwać niszczący wpływ tego, co przeżyły i zobaczyły. Robią się nerwowe i agresywne. Tam, gdzie wcześniej była między nimi zwykła dziecięca złośliwość i rywalizacja, teraz coraz częściej występuje okrucieństwo.

Winni temu są oczywiście dorośli. Po przybyciu do obozów rzucili się w wir

spraw, budowy czegoś na kształt domu, załatwienia formalności, odnalezienia rodzin i przyjaciół, czasem spłaty długu za przeprawę przez graniczną rzekę Naf, za którą bangladeskie zbiry kazały sobie płacić paserskie stawki. Dzieci zostały same.

Noor Bahar: – Nie wiem, czy ktoś mógłby nam pomóc z czymś takim. Jak boli noga, lekarz daje tabletki i ból zwykle ustaje. Pewnie są jakieś tabletki na serce?

Imperium paracetamolu

Pani doktor Sara Mujawar na powitanie zdejmuje gumową rękawiczkę, ale zamiast podać dłoń, przeciera nią czoło z potu. – Przepraszam – uśmiecha się zawstydzona. – Mamy dziś taki młyn, że zaczynam robić głupoty. Mam dla ciebie 10 minut. OK?

Południe. Słońce w zenicie pali, a przed punktem pomocy medycznej kłębi się kilkadziesiąt osób. Dwie kobiety przyniosły nastolatkę, która uskarża się na ostry ból brzucha. Inna krzyczy coś przez bambusowy płot do lekarzy, machając papierami z diagnozą, które najwyraźniej przed chwilą od nich dostała. Obok niej leży na ziemi starzec ze złamaną nogą.

Sara taksuje fachowym spojrzeniem tłum: – Przyjmiemy dziś może jedną trzecią, pierwszeństwo mają poważnie chorzy. Reszta spróbuje znowu jutro. Na szczęście przeważają tu drobnostki, z którymi ani ty, ani ja nie bieglibyśmy do lekarza. Ale oni tu kochają się leczyć.

Sara pochodzi z bengalskiej rodziny, lecz urodziła się i wychowała w Wielkiej Brytanii. Do Kutupalong przyjechała jako wolontariuszka, gdzie – jak mówi – każdy dzień weryfikuje jej dotychczasowe ośmioletnie doświadczenie lekarskie.

– Nie ma już ran postrzałowych z początkami gangreny, jak na początku. Ale

to nadal medycyna pola walki, bo nie poprawiamy stanu zdrowia całej populacji, raczej próbujemy ograniczyć śmiertelność. Oni są niedożywieni, trapią ich pasożyty i choroby pokarmowe. W styczniu była tu epidemia ostrej biegunki i starsi padali jak muchy. Przykro to mówić, ale jesteśmy tu daleko nawet od minimów standardowej opieki medycznej. Wiesz, co dajemy im najczęściej? Paracetamol.

Ciężarne z Kutupalong są jednak innego zdania. Opieka jest dobra. Lekarze są mili. Są też leki i niezbędne badania. – To czwarty miesiąc – Shabekunnahar, 19-latką z miejscowości Kiewdyongi Para, klepie się po nadal niemal płaskim brzuchu. – Byłam badana już dwa razy i doktorzy mówią, że dziecku nic nie jest. Nie ma specjalnych punktów dla ciężarnych. Ale po co, skoro lekarz jest i tak blisko.

Doktor Sara: – A skąd one mają wiedzieć, jak wygląda nowoczesna opieka nad ciążą? W Birmie za wizytę musiały płacić, dlatego tu cieszy je sam darmowy dostęp do lekarza. Wspaniała opieka, za którą nam tak dziękują, polega na tym, że pytamy o samopoczucie, dajemy witaminy, osłuchamy stetoskopem i jeśli z wywiadu nie wychodzi, że dzieje się coś złego, puszczamy do domu. Ginekolożka z Tajlandii, którą tu ostatnio spotkałam, opowiadała mi o dziewczynie w szóstym miesiącu, którą odesłano do Kutupalong z innego obozu. Szła dwa dni.

Organizacja Save the Children szacuje, że blisko 70 proc. ciężarnych Rohingek w obozach nigdy nie miało kontaktu z ginekologiem. Badali je lekarze innych specjalności. Osiem na dziesięć porodów odbywa się na klepisku w szałasie, przy wsparciu starszych krewnych. W razie komplikacji często nie ma czasu na interwencję lekarza.

– Tu jest lepiej – upiera się jednak Rahima Khatum, 54-latką z Kiewdongi Para, próbując opanować roczną dziewczynkę, która usiłuje stawiać pierwsze kroki. – W Birmie ciąża oznaczała kłopoty. Jak z pierwszym dzieckiem jechałam do lekarza, policjanci zabrali mi pieniądze, skopali po tyłku i kazali wracać. Z kolejnymi już nie próbowałam.

Z trójki dzieci, które urodziła, żyje dwóch synów. Rahima nie ma z nimi kontaktu, bo mieszkali w innych wsiach. Córkę zabiła we wrześnie zbłąkana kula, gdy razem uciekały z Kiewdongi Para. Rahima podniosła z ziemi kilkumiesięczną wnuczkę, starła jej z buzi krew matki i ru-

ROHINGOWIE: bezpaństwowcy z Birmy „Loomia Bangli”, złodzieje z Bangladeszu – tak sąsiedzi, głównie wyznania budyjskiego, nazywają w Birmie islamską mniejszość zamieszkującą od stuleci stan Arakan na pograniczu z Bangladeszem. Birmańska ustawa o obywatelstwie z 1982 r. nie wymienia ich wśród 135 uznawanych mniejszości i odmawia im praw obywatelskich. Rohingowie nie spełniają dwóch z trzech kryteriów: nie mówią po birmańsku i nie potrafią udokumentować ciągłości pobytu rodziny na zamieszkiwanym terenie przed 1823 r., tj. przed

podbojem Birmy przez Wielką Brytanię. Wprawdzie tego ostatniego nie byłaby w stanie udokumentować większość obywateli Birmy, ale zdaniem władz to nie przemawia na korzyść Rohingów, którzy według oficjalnej wykładni są narodowości bengalskiej (taką adnotację mają w dowodach tożsamości) i tylko przebywają na terenie Birmy.

Rohingowie mówią niemal tym samym dialektem języka bengalskiego, którym posługują się mieszkańcy południowo-wschodniego Bangladeszu. Łączy ich z nimi też religia (islam). © P MR

szyla ku granicy. Wszechmogący o niej nie zapomniał i po kilku dniach przywrócił 54-letniej kobiecie laktację. Teraz Rahima może jednocześnie karmić wnuczkę, której musi zastąpić matkę, i opowiadać o byciu rohińską matką w Birmie.

– Kazali nam zgłaszać każdy poród. Mogłyśmy urodzić najwyżej czwórkę dzieci. Ale jeśli ktoś wcześniej zgłosił władzom, że chce mieć tylko dwójkę, za kolejne dziecko był karany. Przychodziła policja i kradła, co chciała.

Na chwilę milknie. – Moja noga już nigdy nie postanie w tym diabelskim kraju. Jeśli mają nas odesłać do Birmy, niech już dziś zrzucą na nas bomby.

Emancypacja po islamu

Po tamtej stronie granicy została też ustalona od pokoleń hierarchia, z ojcem jako głową rodziny, który zarabia na utrzymanie, i matką na drugim planie, rozciągającym się gdzieś między sprzątaniami, praniem, gotowaniem a pieczą nad dziećmi.

W obozach drugi plan nie uległ większym zmianom. Za to wczorajsze głowy rodziny nie zawsze potrafią radzić sobie z nową dla nich sytuacją, która z roli głównego żywiciela zdegradowała je do głównego ciężaru – przynajmniej pod względem dziennego zapotrzebowania na kalorie. Władze Bangladeszu nie chcą wpuścić na rynek pracy setek tysięcy Rohingów, zdając sobie sprawę, jakie skutki miałyby podobny krok w kraju, którego gospodarka od dekad nie nadąża za demografią.

W rezultacie społeczność uciekinierów skazana jest na doraźne prace – przy budowie obozowych magazynów, kopaniu studni czy wycinie gajów bambusowych, z których pochodzi drewno na nowe szałas w obozowisku. Ale żadne z tych zajęć nie zapewnia stałego dochodu.

Nie tylko budżety domowe nie wytrzymują tej presji.

– Mija dziewiąty dzień, jak dokąś poszedł – przez ścianę Jasmin Ahkhter wskazuje ręką w dal, dokąd wyruszył jej mąż Muhammad. – Pokłóciliśmy się o pieniądze, on chciał kupić sobie paan do żucia, a ja się uparłam, że musimy oszczędzać.

Paan, inaczej betel – paczuska z liści pieprzu żuw nego, zawierająca nasiona palmy, przyprawę, czasem także minerały – to ulubiona używka biedoty od Indii po Tajlandię. Działa pobudzająco, przy okazji barwiąc zęby na czarno, a ślinę na czerwono. Na ulicznym targowisku można kupić ją za ok. 5 taka (2 grosze).



Dokumenty na wagę przetrwania: żółty uprawnia do korzystania z pomocy żywnościowej dostarczanej do obozu przez World Food Program i armię Bangladeszu. Na białym służby odznaczają, czy rodzina w danym miesiącu skorzystała z pomocy. Rodziny mniejsze niż pięć osób dostają dwa litry oleju i ok. 25 kg ryżu raz na miesiąc.

Problem w tym, że w cenie 7-8 takich pacuszek można mieć także kilogram ryżu. W 20-letniej Jasmin, która jest w piątym miesiącu, po raz pierwszy obudziła się więc gospodyni domowa i po prostu schowała pieniądze przed mężem.

– Pewnie, że się wściekł. Ale co mógł mi zrobić? Krewni wiedzą, że jestem w ciąży. Dlatego wziął koc i dokąś polazł – opowiada Jasmin.

Wróci jednak. Muhammad nie jest pierwszym mężczyzną, którego duma ucierpiała w tym obozie. Kobiety – jak zauważa Jasmin, a siedzące obok sąsiadki potwierdzają delikatnymi kiwnięciami głowy – szybciej odnalazły się w nowej rzeczywistości. Może dlatego, że nie mają czasu na pielęgnowanie krzywd.

Kobieta wstaje o świcie i bierze się za prace domowe. Mężczyzna budzi się dwie godziny później, siada i rozpamiętuje. A potem staje w kolejce po pracę z podobnymi do niego, którzy też na okrągło mietoszą w myślach wspomnienia spalonego domu, pola i zwierząt domowych. To była ta część rodzinnej codzienności, którą w dawnym życiu mężczyzna zarządzał na wyłączność. Teraz nie ma czym zarządzać, dlatego wielu nie potrafi pozbyć się wrażenia, że rodzina nie jest w komplecie, nawet gdy wszystkim domownikom udało się ująć cało. A kobiety, jak mówi Jasmin, to kwoki. Wszędzie wychowują pisklęta, liczy się tylko to, że mają przy sobie je wszystkie.

Czekając na deszcz

– Czy tęsknię za Birmą? – Jasmin powtórza pytanie. – Najbardziej brakuje mi zieleni, bo tam mieszkaliśmy pośród lasów,

a tu po horyzont są tylko dachy. Ale teraz liczy się to, że za niecałe trzy miesiące zacznie się sezon deszczowy, a my wciąż mieszkamy w tymczasowym domu, który skleciłiśmy z byle czego zaraz po przybyciu do obozu.

Mieszkanie Jasmin rzeczywiście pozbawione jest grubych bambusowych bali wkopanych w grunt, które zapewniałyby konstrukcji odporność na silne wiatry. Nie ma też ścian z bambusowych kratownic, między które wkłada się coś w rodzaju plandeki. Fundamenty ich domu tworzy wał z gliny, w który po prostu wetknięto bambusowe drągi, a między nimi poprzepłatano kawałki cienkiej folii. Wiatr zdążył wyszarpać w niej dziesiątki otworów, przez które wpada teraz do środka arabska promieni słonecznych, ale równie łatwo wpadnie i deszcz.

Małżonkowie kilka razy prosili swojego majhi (sołtysa) o przydział materiałów do budowy solidnego domu. Rodziny zwykle dostają je od władz obozowych już kilka tygodni po przybyciu do Kutupalong. Oni czekają piąty miesiąc. Sąsiadki zgodnie twierdzą, że to wina jej męża. Nie pilnuje sprawy.

– Jasmin dawno by to załatwiła, ma głowę na karku – kiwa z uznaniem głową Minara, mieszkanka sąsiedniego szałas. – Ale ma kłopoty z dzieckiem, dlatego musi się oszczędzać.

– Nie kłam! – obrusza się Jasmin. – Lekarze mówią, że wszystko gra. Tylko starsze kobiety gadają, że jak na piąty miesiąc brzuch mam podejrzenie mały. Ale co one mogą wiedzieć?

W prowizorycznym szałasie, chwilowo bez pomocy męża, ciąża napawa Jasmin dumą. Zza foliowej ściany dobiega zuhr, wezwanie do popołudniowej modlitwy.

Na pożegnanie zadają ostatnie pytanie: czego chciałaby najbardziej dla swojego dziecka? Dziewczyna przez chwilę wpatruje się w sufit szałas: – Szczelnego dachu.

© MAREK RABI



Gościem Agnieszki Lichnerowicz będzie przebywający w Bangladeszu **MAREK RABI**

– audycja Światopodgląd, środa, godz. 15.40.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

PRAWDA WIELKIEGO GŁODU

ANNE APPLEBAUM:

Być może obecne kryzysy,
polsko-żydowski i polsko-ukraiński,
sprawiają, że Polacy dokładniej przyjrzą się własnej historii.



PATRYCJA BUKALSKA: W nowej książce „Czerwony głód” opisuje Pani klęskę, która dotknęła sowiecką Ukrainę w latach 30. XX w. Ukraińcy traktują Holodomor jako ludobójstwo, dokonane przez Sowietów. Badanie tego tematu było trudne emocjonalnie?

Świadectwa są wyjątkowo drastyczne.

ANNE APPLEBAUM: Napisałam trzy książki o historii stalinizmu i faktycznie ta była najtrudniejsza. Gdy czyta się relacje o Gulażu – o tym była pierwsza książka – zwykle są to wspomnienia inteligentnych ludzi, którzy przeszli przez sowieckie obozy. Często to świetni pisarze, mają ciekawe obserwacje. Natomiast gdy się czyta o głodzie na Ukrainie, są to relacje prostych chłopów. Tu nie ma filozoficznych rozważań o naturze człowieka. To opowiedziane bezpośrednim językiem potworne historie o umierających dzieciach, o matkach, które nie potrafią im pomóc. Straszne, straszne historie.

Można pojąć mechanizm tej zbrodni?

Wszystkie książki o Sowietach pisałam w tym celu: aby zrozumieć, jak był możliwy terror i inne podobne zjawiska. Przecież pracowały przy tym tysiące ludzi, bez ich zaangażowania to wszystko nie byłoby możliwe. Stalin sam nie doprowadził do Wielkiego Głodu, byli też inni: tysiące aparatczyków i zwykłych ludzi, także – na samym dole – sąsiadów, którzy kradli innym jedzenie. To był skomplikowany mechanizm.

Angielskie wydanie książki ma podtytuł „Stalin's War on Ukraine”, wskazujący, że głód był bronią wymierzoną w naród ukraiński. Ale historycy twierdzą, że inne sowieckie republiki też głodowały. Ukraińskie doświadczenie było wyjątkowe?

Głód pojawił się w całym ZSRR jako skutek kolektywizacji. Podobnie jednak jak w przypadku zbrodni niemieckich, gdy mówimy o zbrodniach przeciw Polsce, Francji itd., jest to szersza kategoria, a potem kategoria węższa, np. Holocaust, czyli specyficzna polityka III Rzeszy wobec Żydów. Tak jest i tu: ogólna historia głodu, który dotknął Rosję, Kazachstan i inne republiki, oraz historia głodu ukraińskiego.

Brygada sowieckich aktywistów na Ukrainie znajduje schowane w ziemi ziarno. Przywódca trzyma długi żelazny pręt, którym posługiwano się podczas przeszukań. 1932 r.

Pojawienie się głodu na Ukrainie było na rękę Stalinowi, który bał się buntu Ukraińców. Od pewnego momentu władze podejmują celowe działania, pogłębiające skutki tej klęski: zamykane są granice administracyjne, by głodujący nie mogli uciekać, jedzenie jest niszczone. Czyli nie chodziło tylko o zdobycie zboża na eksport, lecz o wyniszczenie narodu?

W historii Wielkiego Głodu ważne są decyzje, które Stalin podjął jesienią 1932 r., a które dotyczyły głównie Ukrainy albo tylko Ukrainy. Decyzje o zamknięciu granic republiki, o stworzeniu tzw. czarnych list wsi i gospodarstw [umieszczano na nich kolchozy i wsie, które nie wywiązały się z dostaw, co pociągało za sobą sankcje – red.]. To dowodzi szczególnego traktowania Ukrainy. Potem zaś nastąpiła akcja konfiskaty zboża, dobrze zorganizowana. Grupy aktywistów chodziły od wsi do wsi i zabierały wszystko. Nie tylko zboże, ale warzywa z domowych ogródków, krowy, wszystko. Robili to po kilka razy, wracali do przeszukanych już miejsc. Jeśli coś znaleźli, był to dowód, że żywność ukrywano. Ci aktywiści nie mogli nie wiedzieć, że ludzie będą umierać z głodu. I umierali. Taki był skutek dekrétów Stalina z 1932 r.

Stalin wiedział o skali głodu na Ukrainie?

Wiedział. Ukraińscy komuniści do niego pisali, te listy się zachowały.

Był moment, gdy Stalin mógł się wycofać? Poprosić o pomoc międzynarodową dla głodujących?

Był taki moment, gdy zdawało się, że może złagodzić swoją politykę wobec ukraińskiej wsi. Wysłano tam nawet jakąś pomoc. Ale potem znów zmienił decyzję. Myślę, że przestraszył się możliwości rebelii na Ukrainie, nawet tego, że ukraińscy komuniści mogą przestać słuchać Moskwy. Dlaczego? Bo miał to cały czas w głowie. Ponad dekadę wcześniej, w czasie wojny, która nastąpiła po bolszewickiej rewolucji, Stalin był na Ukrainie i pamiętał powstania ukraińskie. Bał się, że to się powtórzy. Teraz nie tylko nie wycofał się ze swych katastrofalnych w skutkach decyzji, lecz wręcz je radykalizował.

Stalin rzeczywiście miał obsesję na punkcie Ukrainy?

Wszyscy bolszewicy mieli ukraińską obsesję. Przecież w 1917 r. w Kijowie podjęto

próbę stworzenia ukraińskiego państwa. To była rewolucja liberalno-lewicowo-narodowa, ukraińscy działacze próbowali stworzyć państwo – podobnie jak Polacy, Estończycy, Finowie itd. Armia Czerwona dwukrotnie dotarła do Kijowa, ale została odrzucona. Potem zaczęło się wielkie chłopskie powstanie na całej Ukrainie, które trwało kilka lat. Zapanował tam chaos, z armiami ukraińskimi, polskimi, bolszewickimi. Jedna z „białych” armii dotarła wtedy niemal do Moskwy.

Ostatecznie bolszewicy wygrali...

...ale zapamiętali tę lekcję i stąd ich lęk, także przed kolejną ukraińską rebelią chłopską czy ukraińsko-polskim porozumieniem. Uważali, że to mogłoby zagrozić Związkowi Sowieckiemu. Stalin był wtedy komisarzem ds. narodowości, wiedział, co się tam działo. Wiedział, co może stać się na Ukrainie. Trzeba pamiętać, że sowieccy przywódcy z lat 30. nie wzięli się znikąd. Przyszli z doświadczeniami z lat 20. A ponadto bolszewicy potrzebowali ukraińskiego zboża. Bali się, że bez niego nie wykarmią Moskwy i Leningradu.

Czy żeby zrozumieć obecną politykę Putina, należy cofnąć się także do tamtych czasów, również do Wielkiego Głodu? Czy to ta sama obsesja, że Ukrainie nie można pozwolić oderwać się od Rosji?

Myślę, że tamte doświadczenia są wryte głęboko w pamięć Rosjan, szczególnie tych z tajnych służb, z KGB. Powtarzano im, że Ukrainy trzeba pilnować szczególnie. A poza tym: przypomnijmy, dlaczego doszło do rozpadu Związku Sowieckiego? Głównie dlatego, że Ukraina – z formalnego punktu widzenia tworząca, wraz z Rosją i Białorusią, sowiecką federację – zadeklarowała niepodległość i zapowiedziała, że nie chce wchodzić do żadnego nowego tworów, który miałby powstać w miejsce ZSRR.

Putin to tak pamięta?

Przecież on do dziś powtarza, że największą katastrofą XX wieku był rozpad Związku Sowieckiego. Utrata Ukrainy to była trauma, dlatego Putin stara się dziś na nowo włączyć ją w moskiewską orbitę. Jesteśmy teraz świadkami próby odbudowania imperium rosyjskiego.

Przez kilkadziesiąt lat w Związku Sowieckim, także w ukraińskiej



→ republice, nie wolno było mówić o Hołodomorze. Ale pamięć o nim przetrwała dzięki przekazom rodzinnym i ukraińskiej emigracji. Dziś jednak władze rosyjskie twierdzą, że Hołodomoru – jako działania intencjonalnego – nie było.

Dlatego nie tylko Hołodomor jest dziś ważną częścią tożsamości ukraińskiej. Równie ważna jest pamięć o kłamstwach na temat Hołodomoru. Tożsamość ukraińska jest oparta na przekonaniu, że trzeba chronić prawdę o własnych cierpieniach, takich jak Wielki Głód. Zresztą dziś prawda o nim nie musi już ograniczać się do historii rodzinnej, przekazywanej dzieciom przez rodziców i dziadków. Publikowane są relacje i wspomnienia, które ludzie pisali wtedy tylko do szuflady. Są też archiwa, które jasno pokazują, co się stało.

Niemniej skala manipulacji, jakich dopuszczali się władze sowieckie, była niewiarygodna. Fałszowano nawet spisy ludności, by ukryć śmierć kilku milionów Ukraińców.

Rzeczywiście, dezinformacja była wielka. Spis ludności najpierw nie został opublikowany, a potem jego wyniki zmieniono. Szef biura statystycznego, odpowiedzialny za spis, został rozstrzelany. Zresztą spisy ludności były potem manipulowane aż do końca istnienia Związku Sowieckiego.

Mogą gdzieś być jeszcze dokumenty, które rzuciłyby światło na tamte wydarzenia?

Brakuje rozkazów dla ukraińskiej służby bezpieczeństwa. Są dokumenty dla rosyjskiej bezpieki, ale dla ukraińskiej ich nie ma. Być może zostały zniszczone. Nie wiemy też, jak były organizowane grupy aktywistów przeprowadzających konfiskaty, jakie mieli rozkazy. Możliwe również, że brakuje niektórych pism Stalina. Nie sądzę jednak, by ich odnalezienie mogło zmienić obraz tej historii.

Zatrzymajmy się przy aktywistach wysyłanych na ukraińską wieś. Jak można tak zmanipulować ludzi, aby odbierali innym ostatni garnek kaszy i wierzyli, że robią to w słusznej sprawie?

Ich motywacje były różne. Część się bała, nie wiedziała, że ma wybór. Robili, co im kazano. Część sama głodowała i sądziła, że jeśli zabierze żywność sąsiadom, to przynajmniej nakarmi własne dzieci.

Obserwuję sprawy polskie od 30 lat.

Jeszcze pół roku temu nikt na Zachodzie nie myślał, że Polska jest odpowiedzialna za Holokaust. Teraz znajomi z Zachodu zaczynają mnie pytać: a może coś w tym było?

Byli jeszcze młodzi rosyjscy działacze, spoza Ukrainy.

Oni rzeczywiście byli motywowani ideologią. Dla nich ci głodujący chłopcy byli po prostu ludźmi niepotrzebnymi, przeszkodą w przeprowadzeniu rewolucji. Wierzyli, że trzeba ich zniszczyć, tak jak cały stary system. Wiemy, że tak myśleli, bo kilkoro z nich napisało potem wspomnienia. Taki sam sposób myślenia stał zresztą za Gułagiem i Wielkim Terrorem.

Zmienimy temat: mamy dziś w Polsce spór o nowelizację ustawy o IPN...

...chciałabym powiedzieć o tej ustawie jedną rzecz. Piszę także o Polsce, obserwuję sprawy polskie już od około 30 lat. Jeszcze pół roku temu nikt, absolutnie nikt na Zachodzie nie myślał, że Polska jest odpowiedzialna za Holokaust. I nikt nie myślał, że Polska jest odpowiedzialna za niemieckie obozy koncentracyjne. Teraz, gdy polski rząd próbuje wprowadzić sankcje karne za mówienie o historii, znajomi na Zachodzie zaczynają mnie pytać: a może coś w tym było? Może Polacy też budowali obozy koncentracyjne? Skoro rząd zabrania mówić o historii, może stara się coś ukryć? Naprawdę nigdy wcześniej tego nie było. Nigdy nie widziałam tylu złych rzeczy pisanych o Polsce, co teraz.

W kontekście tej ustawy mówi się wiele o jej negatywnym wpływie na stosunki Polski z Izraelem i USA. Mniej o stosunkach z Ukrainą, choć ustawa dotyczy też historii polsko-ukraińskiej.

Trzeba jasno powiedzieć, że jest tylko jeden kraj, który korzysta na tym, że Polska i Ukraina się nie zgadzają – to jest Rosja. Nie mam wątpliwości, że są celowo organizowane strony internetowe, gdzie Polacy – albo: ludzie podający się za Pola-

ków – piszą źle o Ukrainie, albo Ukraińcy – lub znowu: osoby podające się za Ukraińców – źle o Polsce. To dzieło Rosjan. Rządy polski i ukraiński wpadły w pułapkę. Okazały się tak naiwne, że nie wiem w ogóle, co można tu powiedzieć. Jeszcze trzy-cztery lata temu, gdy w Kijowie był Majdan i Rosja zaczynała wojnę z Ukrainą, wszystko układało się dobrze, a teraz nie rozmawiamy ze sobą. Jak to możliwe? Co stało się w ciągu tych ostatnich lat, co zmieniło aż tak bardzo sytuację? To jest rosyjska prowokacja i tylko Rosja na tym pogorszeniu stosunków korzysta. To tak oczywiste, że nie wiem, jak to możliwe, że Polacy czy Ukraińcy to akceptują.

Może jest w tym także jakaś pozytywna perspektywa? Kiedy już przerobimy te trudne momenty z historii, łatwiej nam będzie z teraźniejszością?

Nie mogę przewidywać przyszłości. Być może te kryzysy, polsko-żydowski i polsko-ukraiński, sprawią, że Polacy dokładniej przyjrzą się własnej historii.

Można by też powiedzieć, że otwierając takie spory, które służą przede wszystkim Rosji, nie wyciągamy wniosków z historii. Dlaczego nadal popełniamy te same błędy? Zresztą problem nie dotyczy dziś tylko Polski, ale wielu miejsc na świecie.

Istotnie, od ślepej ideologii, od powtarzania kłamstw nie są wolne również państwa europejskie, np. Węgry. Viktor Orbán mówi takie rzeczy, w które po prostu nie może wierzyć. Na przykład, że Węgrom zagrażają nieistniejący imigranci. Albo George Soros. To podobna propaganda do komunistycznej. Na razie nie doprowadziła do przemocy, ale wykluczyć tego nie można.

W Czechach ostatnie wybory zdominował sprzeciw wobec uchodźców i islamu, choć nie ma tam uchodźców ani muzułmanów. To przypomina mechanizm opisany w Pani księżce: wyizolowanie grupy społecznej za pomocą języka nienawiści, obarczenie jej winą za wszelkie problemy. Tak zrobiono z tzw. kułakami, chłopami, którzy byli nieco zamożniejsi. Gdy już ich odczłowieczono w oczach reszty, można było się ich pozbyć.

To mechanizmy z arsenału każdego dyktatora na całym świecie: budowanie

nienawiści do jakiejś mniejszości i budowanie poczucia wspólnoty w kontrze do tej mniejszości, w myśl zasady: my jesteśmy inni niż tamci. My, prawdziwi Polacy, prawdziwi Francuzi itd.

O ile jednak nie dziwi to w systemach totalitarnych, o tyle dziwi w demokratycznej Europie.

Po to wymyślono instytucje demokratyczne, żeby zapobiegać takiemu zjawisku. Po to są niezależne sądy czy niezależna prasa, aby upewnić się, że żaden rząd nie będzie łamać praw obywateli, w tym praw mniejszości. Te instytucje powstały w konkretnym celu, wiemy, po co je mamy.

Myślę, że często właśnie nie wiemy.

Może zapomnieliśmy. A demokracja to nie jest tylko głosowanie w wyborach, to są też właśnie te instytucje broniące demokracji przed demagogią. One są częścią systemu kontroli nad władzą.

W Pani książce opisana jest przejmująca historia młodego dziennikarza Garetha Jonesa, który jako jedyny zagraniczny korespondent postanowił napisać prawdę o głodzie na Ukrainie. Został za to zniszczony. Nie przez sowieckie władze, lecz przez swoich kolegów po fachu.

To historia dwóch dziennikarzy. Jeden to wspomniany Gareth Jones: bardzo młody „wolny strzelec”, bez większych kontaktów w świecie mediów. Drugi to Walter Duranty: stały korespondent dziennika „New York Times” w Moskwie, już wtedy znany, nagrodzony Pulitzerem. Najbardziej wpływowy dziennikarz zagraniczny w Moskwie. Jones przyjechał do Moskwy, dostał pozwolenie na wjazd na Ukrainę. Kilkadziesiąt kilometrów od Charkowa wysiadł z pociągu i szedł wzdłuż torów, rozmawiał z ludźmi i przyglądał się temu, co się dzieje. W ten sposób stał się jedynym zagranicznym dziennikarzem, który widział wtedy głód. Był marzec 1933 r. Zapisywał wszystko w notesie, dopiero niedawno opublikowanym. O tym, co zobaczył, Jones opowiedział na konferencji prasowej w Berlinie, potem zaczął o tym pisać. Duranty uznał, że nie może na to pozwolić, bo jako wielki fan kolektywizacji sam pisał wcześniej, że głodu nie ma. Napisał więc słynny artykuł pt. „Rosjanie są głodni, ale nie głodują”. I to



Biedniacy przy ruinach domu, ok. 1929 r. Zdjęcia pochodzą z książki Anne Applebaum „Czerwony głód”, za ich udostępnienie dziękujemy Wydawnictwu Agora.

był koniec sprawy: ludzie uwierzyli znemu Duranty’emu, a nie Jonesowi.

Smutna historia.

Tym bardziej że dwa lata później Jones zginął w niejasnych okolicznościach, podczas pobytu w Mongolii.

Co się stało z Durantym?

Wtedy wydawało się, że wygrał. Ale teraz, ponad 80 lat później, Duranty jest pamiętany jako dziennikarz, który kłamał, o Jonesie zaś pisze się książki i robi filmy. Na Ukrainie jest uznawany za bohatera.

Dla mnie najbardziej wstrząsające jest nie to, że opinia publiczna uwierzyła Duranty’emu, lecz że inni zagraniczni dziennikarze w Moskwie, wiedząc o głodzie, wybrali kłamstwo lub milczenie.

Oni bali się, że Sowietci wyrzucą ich z kraju. Mogli pracować w Moskwie tylko pod warunkiem, że będą przestrzegać sowieckich reguł. Zresztą do końca Związku Sowieckiego dziennikarze mieli ten problem. Pisanie stamtąd korespondencji zawsze było trudne.

Wtedy informacje o Wielkim Głodzie nie wychodziły poza Związek Sowiecki, może zresztą świat nie chciał wiedzieć. Teraz jednak trudno nie wiedzieć, co dzieje się np. w Syrii. A podobnie jak wtedy pozostajemy beczynni wobec ludzkiej tragedii na taką skalę.

Syria jest dobrym przykładem, jak jesteśmy w stanie nic nie robić w czasie kry-

zysu. Dla Polaków to ważne, bo często mówią: jak to możliwe, że było powstanie warszawskie, a świat nic nie robił? Teraz wiemy, jak to możliwe, bo mamy podobną sytuację z Syrią. Niszczone są kolejne miasta, a w Polsce i w świecie na to nie reagujemy. Nie dziwmy się więc, że Anglia w 1944 r. nie reagowała na powstanie warszawskie. To przecież daleko, a my i tak nic nie możemy zrobić – nie robimy więc nic.

Mówimy o mechanizmach, polityce, strategiach. Tymczasem swoją książkę zadedykowała Pani po prostu ofiarom. Nadal nie wiadomo, ilu ludzi straciło życie w wyniku głodu na Ukrainie.

Trudno dojść tej liczby, skoro wtedy fałszowano świadectwa zgonów i wpisywano nieprawdziwe przyczyny śmierci. Nie ma oficjalnej liczby ofiar głodu. Część badaczy opiera się na dokumentach i wskaźnikach demograficznych, część również na emocjach. Część ofiar chowano w masowych grobach, część gdzie indziej. Prawdziwych grobów jednak nie mają – ja chciałam im dać choć takie miejsce pamięci.

Jakie wnioski powinniśmy wyciągnąć z historii Hołodomoru?

Nie chciałabym moralizować. Ale analizując tamte wydarzenia, można zrozumieć dzisiejsze kampanie dezinformacyjne. Oczywiście okoliczności są inne, ale metody i myślenie w tych kampaniach są te same. To, co się stało wtedy, powinno nam dać do myślenia. Poza tym poznanie historii Ukrainy od roku 1917 do dzisiaj może pomóc nam w zrozumieniu współczesnej Ukrainy i Rosji. Np. dlaczego Putin tak reagował na młodych ludzi stojących na kijowskim Majdanie z flagami Unii Europejskiej? Dlaczego Rosja ma taki stosunek do Ukrainy? Nie zrozumiemy tego bez spojrzenia w przeszłość.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

ANNE APPLEBAUM jest dziennikarką i historykiem. Autorka wielu książek, głównie o dziejach Europy Środkowej i Wschodniej, za wydany w 2003 r. „Gulag” otrzymała Nagrodę Pulitzera. Żona Radosława Sikorskiego, od 2013 r. ma obywatelstwo polskie.

Tekst Magdaleny Nowickiej-Franczak o „Czerwonym głodzie” opublikowaliśmy w poprzednim numerze „TP”.



GORsza BLIŹNIACZKA

Powierzchnia Wenus jest piekłem.
I właśnie dlatego ciągle pozostaje praktycznie niezbadana.

ANNA ŁOSIAK

TEMPERATURA NA POWIERZCHNI TO PALĄCE 460 stopni Celsjusza – wystarczająca żeby stopić ołów; ciśnienie jest 92 razy wyższe niż na Ziemi. Promienie Słońca nie przebijają się przez wiecznie zachmurzone niebo, więc panuje nieustający, pomarańczowy półmrok. Od czasu do czasu pada deszcz kwasu siarkowego zdolny rozpuszczać stal. Nie tylko życie na Wenus miałoby dzisiaj trudno – w takich warunkach nie radzą sobie nawet statki kosmiczne.

Kręci się inaczej

Na samym początku naszych badań kosmosu to Wenus wydawała się bardziej przyjazna życiu niż Mars. Jest najbliższą Ziemi planetą i znajduje się w obrębie ekosfery naszego Słońca, czyli przy odpowiednim składzie atmosfery na jej powierzchni mogłaby istnieć woda w stanie ciekłym. Dodatkowo Gwiazda Zaranna ma niemal identyczną średnicę co nasza planeta i tylko trochę mniejszą masę. Już od połowy XVIII w. było też wiadomo, że ma atmosferę. Z uwagi na te wszystkie po-

dobieństwa pierwszy statek kosmiczny zawitał w okolice Wenus ponad dwa lata przed podobną misją w okolice Marsa.

Niestety, już pierwsze, bardzo pobieżne oględziny wykazały, że warunki na planecie bogini miłości są skrajnie nieprzyjazne. Oprócz temperatury powierzchni, porównywalnej do tej panującej w ziemskich piecach do pizzy, stwierdzono także obecność bardzo gęstych chmur z kwasu siarkowego, które uniemożliwiały obejrzenie powierzchni przy pomocy kamer używających światła widzialnego. Obserwacje prowadzone z Ziemi ograniczały się prawie wyłącznie do oglądania najwyższych warstw atmosfery. W końcu okazało się, że zasłonę pokrywającą Wenus są w stanie przeniknąć właściwie tylko promienie radarowe. Dlatego też dopiero w latach 60. XX w. udało się stwierdzić, że dzień na Wenus jest dłuższy niż rok. Do tego czasu nie wiedzieliśmy również, że kręci się ona w odwrotną stronę niż większość planet i asteroid. Pierwszą w miarę szczegółową mapę tej planety wykonano dopiero w latach 90. XX w.

Radzieckie misje

Żeby lepiej poznać jakieś ciało niebieskie, musimy na nim wylądować. To dlatego na Czerwoną Planetę wysyłamy coraz to nowe urządzenia: od 1975 r. szczęśliwie wylądowało tam osiem różnych statków kosmicznych, a jeden z nich – łazik Opportunity – przejechał już 45 km w ciągu ostatnich 14 lat. Na Wenus do tej pory wylądowały tylko prawie jednakowe radzieckie sondy wysłane tam w ramach programów Venera i Vega. Ale od 1985 r. powierzchni nie dotknął żaden wytwór ludzkich rąk (może z wyjątkiem resztek orbiterów, które po skończeniu misji spały się w gęstej atmosferze).

Radzieckie lądowniki były małymi cudami techniki. Na Ziemi instrumenty Venery, nawet tak proste jak wiertło do pobierania próbek skał, były bezużyteczne. Dopiero w temperaturze 460 stopni, w wyniku rozszerzalności termicznej, części powiększały się na tyle, że poszczególne elementy wreszcie zaczynały do siebie pasować, a całe urządzenie stawało się funkcjonalne. Po wylądowaniu szczególnie za-

mknięte wewnątrz Venery było przez jakiś czas relatywnie chłodne, ale maksymalnie po 127 minutach (Venera 13) nagrzewało się na tyle, że elektronika przestawała działać. Niewiele można było z tym zrobić, bo w temperaturze powyżej 250 stopni krzem przestaje zachowywać się jak półprzewodnik, a cała nasza ziemskie elektronika jest oparta na tych specyficznych właściwościach tego pierwiastka. Same własności fizyczne krzemu uniemożliwiają nam wysłanie na Wenus łazika podobnego do tych jeżdżących po Marsie.

Na szczęście ostatnio naukowcom z NASA udało się stworzyć pierwszy, prosty chip komputerowy, oparty na półprzewodniku bardziej odpornym na wysoką temperaturę. Zbudowany jest z węgliku krzemu na ceramicznej podstawie. Taki układ został przetestowany w Glenn Research Center w specjalnej komorze symulującej warunki na Wenus (temperatura 460 stopni i ciśnienie 92 atmosfer, ale bez atrakcji dodatkowych w postaci deszczu kwasu siarkowego), gdzie działał przez 21 dni – aż do momentu, kiedy wysiadła komora symulacyjna. To daje nadzieję na stworzenie nie tylko długo żyjących łazików wenusjańskich, ale również na rozwiązanie wielu problemów w ziemskim przemyśle wydobywczym, energetycznym czy wojskowym.

Amerykańska polityka

Główny problem techniczny w „podboju” Wenus został już więc rozwiązany. Czemu więc nie ma w najbliższym czasie żadnych projektów misji na naszą planetarną gorszą siostrę bliźniaczkę? Odpowiedź jest prosta – z powodu polityki. W 2017 r. w konkursie na kolejną dużą misję NASA wystartowało pięć zespołów wenusjańskich. Żaden z nich nie został zakwalifikowany do kolejnego etapu rozważań. Wynika to częściowo z tego, że od 1994 r. USA nie miały żadnej misji dotyczącej drugiej planety od Słońca. W rezultacie prawie wszystkie osoby, które zajmowały się tym tematem w przeszłości, są już na emeryturze, a amerykańskie średnie pokolenie badaczy Wenus nigdy nie miało szansy się narodzić – nie było misji, przy których mogliby pracować i się uczyć. A to właśnie średnie pokolenie jest najważniejsze w proponowaniu nowych misji kosmicznych.

Przygotowanie takiego wydarzenia to co najmniej 15 lat pracy. Dlatego misje mu-

Gwiazda Zaranna i Wieczorna

Venus znajduje się bliżej Słońca, więc jej orbita znajduje się wewnątrz orbity Ziemi. Dlatego właśnie oglądana przez nas zawsze wydaje się znajdować blisko naszej gwiazdy i staje się widoczna tylko na krótko przed wschodem lub zaraz po zachodzie – z tego powodu nazywana była Gwiazdą Zaranną (lub Jutrzenką) oraz Wieczorną. Niektórzy dawni astronomowie twierdzili, że to dwa różne ciała niebieskie. Oczywiście w ciągu dnia Wenus też „podąża” za Słońcem, nie jest jednak widzialna, bo przyćmiewa ją jego blask. Jednakże w czasie całkowitego zaćmienia przez kilka minut można ją oglądać również za dnia.

szą opierać się na 40-latkach – wystarczająco doświadczonych, żeby móc przygotować tak skomplikowaną operację, ale też wystarczająco młodych, żeby doczekać przed emeryturą momentu, kiedy widzieć efekty pracy. W rezultacie brakuje naukowej „masy krytycznej”, czyli tłumy naukowców zainteresowanych danym tematem, lobbujących oficjalnie i półoficjalnie na rzecz danej planety.

Ciężka woda

Poza tym od wielu lat NASA kieruje się w swoich działaniach hasłem „podążaj za wodą”. Woda jest istotna nie tylko z powodów astrobiologicznych – już teraz wiemy prawie na pewno, że bez wody życie nie miałoby szans się rozwinąć, ale też z powodów praktycznych – bez zabezpieczenia dostępu do sporych ilości wody ludzkość nigdy nie będzie w stanie zasiedlić kosmosu czy choćby założyć niewielkiej, stałej bazy na Księżycu. Dlatego tak wiele uwagi i funduszy poświęca się Marsowi i jego lodowcom, dlatego też tak liczne są misje na asteroidy i komety (oba typy ciał podejrzewa się o dostarczenie przed miliardami lat wody na Ziemię), z tego też powodu planuje się misję na bieguny Księżyca.

Powierzchnia Wenus jest jednym z najsuchszych miejsc w naszym Układzie Słonecznym i paradoksalnie właśnie dlatego jest doskonałym miejscem do badania wody. Kiedyś na Wenus było mnóstwo wody. Raczej mniej niż na Ziemi, ale wystarczająco do utworzenia płytkich oce-

anów. Wskazuje na to stosunek deuteru i wodoru zmierzony w atmosferze przez sondę Pionier i wynoszący ponad 150 razy tego, co obserwujemy na Ziemi. Deuter to cięższy izotop wodoru, identyczny pod względem właściwości chemicznych, ale o dwa razy większej masie (ponieważ oprócz protonu ma w swoim jądrze również neutron). Zwyczajna woda składa się z jednego atomu tlenu i dwóch atomów wodoru; większość z tych wodorów jest „normalna”, ale niewielka część (poniżej 0,02 proc.) to deuter („ciężka woda” wykorzystywana m.in. w reaktorach jądrowych jest znacząco wzbogacona w deuter). Jeżeli jakieś czynniki (np. wysoka temperatura lub promieniowanie UV) spowodują rozpad cząsteczek wody, to wtedy oba uwolnione izotopy wodoru będą zachowywać się inaczej. Deuter jako dwa razy cięższa cząsteczka generalnie trzyma się bliżej powierzchni i porusza się wolniej, podczas gdy lżejszy normalny wodór może się rozprężyć do ogromnych prędkości i atom po atomie bezpowrotnie ulecieć w kosmos. W rezultacie po jakimś czasie udział deuteru w ogólnej puli dostępnego wodoru w atmosferze zwiększy się, a my możemy z grubsza wyliczyć, ile cząsteczek wody musiało się rozpaść, żeby uzyskać zmierzony stosunek izotopowy.

Dlaczego więc Wenus, pomimo wielu podobieństw do Ziemi, zmieniła się w piekło? Najbardziej aktualna hipoteza sugeruje, że jest to wynikiem nakładających się na siebie dwóch czynników. Po pierwsze, Słońce od powstania 4,5 mld lat temu powoli stawało się coraz gorętsze. Klimatyczne modele Wenus wskazują, że o ile przez pierwsze 2 mld lat temperatura na jej powierzchni mogła pozwolić na istnienie tam oceanów i teoretycznie życia, o tyle później ilość docierającej do niej energii wzrosła na tyle, że któregoś dnia ostatnia wenusjańska kałuża ostatecznie wyparowała. Ale ten dramatyczny scenariusz nigdy by się nie spełnił, gdyby nie drugi czynnik. Jest nim gęsta, zbudowana głównie z dwutlenku węgla atmosfera, w której wytworzył się niezwykle silny efekt cieplarniany. Nawet dzisiaj temperatura na Wenus jest o ponad 500 stopni wyższa, niż mogłaby być bez atmosfery. Nie wiemy jednak nadal, kiedy dokładnie to się stało ani jak właściwie przebiegał proces przemiany milej dla życia, pełnej oceanów planety w nagrzany piekarnik. Żeby zdobyć tę wiedzę, musimy wysłać dzielne łaziki na samo dno piekła. ©



SABSAIT / PIXABAY

Młody gepard z mamą

Kto nadaje tempo

ŁUKASZ ŁAMŻA

Naukowcy to też ludzie, więc lubią ładne obrazki: bańki mydlane, kwiatki albo gonitwy na sawannach.

WCZASOPISMACH TAKICH JAK „NATURE” i „Science” obok artykułów pełnych wzorów i bardzo istotnych dla rozwoju ludzkości zawsze znajdują się teksty „lżejsze”. Nie mówię tu o typowych żartach, które później zostaną uhonorowane nagrodą Ig Nobla (jak badania nad lewitującymi żabami albo stanikiem stanowiącym równocześnie dwie maski gazowe) – takie raczej nie trafiają do wysokiej rangi czasopism – ale artykułach, owszem, solidnych i sensownych, lecz jednocześnie poruszających w nas łatwą w obsłudze strunę estetyczną. Dzisiaj przyjrzymy się takim trzem uroczym drobiazgom.

Pierwszym z nich jest zamarzanie na powierzchni kuli. Dla chemika krystalografa to przypadek problematyczny. Nieskończona płaska powierzchnia może teoretycznie zamarznąć „idealnie” – wszystkie atomy znajdą swoje geometrycznie doskonałe położenie końcowe. Na kuli jest to niemożliwe. Zamarzająca sfera – np. szybko przechłodzona bańka mydlana – musi posiadać niedoskonałości: punkty styku pomiędzy płatkami zbudowanymi z regularnych sieci krystalicznych. 15 lutego w „Nature” opisano (R.E. Guerra i in. „Freezing on a Sphere”) doświadczenia z zamarzaniem na powierzchni kuli. Autorzy stwierdzili, że zamarzają rosnące

„kontynenty krystaliczne”, pomiędzy którymi występują malejące „morza defektów”. W końcu kontynenty zrastają się ze sobą, tworząc jeden globalny superkontynent, posiekany tylko chaotycznymi „szwami”. Efekt końcowy ma strukturę analogiczną do budowy piłki nożnej, na której sąsiadują ze sobą płyty pięciokątne i sześciokątne. Geometrycznie jest to dwudziestokąt foremny (ikosaedr); taką samą budowę mają też otoczki niektórych wirusów. Autorzy spieszą z zapewnieniami, że ich model może mieć znaczenie dla badań nad rozmnażaniem się wirusów. Nie zapominajmy bowiem, że naukowców szczególnie interesują te rzeczy ładne, które są też ważne.

Nie ma chyba nic ładniejszego od kwiatków, a spora grupa chińskich badaczy postanowiła pójść na całość i zbadać wszystkie gatunki roślin kwiatowych Chin ze względu na ich genotyp i rozmieszczenie geograficzne (L.-M. Lu i in. „Evolutionary History of the Angiosperm Flora of China”). Udało im się dotrzeć do 26 978 gatunków, czyli ok. 92 proc. całkowitej flory roślin kwiatowych (lub, mówiąc nieco precyzyjniej, okrytonasiennych) – i tak gigantyczna robota, biorąc pod uwagę to, że Chiny rozciągają się od zimnych lasów syberyjskich po tropikalne lasy Indochin

i od gór Karakorum oraz pustyni Tybetu po ciepłe rozlewiska Żółtej Rzeki. Szczególnie interesujący jest wykryty podział na dwie zasadnicze strefy ze względu na kwestię „innowacji ekologicznej”. Otóż Chiny Zachodnie stanowią „ewolucyjną kolebkę”, gdzie powstaje wiele nowych gatunków roślin, a Chiny Wschodnie „ewolucyjne muzeum”, gdzie wciąż występują gatunki, które narodziły się na zachodzie, ale tam już dawno wymarły. Można przypuszczać, że na kontynencie azjatyckim występują obszary „testowania” nowych rozwiązań ewolucyjnych oraz obszary „archiwalne”, do których trafiają „stare” gatunki. To właśnie tego typu informacje sprawiają chyba, że w świecie nauki nigdy do końca nie wymrze hipoteza Gai, głosząca, że Ziemia jest pojedyńczym organizmem żywym – dbającym o siebie, inteligentnie reagującym, a być może nawet myślącym. Niby wszyscy przyznają, że to szalone, ale kusi...

Na koniec lwy i zebry oraz gepardy i impale – te dwie pary drapieżnik-ofiara opisała w „Nature” grupa naukowców z Botswany (A.M. Wilson „Biomechanics of Predator-prey Arms Race...”). Zwierzęta wyposażono w nadajniki GPS i śledzono ich ruchy. Punktem wyjścia badań była strategiczna asymetria między drapieżnikiem a ofiarą – już choćby taka, że, czysto statystycznie, drapieżnik częściej poluje niż ofiara ucieka. Dalej – drapieżnik poluje z pustym żołądkiem, jest więc lżejszy, wyszukując sobie przy tym ofiary najedzone. Co więcej, okazuje się, że to ofiara nadaje tempo (!). Ponieważ przy większej szybkości maleje zwrotność, istnieje pewna optymalna dla ofiar, wcale nie tak wysoka prędkość ucieczki, kiedy to szczególnie skuteczne stają się nagłe zmiany kierunku. Stąd to właśnie gepard (drapieżnik), a nie któraś z afrykańskich antylop, jest najszybszym zwierzęciem lądowym świata. Lwy są też szybsze od zebra. Ostatecznie decyduje bowiem mózg, a nie nogi: ofiary wygrywają swoją nieprzewidywalnością.

W tym akurat artykule na próżno poszukiwałem zwyczajowych zapewnień, że badania te pozwolą nam lepiej zarządzać bioróżnorodnością w Botswanie, a w dłuższej perspektywie przyniosą pewnie i lek na raka. Nic z tych rzeczy. Były za to cztery kolorowe zdjęcia przedstawiające geparda, impalę, lwa i zebra na afrykańskiej sawannie. W gustownych skórzanych opaskach z nadajnikami. ©

ANDRZEJ

Stasiuk:

Dwie cerkwie



BYŁO ZIMNO. MINUS DZIESIĘĆ PRZYNAJMNIEJ. Nie mogłem przyjść wcześniej i zdążyłem na ostatnie pół godziny. No i nie zmarzłem tak jak reszta. Stali w lodowatej cerkwi prawie trzy godziny, bo tyle trwa prawosławne nabożeństwo żałobne. Ze dwadzieścia osób

– nie byli w stanie ogrzać niewielkiego wnętrza. Z ust księdza unosiła się para i mieszała z dymem kadzielnicy. Kiedyś tak nie było, bo wieś do czasu akcji „Wisła” liczyła prawie sto trzydziści domów. Więc nawet w największy mróz starczało ciała, by wypełnić drewniane wnętrza ciepłem. Tak. Drewniane, przytulne, wyłożone, z rzędami ikon z potrójnymi wrotami ikonostasu.

Łemkowskie cerkwie w Beskidzie Niskim zawsze przypominały mi starodawne żaglowce. Latem zanurzone w zielonym rozfalowanym krajobrazie. Zimą uwięzione w nieruchomej bieli, niczym statki odkrywców Północy. Ale zawsze wewnątrz ciepło od nadprzyrodzonego blasku ikon. Nawet w mróz.

Tak się złożyło, że pierwszy raz przyjechałem w Beskid w okolicach prawosławnej Wielkanocy. To było wiele, wiele lat temu. Wieczorem w Wielką Sobotę wyruszyliśmy z przyjaciółmi do wsi Bartne. Bartne jest wyjątkową wsią na Łemkowszczyźnie. Po akcji „Wisła”, w latach 50., niemal w całości powróciła z wygnania. Szliśmy trzy godziny przez ciemność, bezdrożami, przez wysiedlone, nieistniejące wsie, po których pozostały jedynie ka-

mienne krzyże, resztki fundamentów i dziczące sady. Koło północy byliśmy na miejscu. Cerkiew stała rozświetlona, wypełniona ludźmi, w powietrzu snuła się woń kadzidła. Weszliśmy do środka, by już po chwili zrozumieć, że w żaden sposób nie wydostaniemy się aż do końca jutrzni, bo wiernych wciąż przybywało i przybywało. Pełna była nawa, pełny babiniec, tłoczyli się u wejścia. Batniański chór potężnie śpiewał. Zapach świec i kadzideł uderzał do głowy. Ścieśnione ciała wydzygotały woń perfum, potu, promieniowały gorącem i to było tak, że ten gorąc szedł od ludzi, od świec, ale i od cerkiewnego złota, razem z tym ikonowym blaskiem szedł, razem z tym rajskim dobrym ogniem ze światła wiecznego blasku, gdzie już nigdy nie będzie mroku i żadna rzecz nie rzuci cienia. No i to tam, wiele, wiele lat temu miałem wizję, że drewniana cerkiew jest jak żaglowiec, jak starodawny galeon do przeprawy dusz przez burzliwe wody doczesności. Staliśmy słoczeni, ściśnięci, z twarzami lśnącymi od potu, i nawet nie można było się przeżegnać ani pochylić w pokłonie. Ale wyobrażałem sobie, że świątynia płynie w ciemnych przestworzach beskidzkiej nocy, kołysze się, jej wieża poskrzypuje niczym wręgi kadłuba, a wiatr napiera na trzy wieże jak na trzy żagle. Trochę mi się w mojej prostoduszności jakiś łemkowski Chagall chyba zwidował w cudownej komunii z ognistym wozem Eliasza. Tak przecież działają długie, wyczerpujące obrazy, które wystawiają nasze dusze i zmysły na próbę.

A teraz ten mróz i to wnętrza ledwo zaludnione, inna cerkiew. Sąsiadka miała 95 lat. Dzień był pochmurny i z okien sączyło się smutne światło. Zanurzone w nim płomyki świec wyglądały blade, jakby miały zaraz zgasnąć. I ta para z ust księdza, wydobywająca się z każdym werselem liturgii. Słowa skazane na chłód, na zmarznięcie, na ostateczną ciszę. Tak jak w rzeczywistej śmierci. Może tak powinno wyglądać grzebanie. Odprowadzanie zmarłych. Że nie jak na starodawnym żaglowcu, tylko trochę jak w podziemiu, w jaskini, w głębi, gdy blask powoli przygasa i cisza pochłania ostatnie dźwięki. I zostajemy sami. Umarły i my.

©

TP

Kluby „TP” zapraszają

GRUDZIĄDZ – poniedziałek, 19 marca, godz. 18.30. Spotkanie „Kobiet! puchu marny! ty wietrzna istoto!”.

Kawiarnia Staropolska
(ul. Włodka 15).

KOSZALIN – czwartek, 22 marca. Spotkanie „Dietrich Bonhoeffer – chrześcijanin a odpowiedzialność społeczna”. Gościem będzie pastor Marek Kurkiewicz. Sala parafialna Parafii pw. Niepokalanego Poczęcia NMP (ul. Chrobrego 7).

PARYŻ – piątek, 16 marca, godz. 19.30. Spotkanie „We Francji, w Europie – jak się odnaleźć wobec odchodzenia od religii”. Gościem będzie Philippe Delaroche, dziennikarz katolickiego radia Notre-Dame. Spotkanie w j. francuskim. Klasztor oo. pallotynów (52 Avenue Laplace, Arcueil).

RZESZÓW – czwartek, 15 marca, godz. 19.00. Spotkanie „Tam, gdzie nie gaśnie nadzieja. Rozmowy nie tylko o hospicjum”. Gośćmi będą Beata Guzek oraz Małgorzata Kruczek. Aula klasztoru oo. dominikanów (ul. Dominikańska 15).

SŁUPSK – środa, 21 marca, godz. 17.00. Spotkanie „Chrześcijańska odpowiedź na

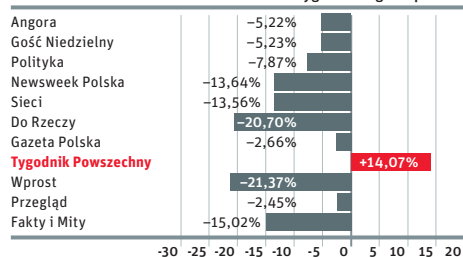
krzys imigracyjny”. Gościem będzie bp Krzysztof Zadarko. Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).

SZCZECIN – czwartek, 15 marca, godz. 17.00. Spotkanie z okazji pierwszej rocznicy powstania Klubu. Gościem będzie ks. Adam Boniecki. Prowadzenie Cecylia Judek. Aula Książnicy Pomorskiej (ul. Podgórna 15/16, III piętro).

WARSZAWA – sobota, 17 marca, godz. 16.00. Kawiarenka Klubu. Gościem będzie Katarzyna Kubisiowska. Stacja Muranów (ul. Andersa 13, wejście od dziedzińca).

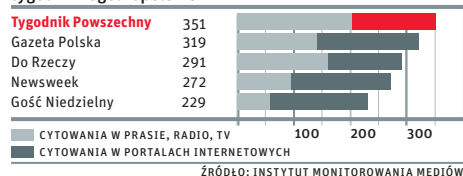
Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

Wzrosty/spadki 2017/2016 SPRZEDAŻ OGÓŁEM Tygodniki ogólnopolskie



DANE ZKDP, WIRTUALNE MEDIA, 20 LUTEGO 2018

Najbardziej opiniotwórcze tygodniki ogólnopolskie styczeń 2018



Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny”. Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika”. Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP” poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS: **0000125605**

Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**



Ks. Adam Boniecki
redaktor senior,
przewodniczący
Rady Fundacji TP

Aleksander Kardys
prezes zarządu
Fundacji TP

Edyta Piłchta
członkini zarządu
Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP”

Maja Kuczińska
członkini zarządu „TP”

Piotr Mucharski
redaktor naczelny
„Tygodnika Powszechnego”

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 12/2018
DODATEK SPECJALNY
22. WIELKANOCNY
FESTIWAL
LUDWIGA VAN BEETHOVENA



August von Kloeber, Ludwig van Beethoven, ok. 1818 r.

Nie tylko Beethoven

W 1997 roku, gdy poproszono mnie, bym przewodniczyła radzie programowej Europejskiej Stolicy Kultury w Krakowie, pomyślałam, że dobrze byłoby, gdyby powstał tu wielki festiwal – odpowiada Elżbieta Penderecka zapytana o naczelną ideę imprezy, która od 22 lat nosi bynajmniej nie oczywiste w Polsce imię

Ludwiga van Beethovena, na dodatek kojarząc je ze świętami Wielkiej Nocy. – Festiwal w sposób unikatowy łączy wykonanie utworu z wystawą manuskryptu kompozytora. Wiele manuskryptów największych twórców, w tym Beethovena, znajduje się bowiem w krakowskiej Bibliotece Jagiellońskiej. Pochodzą ze zbiorów Pruskiej Biblioteki Państwowej w Berlinie i znalazły się tu na →

Festiwal widzę ogromny

JAKUB PUCHALSKI

**Bo trudno inaczej. Wystarczy uwzględnić
dwie rocznice, by program rozwinął się naczynym bogaty dywan,
gdzie jeden spłot pociąga za sobą drugi,
choć co i raz zaskakują nas odmienne wzory.**

→ skutek zawieruchy wojennej, do tego czasu nie były też eksponowane. Festiwal mógł więc pokazać, jak dobrze są przechowywane, opisane. A że 170. rocznica śmierci Beethovena przypadała wówczas na Wielkanoc, stąd Wielkanocny.

Naczelna zasada nie przestaje obowiązywać, jednak obok partytur ostatnich kwartetów Beethovena z op. 131 i 132 na wystawie, stale organizowanej w Jagiellonce, pojawiają się też szkice do „Pasji wg św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego – jako *pars pro toto* dzieła stulecia niepodległości Polski. Twórczość polskiego kompozytora, obchodzącego w tym roku 85. urodziny, będzie też jednym z głównych tematów Festiwalu, a nie mniej hucznie świętowana będzie setna rocznica urodzin Leonarda Bernsteina. Muzykę obu twórców, obok dzieł Beethovena i innych, wykonają gwiazdy, których w tym roku zdecydowanie nie zabraknie. Festiwal, od 2004 r. odbywający się przede wszystkim w Warszawie, zainauguruje sporadycznie goszczący w Polsce Krystian Zimerman (w II Symfonii Bernsteina, z fortepianem); następnie pojawi się Anne-Sophie Mutter, która zagra wręcz całe festiwalowe *tournee*, z recitalami w Krakowie, Katowicach i Wrocławiu oraz Koncertem Beethovena w Warszawie i Katowicach. Do najważniejszych gości zaliczają się też dyrygenci: JoAnn Falletta (program muzyki amerykańskiej), Lawrence Foster (program krążący wokół muzyki polskiej), Leonard Slatkin (wielka II Symfonia Mahlera), wreszcie Christoph Eschenbach („Stabat Mater” Dvořáka).

Wydarzenia Festiwalu obejmują dużą część Polski: poza wymienionymi miastami koncerty odbywać się będą w Lublinie, Wrocławiu, Katowicach, Radomiu, Zabrzu. W zasadzie niemal każdy może sprawdzić, czy w jego okolicy nie ma jakiegoś wydarzenia. – Przybliżenie ludziom dostępu do muzyki zawsze było głównym celem Festiwalu – stwierdza jego twórczyni. – Pokazywanie artystów, których nie można było zobaczyć w kraju, ponieważ nie każdy mógł wyjechać za granicę. Nie każdy też może przyjechać do Warszawy. Naturalnie marzyłoby mi się, by wrócić do transmisji telewizyjnych...

© JAKUB PUCHALSKI

Zestaw koncertów, który sam w sobie jest atrakcją, może otrzymać wartość naddaną, jeżeli ułożony zostanie wedle jakiejś koncepcji. Rocznicę w gruncie rzeczy nie są ideami szczególnie twórczymi, można jednak wykorzystać je do wykreowania niekoniecznie oczywistej panoramy. A jeżeli rzecz dotyczy wyjątkowych postaci z lat ostatnich, powstanie przyczynek do portretu współczesnej kultury muzycznej. W tym roku festiwal przypomni więc dwie sylwetki: Leonarda Bernsteina, urodzonego równo przed stu laty (choć mija już 28 lat, jak nie ma go wśród nas, nie sposób o nim zapomnieć), oraz Krzysztofa Pendereckiego, obchodzącego 85. urodziny. Kompozytor nie tylko w naturalny sposób związany jest z Festiwalem, lecz pozostaje swoistą ikoną muzyki tworzonej w ciągu ostatnich sześciu dekad.

Wiek niepokoju

Dyrygent, pianista i kompozytor Bernstein był postacią, która wywarła głęboki wpływ na kształt muzycznego świata, znaczącym gestem jest więc spięcie odwołań do jego osoby całego festiwalu. Początek to Bernstein-twórca. Sławę zyskał wprawdzie głównie jako autor „*West Side Story*”, ale jego teka kompozytorska była znacznie bogatsza. Do najważniejszych prac należy II Symfonia „*The Age of Anxiety*” (według W.H. Audena), z koncertującym fortepianem. Wśród ostatnich pianistów grających pod jego batutą był Krystian Zimerman – i on też sięga ponownie po dzieło. W koncercie inauguracyjnym Zimermanowi towarzyszyć będzie Orkiestra Filharmonii Narodowej pod dyr. Jacka Kaspszyka (16 i 17 III).

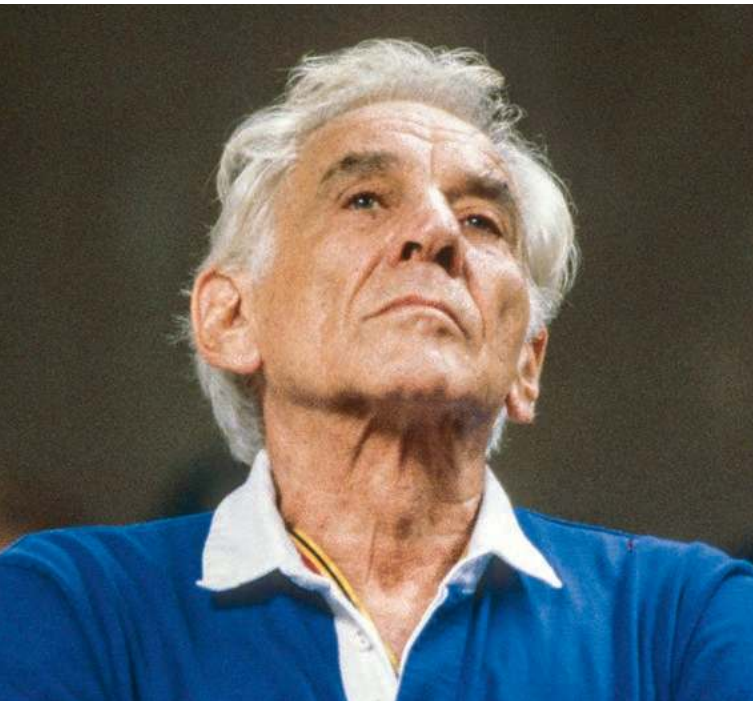
Muzyka Bernsteina będzie obecna także później w trakcie festiwalu – i to w swej

najbardziej znanej odsłonie: usłyszymy „*Tańce symfoniczne*” z „*West Side Story*”. Wykona je Buffalo Philharmonic Orchestra, pod batutą bodaj najsłynniejszej dziś dyrygentki, JoAnn Falletty – jednej z ostatnich uczennic Bernsteina. W tym programie obie rocznice spotkają się, gdyż usłyszymy też „*Adagio*” z III Symfonii Krzysztofa Pendereckiego; reszta koncertu poświęcona będzie muzyce amerykańskiej, tak bliskiej Bernsteinowi (20 III).

Obu jubilatów połączy też koncert, podczas którego Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej – może najlepszy w Polsce – przedstawi zarówno Bernsteina („*poważnego*” („*Chichester Psalms*”), jak i poważnego, religijnego Pendereckiego (szereg kompozycji, m.in. „*Agnus Dei*”, „*De profundis*”, „*Psalm Dawida*”).

Wymownie pożegnamy się z Bernsteinem finałowym koncertem festiwalu: dyrygent wprowadził i ugruntował na świecie pozycję muzyki Mahlera – więc wykonanie wielkiej II Symfonii „*Zmartwychwstanie*” – i to też przez jednego z najwybitniejszych dziś amerykańskich kapelmistrzów, Leonarda Slatkina – będzie gestem znaczącym.

Mahlera zagra katowicka NOSPR, która poniekąd będzie w tym roku orkiestrą festiwalową. Wystąpi już drugiego dnia; gwiazdą będzie tu wielka skrzypaczka Anne-Sophie Mutter – wykonująca Koncert D-dur Beethovena. Mutter zagra także ten sam utwór w Katowicach (19 III), trzykrotnie również wystąpi w recitalu (z Lambertem Orkiszem na fortepianie): w Krakowie (12 III), Wrocławiu (14 III) i Katowicach (15 III). Usłyszymy wielką Partię d-moll Bacha (ze słynną Ciacconą) i pełne młodzieńczej namiętności Scherzo F-A-E Brahmsa; połowę programu wypełni muzyka Pendereckiego: monumentalna II So-



Leonard Bernstein, Francja, 1987 r.



Krzysztof Penderecki, Kraków, 2013 r.

nata, wirtuozowska „*La Follia*”, a także Duo Concertante na skrzypce i kontrabas (Roman Patkołó).

Jubileusz krakowskiego kompozytora uczci też autorskie wykonanie „Polskiego Requiem” (skrótowej wersji jednego z najważniejszych utworów tego twórcy). W ten sam wieczór uczczona będzie również 85. rocznica urodzin nieżyjącego od 2010 r. Henryka Mikołaja Góreckiego – wykonaniem II Symfonii „Kopernikowski” (dyr. Maciej Twarek; 21 III).

Festiwal zakończy „*Stabat Mater*” Dvořáka – najwybitniejszy w jego dorobku utwór religijny, powstały po nagłej śmierci dzieci kompozytora. Gwiazdorską obsadą solistów oraz Chórem i Orkiestrą Filharmonii Narodowej dyrygować będzie jeden z najznakomitszych dziś dyrygentów, Christoph Eschenbach (30 III).

Ty nad poziomy...

Podczas festiwalu będzie można usłyszeć kilkoro młodych pianistów wspieranych przez Stowarzyszenie im. Beethovena (organizatora imprezy): obok Szymona Nehringa (wystąpi z Israel Camerata Jerusalem w II Koncercie Beethovena – z tą samą orkiestrą wygrał Konkurs Rubinstein w Tel Awiwie; 22 III), będzie to pamiętany z ostatniego Konkursu Chopinowskiego Krzysztof Książek (recital 24 III), a także Łukasz Krupiński („Fantazja polska” Paderewskiego z Santander Orchestra – polską młodzieżową orkiestrą występującą pod auspicjami banku Santander i BZ WBK –

pod dyr. Lawrence’a Foster, który za rok obejmie dyrekturę NOSPR). Młoda pianistka skonfrontuje się ze starszą – ale staną obok siebie także dwie szkoły pianistyczne, jako że z recitalem utworów klasycznych wystąpi weteran estrady, Rudolf Buchbinder (19 III).

Wśród wybitnych solistów nie można też pominąć wiolonczelisty Stevena Isserlisa, którego usłyszymy w Koncercie Henriego Dutilleux „*Tout un monde lointain*” (zabrzmią też „*Les Offrandes oubliées*” Messiaena oraz symfonia dla muzyki romantycznej „Symfonia fantastyczna” Berlioz – wyk. Junge Deutsche Philharmonie, dyr. David Afkham; 25 III).

Wątek wielkanocny festiwalu podejmie przede wszystkim koncert kameralny: Kwartet Szymanowskiego wykona „Siedem ostatnich słów Chrystusa na krzyżu” – cykl swego rodzaju sonat, przeznaczonych do kontemplacji znaczenia ostatnich chwil Jezusa. Zbiór został pomyślany jako muzyczny czas na refleksję nad kazaniem – nie zabraknie więc i słowa, w Warszawie recytowanego przez Wojciecha Pszoniaka, w Lublinie, Gdańsku i Szczecinie – przez Sławomira Hollanda.

Inne koncerty kameralne łączyć będą dzieła najbardziej lubiane z nowymi, jeszcze nieznanymi (23 III) – albo wręcz sięgną do kanonu, by przedstawić go w nowej szacie (sonaty i kwartety w wykonaniu poznańskiej Orkiestry Amadeus; 25 III). Do szczególnych wydarzeń festiwalu należy prezentowanie rzadkich oper –

w tym roku będzie to „Kościę nieśmiertelny” Rimskiego-Korsakowa (więcej o tym wątku na dalszych stronach opowiada Dorota Kozińska).

Znak czasów

Od samego początku festiwal łączy współistnienie muzyki ze sztukami plastycznymi. Jego idea wywodzi się przecież z chęci udostępnienia i obudowania odpowiednim wydarzeniem muzycznym tzw. Berlinki, czyli zbiorów Pruskiej Biblioteki Państwowej, które wyrokiem historii po II wojnie światowej znalazły się w Polsce i trafiły do Biblioteki Jagiellońskiej. W latach 90. dopiero zaczynało się o nich mówić i przedstawienie na wystawie części z najważniejszych złożonych tu rękopisów (a jest to m.in. IX Symfonia Beethovena) było wydarzeniem wyjątkowym.

Wystawa w Jagiellonce wciąż towarzyszy festiwalowi, podobnie jak międzynarodowe sympozjum muzykologiczne (którego plon publikowany jest przez festiwal). Szczególną rolę odgrywają też plakaty – artystyczne komentarze do wydarzenia, których autorzy tworzą plejadę polskich znakomitości graficznych (od Rafała Olbińskiego, Stasysa Eidrigevičiusa, Andrzeja Pągowskiego, Wilhelma Sasnała, do tegorocznego Mariusza Tarkawiana). Plakat 22. Festiwalu należy do serii rysunków ptaków, tworzących z właściwym dla Tarkawiana *horror vacui* mozaikę lirycznych, choć drobniawych wizerunków. Obraz obfitości, tak właściwej dla tego festiwalu. ©

Stulecie Bernsteina

LEONARD SLATKIN:

Bernstein był muzykiem kompletnym.

JAKUB PUCHALSKI: Obchodzimy setną rocznicę urodzin Leonarda Bernsteina – a Pan mówił kiedyś, że wszyscy amerykańscy dyrygenci w jakiś sposób z niego właśnie się wywodzą.

LEONARD SLATKIN: Bernstein to pierwszy amerykański dyrygent, który osiągnął światową sławę. Nawet dziś, jeżeli spyta się przeciętnego słuchacza o wskazanie jakiegoś amerykańskiego kapelmistrza, to będzie nim Bernstein. Jako pierwszy też wykorzystał telewizję do zdobywania szerszej publiczności, a jego umiejętność porozumiewania się z młodymi ludźmi była wyjątkowa. Wcześniej nikt tego w takim stopniu nie potrafił.

Ale gdy zaczynał działalność, w Ameryce nie brakowało wielkich, charyzmatycznych dyrygentów. Mitropoulos, Kusewicki, Rodziński – by wymienić tylko tych, którzy mieli bezpośredni wpływ na jego karierę. Czym się od nich różnił?

Przed wszystkim – nie miał obcego akcentu. Zajmował się też szerszym spektrum muzyki, większą liczbą różnorodnych kompozytorów. I z pewnością był jedynym w swoim rodzaju dyrygentem-kompozytorem tamtych czasów.

Czy jego działalność wywarła wpływ na kształt amerykańskiej estrady symfonicznej?

Z pewnością. Regularnie np. grał muzykę amerykańską, taką jak Copland, Schuman i Harris – uczynił ich ważnymi pozycjami repertuarowymi. Ale był biegły w bardzo różnych stylach muzycznych, od Haydna do Xenakisa.

Pewnie kompozytorów wprowadzanych przez niego do repertuaru trzeba by wymienić więcej – Barbera, Ivesa. A co było tak atrakcyjnego w jego własnej muzyce? Da się ją porównać z twórczością wspomnianych autorów?



MATERIAŁY PRASOWE

LEONARD SLATKIN poprowadzi spektakularną II Symfonię „Zmartwychwstanie” Mahlera (a także „Kaddish” z „Dwóch pieśni hebrajskich” Ravela) 29 marca, o godz. 19.30 w Filharmonii Narodowej. Wykonawcami będą Martina Janková (sopran), Bernarda Fink (alt), Chór NFM, Polski Młodzieżowy Chór Narodowy oraz Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia. Urodzony w 1944 r.

W swych kompozycjach był znacznie bardziej eklektyczny od wymienionych twórców. Trudno sobie wyobrazić Ivesa piszącego dla Broadwayu lub nawet Coplanda jako gwiazdę telewizyjną.

Miał też niepodważalne zasługi jako propagator Mahlera. Widzi Pan jakieś związki między Mahlerem a Bernsteinem?

Obaj byli kompozytorami i dyrygentami. Obaj byli długo związani z Filharmonikami Wiedeńskimi i Filharmonikami Nowojorskimi. Obecnie prawie każdy dyryguje Mahlerem, więc jego muzyki nie identyfikuje się już z Bernsteinem tak, jak dawniej. Jednak to Bernstein, bardziej niż ktokolwiek inny, wprowadził te dzieła do świadomości, można więc chyba powiedzieć, że szedł drogą, którą rozpoczął sam Mahler.

dyrygent związany jest z kilkoma ważnymi orkiestrami amerykańskimi i europejskimi. W ostatniej dekadzie szefował znakomitej Detroit Symphony Orchestra, którą z powodzeniem odbudował po krachu przemysłowego miasta, obecny sezon natomiast jest pierwszym, w którym nosi tytuł Directeur Musical Honoraire w Orchestre National de Lyon.

Czy z Mahlerem Bernstein trafił w odpowiedni czas? Dlaczego jego muzyka tak wyjątkowo dobrze odpowiada współczesnej publiczności? Jeszcze 60 lat temu nie było to wcale oczywiste.

Sądzę, że w znacznej mierze wiąże się to z wynalezieniem płyt długogrających. Dopiero one pozwoliły publiczności oswoić się z bardzo długimi i skomplikowanymi dziełami. Mimo że Mahler bywał grywany wcześniej, publiczność potrzebowała długiego czasu, żeby wejść w kontakt z tymi rozbudowanymi utworami.

A kim jest Bernstein dla Pana?

Muzykiem „kompletnym”. Niektórzy narzekają, że znanadto się rozpraszał, zajmując się tak wieloma różnymi rzeczami, ale to właśnie odróżniało go od całej reszty. ©

Teatr na estradzie

DOROTA KOZIŃSKA

W dobie globalnego kryzysu wykonania estradowe mogą się okazać przyszłością opery.

Podczas gdy wielu się zastanawia, jak wskrzesić „umarłą formę operową”, wycisnąć z niej coś pod względem teatralnym i tym oto chytrym sposobem przybliżyć współczesnemu odbiorcy – inni przecierają oczy ze zdumienia. Istnieje bowiem pokązna grupa melomanów, którym ta rzekoma śmierć umknęła. M.in. ludzie, którzy jeżdżą po świecie za ulubionymi śpiewakami i nie przepuszczą żadnej transmisji z Met. Są też słuchacze, którym nawet teatr niepotrzebny: wystarczy parę godzin świętego spokoju we własnym domu.

Miłośnicy wykonania koncertowych plasowali się do niedawna w mniejszości. Uznawali je za zło konieczne. Trudno im było uwierzyć w tragedię Mimi, która konała po przeciwnej stronie podium dyrygenckiego niż jej Rodolfo. Muzycy zrozumieli: zaczęli odkładać nuty, wprowadzać na estradę elementy gestu scenicznego, czasem nawet przebierać się w kostiumy. Kiedy publiczność przestała się dąsać, znawcy opery dostrzegli w takich wykonaniach szansę przedstawienia utworów mniej znanych bądź niesłusznie zapomnianych.

Teraz dzieje się coś dziwnego: rosnąca liczba melomanów porzuca spektakle operowe na rzecz lepiej przygotowanych i często mądrzej „wyreżyserowanych” koncertów. Niektórzy wieszczą, że w dobie globalnego kryzysu wykonania estradowe okażą się przyszłością opery, bo wkrótce już nikogo nie będzie stać na utrzymywanie kosztownych scen i finansowanie kolejnych produkcji.

Nawet jeśli te prognozy okażą się nie trafne, w świadomości organizatorów życia kulturalnego dokonał się przełom. Nie ma już szanującego się festiwalu, w którego programie zabrakłoby koncertowych wykonania opery. Dotyczy to również Festiwalu Beethovenowskiego, który w 1998 r. zdecydował się na oczywistą w tym kontekście prezentację „Fidelii”, a wkrótce potem zaczął się zapuszczać w coraz dal-

sze rejony, odkrywając przed słuchaczami skarby nieczęsto goszczące albo w ogóle nieuwzględniane w repertuarach naszych teatrów.

Polskie wykonawstwo operowe istotnie jest dziurawe jak ser szwajcarski. Grupa zapaleńców, którzy zapragnęli przynajmniej częściowo te luki zapełnić, znalazła orędowniczkę w osobie Elżbiety Pendereckiej, z której pomocą na Festiwalu ruszył cykl „Nieznane opery”. Merytorycznym opiekunem całości został Piotr Kamiński, znawca opery i jej niestrudzony popularyzator – w formie rzetelnej i błyskotliwej, nieobrażającej inteligencji słuchacza. Za batutę chwycił Łukasz Borowicz, jeden z najszerzej myślących dyrygentów młodego pokolenia. Obydwu od początku towarzyszy pianistka Anna Marchwińska, doświadczona korepetytorka śpiewaków. W kolejnych przedsięwzięciach uczestniczyli pieczołowicie doborani soliści i najlepsze polskie zespoły, z Polską Orkiestrą Radiową na czele. Wszystkie wykonania zarejestrowano na płytach CD.

Sformułowanie „Nieznane opery” okazało się na tyle wieloznaczne, że z czasem rozszerzono tytuł o słowa „znanych twórców”. Cykl objął bowiem także arcydzieła, które nie trafiły przedtem na deski polskich teatrów. Na pierwszy ogień, w 2008 r., poszła wówczas „Lodoiska” Cherubiniego, komedia heroiczna z polskimi akcentami, zaprezentowana w wersji oryginalnej po przeszło 200 latach od premiery w Warszawie. Rok później rozbrzmiał „Der Berggeist” Spohra, operowa baśń o karkonoskim duchu znanym w Polsce pod imieniem Liczyrzepy, która zeszła z europejskich afiszy jeszcze w XIX wieku. Potem przychodził kolejno czas na polską premierę „Euryanthe” Webera; na istotnie zapomnianą „Marię Padillę” Donizettiego (we współpracy z Doris Yarik-Cross z Uniwersytetu Yale, opiekunką wokalną także późniejszych ogniw cyklu); wydobyty z niepamięci poemat tragiczny „L'amore dei tre re” Montemezziego; pier-

wotną wersję „Simona Boccanegry” Verdiego; „Ifigenię na Taurydzie” Glucka, jedno z najbardziej przełomowych dzieł w historii opery, które w Polsce wystawiono tylko raz, z inicjatywy Bohdana Wodiczki. Doszły trzy polskie premiery oper angielskich: „The Turn of the Screw” Brittena, „Riders to the Sea” Williamsa i „At the Boar's Head” Holsta (prawykonywanie wersji pełnej); wreszcie wychwalana przez Hanslicka „Djamileh” Bizeta, której żaden teatr operowy nie zainscenizował od stu lat z górą.

W tym roku na Festiwalu zagości kolejny nieobecny w Polsce kompozytor operowy: Rimski-Korsakow. Na koncercie 23 marca zabrzmiały nie tylko suity ze „Śnieżynki” i „Legenda o niewidzialnym grodzie Kitiezu”, ale też jednoaktowa baśń jesienna „Kościej nieśmiertelny” – rosyjska odpowiedź na wątki z Wagnerowskiego „Parsifala”. Jej tytułowy bohater – czarodziej, którego nie da się zabić, bo przemysłnie ukrył swą śmierć – rozpałał wyobraźnię wielu twórców, począwszy od Puszkina, przez braci Strugackich, na prozie Sapkowskiego i amerykańskich komiksach *fantasy* skończywszy. Jeśli rozpalą wyobraźnię warszawskich słuchaczy, w przyszłych latach liczyć na pełne wykonania obydwu oper, z których suity dopełnią program. Poproszę też o „Noc majową” i mam nadzieję dożyć chwili, kiedy ujrzę któreś z tych arcydzieł na polskiej scenie.

A jeśli ktoś nie gustuje w rarytasach albo lubi tylko te piosenki, które zna? Prawie na każdym Festiwalu znajdował coś dla siebie: od „Orfeusza” Monteverdiego aż po „Otellę” Verdiego. W tym roku jest szansa pogodzić szperaczy z tradycjonalistami. Moniuszkowska kantata albo „mała opera” – „Widma” – zabrzmiały w zrekonstruowanej wersji pierwotnej. Widziałam ten utwór w najrozmaitszych inscenizacjach i jestem pewna, że wykonanie koncertowe tylko mu się przysłuży. Umiar w wywoływaniu duchów – także muzycznych – jest zawsze wskazany. ©



ŻYCIE NA WYSPACH

Najważniejszą cechą reportera jest ciekawość.
Małgorzata Szejnert to jej uosobienie.

ADRIAN STACHOWSKI

TYM RAZEM ZACZĘŁO SIĘ OD RODZINNYCH listów. Porządkując je, Małgorzata Szejnert zauważyła, że jednej osoby w nich brakuje. To Ignacy Raczkowski, wuj, o którym wszyscy piszący – a była to rodzina korespondująca na potęgę – jakoś milczą, i to tak zgodnie, jakby losy wuja były wstydliwą tajemnicą. Rak, bo tak go nazywano, był oficerem Wojska Polskiego. Walczył w I wojnie światowej i wojnie polsko-bolszewickiej, za co został odznaczony Orderem Virtuti Militari.

Z listów wynika, że w 1942 r. Rak z żoną Jadwigą, zwaną Dziunią, byli w Wielkiej Brytanii. Co tam robili? Reporterka zaczyna od wojskowych archiwów, ale nie robi tego, co zrobiliby każdy dziennikarz wychowany w dobie komputerów – nie wpisuje nazwiska wuja w internetową wyszukiwarkę. Kiedy to w końcu zrobi, zobaczy na ekranie zdjęcie grobu Raka na jednej ze szkockich wysp. Data na nagrobku: 1943. Reporterka jedzie na miejsce, by sprawdzić, co robili tam polscy wojskowi i czy ktoś ich pamięta.

Pocięte dywany

Tak zaczyna się nowa książka Małgorzaty Szejnert, mistrzyni polskich reporterów. Tematem „Wyspy Węży” są losy oficerów sanacyjnych, internowanych przez rząd Władysława Sikorskiego na położonej u wybrzeży Szkocji wyspie Bute. Miejscowi nazywają ją właśnie Wyspą Węży.

Małgorzata Szejnert podczas uroczystości wręczenia nagród miesięcznika „Odra”, Wrocław, czerwiec 2016 r.

Pierwsi polscy oficerowie pojawili się w Rothesay, największym mieście wyspy, w sierpniu 1940 r. Skierowano tam tych, którzy zdaniem dowództwa byli politycznie niepewni, zbyt krytyczni, zbyt bliscy sanacyjnym elitom, a wreszcie – splamieni klęską wrześniową. Nie było to pierwsze takie miejsce. Jeszcze we Francji podobną funkcję pełnił obóz izolacyjny w Cerizay, przez podobieństwo w brzmieniu nazwy zwany „Nową Berezą”.

Szkoci z Rothesay przyglądają się polskim żołnierzom z zainteresowaniem. Ich internowanie nie jest w żaden sposób niewygodne, mogą robić, co chcą, o ile nie oddalą się za daleko. Sami wybierają kwatery i hotele, w których mieszkają. Dlatego tym bardziej wielu z nich odczuwa to, co ich spotkało, jako plamę na honorze. Ojczyzna krwawi, walczyć trzeba, front wzywa, a oni – grają w karty, chadżają na lekcję języka i na wieczorki, piją, a i owszem, bo co innego? I podpadają właścicielowi jednego z hoteli, bo ostrogami prują dywany. Z czasem nastawienie do Polaków zmieniają też inni mieszkańcy wyspy. Inspektor tamtejszej policji zanotował w 1941 r., że Polacy snują się stadem jak owce, są rozpolitykowani, bardziej niż ojczyznę zajmują się kobietami, a tak w ogóle to nie wiadomo, za czyje pieniądze tak dużo piją.

Obóz zostaje zamknięty po trzech latach funkcjonowania. Przewinęło się przez niego być może nawet 1500 oficerów. Kilku tam zmarło. Jak wuj Ignacy, od którego zaczęło się to dochodzenie, ale akurat o nim Małgorzata Szejnert dowiedziała się chyba najmniej spośród wszystkich internowanych, którzy pojawiają się w tej

książce. Historia znalazła jednak dalszy ciąg: tuż przed premierą „Wyspy Węży”, po emisji wywiadu z autorką, odezwał się do niej krewny. Okazało się, że Ignacy Raczkowski miał brata Czesława, który zginął w Katyniu. Istnieje zdjęcie ich rodzinnego domu w Miegieianach, na Litwie. „Wuj wychodzi z cienia” – czytam w liście od Małgorzaty Szejnert, który dostałem w odpowiedzi na moje pytania.

Historia niczego nie uczy

Kiedy trzy lata temu odwiedziłem Małgorzatę Szejnert w jej domu letniskowym koło Kazimierza, zastałem ją przy porządkowaniu rodzinnych papierów i starych reportaży. Najbardziej zaskakującą rzeczą, którą usłyszałem tego dnia, było, że jedna z najważniejszych polskich reporterek, zwana przez swoich licznych wychowanków „cesarzową reportaży”, zastanawia się nad życiem bez pisania.

Dzisiaj, kiedy „Wyspa Węży” jest już w księgarniach, wiadomo, że odejść od pisania nie pozwoliła rodzinna tajemnica domagająca się reporterskiego śledztwa. Trudnego, prawie nieudanego. „Zwlekałam z książką, a nawet w pewnej chwili zrezygnowałam. Wątek Raczkowskiego był bardzo wąty i zorientowałam się, że nie zbuduję na nim opowieści. Jednak nie porzucałam całkiem książki, czytałam różne opracowania historyczne, wracałam do listów rodzinnych i z czasem doszłam do przekonania, że można zbudować opowieść na paru planach: historycznym (konflikt Sikorski–piłsudczycy), szerszym rodzinnym, wojennego życia wyspy Bute i życia Polaków na niej. Każdy z tych

→ planów był bardzo ciekawy, a ich przeniesienie się bardzo mnie wciągnęło” – czytamy w liście.

Pytam też o znaczenie obozu w Rothesay. „Historia internowania na Bute jest niezwykle ciekawa jako nieistniejący w świadomości społecznej epizod II wojny światowej, mówiący bardzo wiele o zadawaniach podziałach politycznych w Polsce, o zawiści i małostkowości ludzi władzy, o nieumiejętności porozumiewania się w dramatycznych okolicznościach wojny, o wykopywaniu podziałów... To wszystko mamy dziś w Polsce jak na dłoni. Historia, jak powiedział jakiś mędrzec, niczego nie uczy” – czytamy. Rzeczywiście, kilka fragmentów tej książki może równie dobrze funkcjonować jako komentarz do naszej zwaśnionej współczesności. „Żadna strona nie chce słuchać drugiej. Domniemanie niewinności i dobrej woli nie wchodzi w grę. Jest wielkie zapotrzebowanie na cudzą winę – tchórzostwo, krótkowzroczność, pychę, partactwo” – pisze Szejnert o rywalizujących stronnictwach w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

W „Wyspie Węży” to, co historyczne, przeplata się w zaskakujący sposób z tym, co rodzinne. Małgorzata Szejnert szuka na wyspie Bute śladów swojego przodka, zabierając do pomocy swojego syna, Piotra Pietrzaka. Snując narrację historyczną, sporo miejsca poświęca rodzinie, ze wzruszającą czułością rekonstruuje np. losy cioci Dziuni, którą wojna wyrzuciła wraz z wujem Ignacym na Wyspę Węży, i jej brata, Stefana Szejnerta, który w tym samym czasie był w oflagu w bombardowanej Lubece. A przy tym „Wyspa Węży” to we fragmentach reportaż autobiograficzny w sensie ścisłym: autorka włącza do opowieści własne wspomnienia z dzieciństwa w Białej Podlaskiej: „W czerwcu [1942 – AS], kiedy wiceminister spraw wojskowych w dalekiej Anglii potępiał wrogów prawowitego rządu (...), miałam już sześć lat, ciągle mieszkaliśmy w Białej Podlaskiej nad rzeką Krzną i uczyłam się na pamięć laurki”. Laurka była dla dziadka i szła tak: „Niech Polska nasza znów się odrodzi / Niech Orzeł Biały znów nam przewodzi / Synowie Twoi niech wrócą z wojny / I od-tąd więdźmy żywot spokojny”.

Fakt razowy, nie pszeny

Autobiograficzne motywy w „Wyspie Węży” zaskakują tym bardziej, że Małgorzata Szejnert nie należy do tych, którzy lubią mówić o sobie.

Na studiach dziennikarskich w latach 50. marzyła, by zostać dziennikarką sportową. Z czasem porzuciła ten plan. Swoje debiutanckie reportaże pisała o wielkich budowach socjalizmu. Jej pierwszym głośnym tekstem była „Mitra pod kapeluszem”, reportaż o powojennym życiu polskich rodów arystokratycznych.

Tekst, który w 1973 r. opublikowała „Polityka”, wywołał skandal, tym większy, że część tekstu poszła w wydaniu pierwszomajowym. „Rzecz więc nie tylko w tym, że artykuł nasuwa skojarzenia z typowymi dla ilustrowanych magazynów na Zachodzie historiami na temat rodzin królewskich i książęcych. W naszych warunkach próba adaptacji tego specyficznego dla prasy burżuazyjnej gatunku nie ma racji bytu i może przynieść żenujące rezultaty” – recenzowała „Trybuna Ludu”. Krytycznych recenzji było więcej, ale autorka dostała zakaz polemizowania z nimi. Trzyma je do dzisiaj w wielkim segregatorze.

W latach 70. polscy reporterzy wynaleźli sposób pisania o krajowej rzeczywistości, który zyskał miano „małego realizmu”. Metoda polegała na szukaniu tematów w szarej codzienności i na szczegółowym opisie zwykłego życia w PRL. Z jednej strony był to erzac – skoro reporterzy nie mogli pisać o ogóle, uciekali w szczegóły, a z drugiej – sposób na pełnienie swojej roli w trudnych warunkach cenzury i odgórnego sterowania prasą.

„Skąd to zamięłowanie do ustawiania się w kolejce za strawą powszednią, a raczej nie tyle zamięłowanie, ile przeświadczenie, że to jest właściwa platforma widokowa, nie na zawsze, ale na dzisiaj i chyba jeszcze na trochę? Nieraz się zastanawiałam, skąd to się bierze, dlaczego ta kolejka reporterów za faktem raczej razowym niż pszenym tak się wydłuża. Widocznie nas tutaj potrzeba. Zajmujemy miejsce w tym samym ogonku co większość ludzi, dla których piszemy” – pisała we wstępie do swojej drugiej książki, zbioru reportaży pisanych według tych reguł (reportaże z tego okresu zostały wznowione kilka lat temu w tomie „My, właściciele Teksasu”). Jak tekst „Codziennic”, niemalże minutowy zapis dnia pięciorga bohaterów, których znalazła w narzędziowni w fabryce w Ursusie. Tamta narzędziownia jeszcze nie zapowiadała buntu.

Kiedy kilka lat później bunt zaczął się na Wybrzeżu, była w stoczni w Szczecinie. Napisany razem z Tomaszem Zalewskim i wydany w podziemiu reportaż „Szczecin”

to niezwykle i niesłusznie zapomniany zapis tamtych chwil. Po latach reporterka wspominała, że zobaczyła w stoczni rzeczywistość, której istnienia nie podejrzewała – mimo że pisała o Polsce już 20 lat.

Dziennik pracy

Jej najważniejszy temat przyszedł do niej w postaci listu. Dopiero co wróciła z USA, gdzie wyemigrowała w połowie lat 80., nie wierząc w dobry obrót spraw w kraju. Autor listu pisał o warszawskim cmentarzu, który kryje tajemnice. Chodziło o cmentarz na warszawskim Służewie, a tajemnicą były ciała żołnierzy polskiego podziemia zamordowanych w stalinowskich więzieniach. Tak narodziła się książka „Śród żywych duchów”, spisane w formie dziennika dochodzenie reporterskie w sprawie miejsca pochówku polskich bohaterów, przeprowadzone w ostatnich miesiącach istnienia PRL (książkę wydał londyński Aneks w 1990 r., jej polskie wznowienie ukazało się dopiero w 2012 r.).

Czytałem ten list – i 142 inne, głównie do i od członków rodzin zamordowanych, które znajdują się w zbiorach Biblioteki Narodowej, razem z 340-stronicowym dziennikiem pracy nad tym tematem (i materiałami do „Szczecina” oraz „Ślawy i infamii”, wywiadu rzeki z Bohdanem Korzeniewskim). Uderza dyscyplina i szczegółowość tych notatek. Do dziennika autorka własnoręcznie sporządziła indeks nazwisk i umieściła go w osobnym zeszyście. W samych listach od rodzin dojmujące osamotnienie w nieukojonym bólu.

Jest w tych papierach coś jeszcze, czego nie ma w książce. To zapis spotkania z młodymi dziennikarzami sympatyzującymi z Solidarnością, na którym autorka opowiadała o książce, nad którą pracowała. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie przyjmie ona formy fałszywego dziennika prawdziwych zdarzeń. I faktycznie – porównanie oryginalnego dziennika i wersji opublikowanej wydobywa różnice. Wersja w książce jest chronologicznie zaburzona, ale bardziej przejrzysta, zwarta, łatwiejsza w czytaniu. Drobne poprzestawianie dat to „kłamstwo formy”, którego uczyła później młodych reporterów „Gazety Wyborczej” w latach 90. – można nagiąć rzeczywistość w formie, jeśli służy to łatwości przyswajania tekstu. W formie, ale nie w treści.

Dzisiaj wartość „Śród żywych duchów” nie polega na zawartej w tej książce wie-



Bohaterami Małgorzaty Szejnert często są osoby, które ocalają przeszłość dla przyszłości, szukają jej śladów lub chronią ją przed zapomnieniem. Czasami robi to ona sama.

Rothesay na szkockiej wyspie Bute, grudzień 2015 r.

ANDY BUCHANAN / AFP / EAST NEWS

dzy o losie bohaterów podziemia. Po latach wiemy znacznie więcej. Autorce udało się uchwycić coś innego: moment, w którym przychodzi zmiana. Na początku książki reporterka odbija się od ścian, szuka w mroku, na końcu – siada nad listą straconych ujawnioną przez Ministerstwo Sprawiedliwości. A zaczyna się od listu o tajemnicy i relacji więźniów, w których często pojawia się stukot końskich kopyt. To dorożka, którą wywożono ciała.

„Nie lubię mówić, że czuję posłannictwo lub misję. Te wielkie słowa zastępuje mi po prostu ciekawość. A jeżeli jestem ciekawa – myślę dalej – chyba to jest ważne. Mam zaufanie do swojej ciekawości” – powiedziała mi trzy lata temu.

Za ciekawością

Kiedy już można było pisać, co się chce – przestała. Została szefową działu reportażu w „Gazecie Wyborczej”, przejmując go od Hanny Krall. Wśród młodych reporterów słynęła z surowości. Wielu z nich nawet po latach wspomina stres, jaki czuli, stojąc w kolejce do gabinetu Małgorzaty Szejnert ze swoimi tekstami. Jedno z przezwisk, jakie jej wtedy nadali, to „Królowa lodu”...

Do pisania wróciła już na emeryturze, płynnie, zaczynając prawie w miejscu, w którym skończyła. Temat pierwszej książki pisanej po przerwie, „Czarnego ogrodu” (2007), znalazła bowiem jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy jako rzeczniczka prasowa Instytutu Psy-

choneurologicznego – pracowała tam po odejściu z prasy w stanie wojennym – trafiła do Giszowca, robotniczej dzielnicy Katowic. Efektem tej podróży sprzed 20 lat była wielowątkowa historia dzielnicy, rozpisana na kilka przenikających się epopei rodzinnych.

„Dom Żółwia. Zanzibar” (2011), reportaż historyczny o wyspie, narodził się podczas nurkowania u jej wybrzeży. Pomysł na „Wyspę klucz” (2009), książkę o przyjmującej imigrantów do USA wyspie Ellis, narodził się przy szperaniu w internetowym archiwum genealogicznym Ellis Island National Museum of Immigration. Kolejna książka, o Polesiu („Usypać góry”, 2015), zaczęła się od fotografii Louise Arner Boyd, Amerykanki, która w latach 30. opublikowała w „National Geographic” fotoreportaż z podróży po tamtych rejonach.

Krytycy zauważają, że Małgorzatę Szejnert ciągnie do wysp, tych prawdziwych – Zanzibar, Ellis, Bute – i tych metaforycznych, jak Giszowiec czy Polesie. Autorka zachęca do tych interpretacji, mówiąc, że zamkniętą przestrzeń łatwiej jej opisać i znaleźć w niej znaczenie. Ale wyspy, dobierane z rozmysłem czy instynktownie, to tylko scenografia dla opowieści. A one same – czy jest w nich coś wspólnego?

Bohaterami Małgorzaty Szejnert często są osoby, które ocalają przeszłość dla przyszłości, szukają jej śladów lub chronią ją przed zapomnieniem – czasami nawet jest to ona sama, kiedy szuka grobów lub śladów zatopionej Flotyli Pińskiej.

Innym ważnym tematem jej książek jest to, jak historia przeradza się w teraźniejszość, np. jak niewolnicza historia Zanzibaru ukształtowała dzisiejsze oblicze wyspy lub jak miliony imigrantów przyprawiających na Ellis Island zbudowały Stany Zjednoczone.

Trzecim ważnym tematem Szejnert jest właśnie emigracja, która przewija się w jej książkach już od debiutu, „Borowików przy ternpajku”, wydanego na początku lat 70. reportażu o Polakach w USA.

„Wyspa Węży” to książka, w której wszystkie te nici łączą się w jedną opowieść, samą w sobie ważną, ale co najistotniejsze – ciekawą.

Co nie jest tematem

W moim liście zadałem jeszcze kilka innych pytań. Chciałem wiedzieć, co czuje, kiedy natrafia na temat, i jaką rolę w jej ostatnich książkach odgrywa osobista ciekawość – bo mam przeczucie, że to właśnie ona jest w nich najważniejsza. Nie dostałem odpowiedzi. Przypomniało mi się wtedy coś, co odpowiedziała prawie 40 lat temu na podobne pytania: „Reporter nie jest tematem. To nie gwiazda filmowa. To, co myśli poza reportażem – nikogo nie interesuje. Ważne jest to, co pisze”.

© ADRIAN STACHOWSKI

Małgorzata Szejnert, WYSPA WĘŻY, Znak, Kraków 2018

Korzystałem z książki Marka Millera „Reporte-rów sposób na życie” (Warszawa, 1982).



„Śpiewacy norymberscy”, Teatr Wielki w Poznaniu, marzec 2018 r.

Szewc bez kopyta

DOROTA KOZIŃSKA

W operze coraz częściej grasują analfabeci. Ludzie, którzy nie potrafią czytać nie tylko partytur, ale i librett, o kontekstach kulturowych nie wspominając. Tym razem ich ofiarą padł Wagner.

LUKI W REPERTUARACH POLSKICH TEATRÓW operowych bywają doprawdy zdumiewające. W tym sezonie udało się wprowadzić na sceny dwa arcydzieła, których nieobecność wołała o pomstę do nieba: nigdy dotąd niewystawianą u nas operę Debussy'ego „Peleas i Melizanda” oraz „Śpiewaków norymberskich” Wagnera, którzy swoją ostatnią premierę mieli w 1908 r. w Warszawie.

W obydwu przypadkach usłyszeliśmy mniej więcej to, co kompozytorzy zanotowali w partyturach. Niestety, muzyka posłużyła jedynie za ilustrację do całkiem innych historii opowiedzianych przez reżyserów. O ile jednak „Peleasa” w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej można poniekąd uznać za piękną katastrofę, czyli inscenizację chybioną, ale sprawną warsztatowo, o tyle „Śpiewacy” w poznańskim

Teatrze Wielkim okazali się żalonym popisem teatralnej amatorszczyzny: spektaklem nie dość że brzydkim, to jeszcze głupim i skandalicznie niedopracowanym.

Kompozytor zdemaskowany

Aż strach o tym pisać, bo zaczęło się grozić. Dwa tygodnie przed premierą na stronie pewnej stacji telewizyjnej o zasięgu ogólnopolskim ukazał się kuriozalny tekst, w którym wojujący nacjonalizm łączył się harmonijnie z germanofobią i antysemityzmem. Najkrócej rzecz ujmując: autorka zdemaskowała Wagnera jako inspiratora nazizmu, a dyrektora muzycznego Opery Poznańskiej – jako obywatela izraelskiego, pod którego kierownictwem z repertuaru teatru zniknęły „Halka” i „Straszny dwór”. I to w roku stulecia niepodległości.

Udostępniłam link na Facebooku. Większość moich znajomych uznała, że to *fake news* albo niesmaczny żart. Kilka dni później miny nam zrzedły. Zweryfikowaliśmy prawdziwość nazwiska autorki. Powiało czymś jeszcze paskudniejszym niż przy okazji protestów w sprawie „Kłątwy” Frłjcia.

Inna sprawa, że nieobecność „Śpiewaków” w Polsce przez wiele lat wyjaśniano tyleż gorliwie, co bałamutnie. Że była to ulubiona opera Hitlera. Owszem, ale nie ona jedna. Hitler odznaczał się zaskakująco wyrafinowanym gustem muzycznym. W jego fonotece Wagner zajmował pozycję równorzędną z Beethovenem i Brucknerem. Niemal równie wysoko cenił symfonie Czajkowskiego, koncerty Rachmaninowa i operetki Lehára. Czy to wystarczający powód, by zakazać wykonywania Sonaty op. 111 i uznać, że „Wesoła wdówka” pomogła kłaść podwaliny pod ideologię nazistowską?

Padły też argumenty, że muzyka ze „Śpiewaków norymberskich” towarzyszyła proklamacji III Rzeszy w 1933 r., a Leni Riefenstahl zilustrowała pierwsze kadry „Triumfu woli” wstępem do III aktu opery. Tak się jednak składa, że „Śpiewacy” zawsze padali ofiarą powierzchownych interpretacji. Po raz pierwszy wykorzystano ten utwór jako narzędzie propagandy podczas wojny francusko-pruskiej

w latach 1870-71: ogólnie rzecz ujmując, wbrew intencjom kompozytora. W 1924 r. na festiwalu w Bayreuth, u zarania świetności Republiki Weimarskiej, publiczność powstała z miejsc w finałowym monologu Sachs, a gdy zapadła kurtyna, zaintonowała „Deutschlandlied”. Tym, którzy powołują się na przypadek Toscaniniego, który w 1938 r. usunął uwerturę z programu koncertu Filharmonii Palestyńskiej, wypada przypomnieć, że uczynił to z szacunku dla ofiar ustaw norymberskich – sam był zajadłym przeciwnikiem nazizmu, a mimo to podkreślał, że twórczość Wagnera nie wywarła żadnego wpływu na rozwój tej doktryny.

Wystarczy tekst

Nie miejsce tu na drobiazgowo streszczanie libretta. Mogę tylko zapewnić ewentualnych czytelników wymienionego paszkwila, że w „Śpiewakach” nie chodzi o to, że prosty szewc staje się przywódcą ludu i napomina swoje owieczki, by czyliły świętą sztukę niemiecką. Nie wzywa też do przebudzenia narodu i nie opowiada się za polityką manipulowania bezmyślnym tłumem. W ogóle nic tam nie ma o tłumie, zwłaszcza bezmyślnym.

„Śpiewacy norymberscy” to niemal filozoficzna debata o zależnościach między awangardą a tradycjonalizmem, reprezentowanymi odpowiednio przez rycerza Walthera von Stolzinga i pisarza miejskiego Beckmessa.

Spór rozstrzygnie Hans Sachs, rzemieślnik i mistrz Meistergesangu, prowadząc Walthera do wygranej w turnieju śpiewaczym. Żeby „nowe” zatriumfowało, trzeba je wszakże zahartować w tygłu „starego”, w czym pomoże Sachsowi jego czeladnik David, wtajemniczając niewprawnego rycerza w arkana prawdziwej sztuki śpiewu. Nagrodą za zwycięstwo będzie Eva – bardziej alegoria poetyckiego lauru niż kobieta z krwi i kości. Dostanie ją otwierający nowe horyzonty sztuki Walther. Przegra zawistny i przywiązany do sztywnych schematów Beckmesser. Ustąpi mądry i wielkoduszny Sachs, chyląc czoło przed artystą młodszego pokolenia.

Tylko tyle i aż tyle. Dodajmy, że Wagner umieścił akcję opery w XVI-wiecznej Norymberdze, rodzinnym mieście prawdziwego Sachs, który spędził w nim całe życie. Rzecz jasna, to Norymberga „wyobrażona”, przefiltrowana przez XIX-wieczną wrażliwość kompozytora – miasto-symbole, miasto-idea, którego nie należy przed-

stawiać na scenie z pietyzmem konserwatora dzieła sztuki. Miarą dobrej inscenizacji „Śpiewaków” jest wiarygodność teatralnej sugestii Norymbergi. Potem wystarczy się trzymać tekstu. Od razu zaznaczę, że nie mam na myśli libretta.

Z czym kojarzy się Norymberga?

Odnoszę wrażenie, że reżyser poznańskiego przedstawienia Michael Sturm zaczął od przetrząśnięcia zasobów sieci – żeby sprawdzić, z czym powinna mu się kojarzyć Norymberga. Wyszło mu, że z Dürerem i z Goethem, którego fascynowała postać Sachs. Z rycin tego pierwszego zaczerpnął symbolikę. Przynajmniej tak mu się wydawało, bo postać z „Melancholii” to nie anioł, tylko skrzydlaty geniusz, a siedzący przy nim *putto* nie uosabia miłości, tylko gramatykę. Dodajmy, że smętny anioł, obleśny Kupidyń, włochaty Satyr i mnóstwo innych postaci, zaczerpniętych nie tylko z Dürera, ale też z filmów Bergmana, Felliniego i – *last but not least* – Lucasa, pałęta się po scenie bez ładu i składu, nic nie wnosząc do akcji, a najczęściej ją zaburzając.

Główne postaci opery Sturm odczytał z kolei przez pryzmat „Fausta”: Eva jest kimś w rodzaju Małgorzatki, Beckmesser przeistoczył się w Mefistę, Sachs (szewc amator, dysponujący jedynie łaciarką do naprawy butów) został Faustem, a rycerz Walther – w krótkich spodenkach i pacholejczy koszułynie – ofiarą knońców obydwu.

David jest chyba z innej podstawówki i wygląda, jakby chodził kilka klas niżej. Jego ukochana Magdalena jest zakonnicą, a w końcówce II aktu, kiedy mieszczanie, zamiast się bić, padają na zarazę – pojawia się nawet papież. Scena turnieju rozgrywa się w śnieżnej bieli – zmanipulowany naród dzierżący w dłoniach białe baloniki dziarsko maszeruje w szeregach, otrzeźwiały Sachs próbuje ów naród powstrzymać. Przynajmniej w finale Sturm spełnił oczekiwania autorki prawicowego portalu i zdemaskował wagnerowsko-nazistowski spisek.

Żarty się mnie trzymają, a przecież chce mi się płakać. Pół życia czekałam na tych „Śpiewaków”. Dostałam zlepek bezmyślnych zapożyczeń z inscenizacji Achima Freyera i Petera Konwitschny’ego, podparty rzekomą erudycją, na którą złapią się chyba tylko milenialsi. W operze coraz częściej grasują analfabeci. Ludzie, którzy nie potrafią czytać nie tylko partytur,

ale i librett, o kontekstach kulturowych nie wspominając. Proszę sobie wyobrazić, że w Państwa ręce trafia nowy przekład „Moby Dicka”, w którym białe wieloryby okazują się czerwoną krewetką, a statek „Pequod” – skuterem śnieżnym. Prawda, że boli? W takim razie dlaczego pozwalamy robić taką krzywdę operze?

Ktoś mógłby zaprotestować. Np. kierownik muzyczny spektaklu. Gabriel Chmura włożył mnóstwo pracy w przygotowanie orkiestry, która grała może nie porywająco, ale poprawnie, chwilami nawet subtelnie. Chór zaczął fatalnie, ale w III akcie śpiewał już bez zarzutu. Soliści musieli radzić sobie sami.

To już kolejne poznańskie przedstawienie, w którym dyrygent nie zaprzęta sobie głowy stroną wokalną przedsięwzięcia. Znakomicie wypadł Frank van Hove, który w Sachs wcielił się nieraz na scenach niemieckich. W partii Walthera zawiodł doświadczony przecież Christian Voigt – chwilami ledwie słyszalny, chwilami niepewny intonacyjnie. Piotr Friebe jako David nie trafił bodaj w żadną nutę zapisaną w partyturze. Norweski baryton Bjørn Waag okazał się Beckmesserem solidnym, ale nic ponadto. Świetna skądinąd Monika Mych-Nowicka dysponuje głosem nieodpowiednim do partii Ewy – zbyt chłodnym, chwilami za mało mięsistym, sposobnym raczej do cięższych partii sopranowych w „Pierścieniu Nibelunga”.

Gdzie te czasy, kiedy śpiewaków ob-sadzano w poszczególnych rolach, mając na względzie nie tylko tessyturę, ale też barwę głosu i specyficzne cechy osobowości? Dlaczego wokaliści muszą być bezwolnymi marionetkami w rękach reżyserów realizujących swoje wizje wbrew wszelkiej logice narracji muzycznej?

W 1956 r. Wieland Wagner przygotował pierwszą powojenną inscenizację „Śpiewaków” w Bayreuth. Całkowicie abstrakcyjną, żeby uniknąć bolesnych skojarzeń z Norymbergą, miastem ustaw rasowych i procesów następczych. Kontrowersyjną produkcję ochrzczono wówczas mianem „Die Meistersinger ohne Nürnberg”. Cóż, może to byli „Śpiewacy bez Norymbergi”, ale przynajmniej z sensem. ©

Richard Wagner, **ŚPIEWACY NORIMBERSCY**, kier. muzyczne Gabriel Chmura, reż. Michael Sturm, Teatr Wielki im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu, premiera 4 marca 2018 r.

Kolor Ameryki

JAKUB MAJMUREK

Nowa fala czarnego kina nie angażuje się w przemocowo-rewolucyjne obrazy. Jest rewolucją innego rodzaju: zmienia parametry tego, co w kwestii rasy jest w Stanach widzialne.

WBREW PRZEWIDYWANIOM BUKMACHERÓW Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny odebrał nie Martin McDonagh („Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”), lecz Jordan Peele – pierwszy Afroamerykanin nagrodzony w tej kategorii. Jego film „Uciekaj!”, zrealizowany w konwencji groteskowego horroru, to ważny głos w niekończącej się debacie o podziałach rasowych oraz ich roli w amerykańskiej rzeczywistości.

Dyskusja ta przybiera w ostatnich kilku latach na sile. Zintensyfikowała ją historyczna prezydentura Baracka Obamy, otwarcie rasistowski język altprawicy, postawa obecnego prezydenta, Donalda Trumpa, mniej lub bardziej aluzyjnie odwołującego się do takiej retoryki. Katalizatorem jest także działalność ruchu Black Lives Matter – aktywistycznej platformy skupiającej afroamerykańską społeczność w walce przeciw systemowemu rasizmowi i policyjnej przemocy wymierzonej w czarnych.

Ruch BLM zaczął się od hashtaga gromadzącego informacje o protestach przeciw uniewinnieniu białego członka „straży sąsiedzkiej”, który w 2013 r. na Florydzie zastrzelił nieuzbrojonego czarnego nastolatka. Widoczność zyskał rok później, w trakcie protestów w Missouri, gdzie biały policjant zastrzelił czarnego chłopaka. W Missouri rozgrywa się też akcja „Trzech billboardów”, w których tytułowe miasteczko rozdarte jest przez rasowe napięcia: grany przez Sama Rockwella biały policjant miał torturować zatrzymanego na posterunku czarnego.

Paradoks ciała

W kinie i w telewizji odbijają się więc społeczne napięcia ostatnich pięciu lat. Szereg produkcji stawia razem z ruchem BLM pytanie o rasę w Ameryce XXI wieku. Podstawowy komunikat BLM brzmi: „mimo czarnego prezydenta, akcji afirmatywnej,

przekonania, że amerykańskie społeczeństwo poradziło sobie z problemem rasy, to czarni padają ofiarami brutalności policji, zaludniają amerykańskie więzienia, zajmują najniższe pozycje w hierarchii społecznej”. Przesłanie to miało mobilizować Afroamerykanów do walki o swoje prawa, ale było także skierowane jako wyrzut pod adresem białej, liberalnej Ameryki.

Również Peele w „Uciekaj!” bierze na warsztat postawy białych liberałów. Główny bohater, czarny fotograf Chris Washington, spotyka się z dziewczyną z białej wyższej klasy średniej, Rose Armitage. Jedzie z nią w odwiedziny do wiejskiego domu jej rodziców. Państwo Armitage są postępowi, uwielbiają Obamę, z pewnością w życiu nie zagłosowałiby na Trumpa. Wydają się zachwyceni nowym chłopakiem córki.

Mimo tego Chris od początku czuje się fatalnie w ich uprzywilejowanym, zamożnym świecie. Instynkt podpowiada mu, że coś tu jest nie tak, a za uśmiechami i miłymi gestami jego gospodarzy kryje się zagrożenie. Z drugiej strony zbywa te obawy jako wyraz rasowo umotywowanej paranoi. Jak to często w amerykańskich kinie bywa, paranoja okazuje się mieć rację. Rodzice Rose prowadzą bowiem specyficzny biznes, pozwalający przenosić... świadomość starszych, schorowanych białych do młodych, czarnych ciał.

Metafora z filmu Peele pracuje na wielu poziomach. „Uciekaj!” oskarża z jednej strony białą postępową klasę średnią o hipokryzję, płytkość jej deklaracji o tolerancji i otwartości. Czarny, jako czarny, nie ma w filmie Peele’a wstępu do świata białego przywileju, może w nim zaistnieć wyłącznie jako cielesny wehikuł na białą świadomość.

Rewelacyjna jest scena, w trakcie której goście państwa Armitage licytują prawo do przeniesienia się w ciało Chrisa. W oczywisty sposób przypomina ona targ



niewolników. Jednocześnie dla uczestniczących w niej zamożnych białych czarne ciało jest nie tylko obiektem przemocy i zawłaszczenia, ale i dziwnej, quasi-erotycznej fascynacji. Biali pragną czarnych ciał, gdyż postrzegają je jako zdrowsze i silniejsze – sami pragną stać się czarnymi. Peele dotyka tu pewnego kompleksu rasistowskich wyobrażeń, który często umyka nam, gdy myślimy o rasie i rasizmie. Ten bowiem koduje czarne ciało jako jednocześnie „gorsze” (bardziej impulsywne, zwierzęce, mniej inteligentne) i „lepsze” (silniejsze, bardziej witalne, męskie) niż białe.

Od takiego kodowania czarnego ciała próbował uciekać „Moonlight” (2016) – zeszłoroczny zwycięzca oscarowej gali. Reżyser postawił w centrum ciała wrażliwego, słabego, homoseksualnego czarnego nastolatka. Nawet gdy zmuszony okolicznościami bohater obudowuje je pancerzem mięśni i gangsterskiej kultury, w środku ciągle pozostaje ta sama emocjonalna wrażliwość, podatność na zranienie, pragnienie bliskości, intymności i dotyku.

Złożone tożsamości

Nowa fala „czarnego kina” w ogóle problematyzuje „czarne tożsamości”, pokazuje, że nie ma jednej, która grupowałaby



MARVEL STUDIO

Dora Milaje w filmie „Czarna Pantera”

wszystkie czarne doświadczenia – choć wielu czarnoskórych doświadcza przemocy policji, systemowej dyskryminacji, barier w społecznym awansie.

Zróznicowanie postaw ciekawie pokazywał film (przerobiony następnie na serial dla Netfliksa) „Drodzy biali ludzie” (2014) Justina Simiena, rozgrywający się w realiach kampusu. Tytuł filmu jest jednocześnie tytułem audycji nadawanej w studenckim radiu przez pełną gniewu Samanthę White. Podobnie jak Peele w „Uciekaj”, Samantha kieruje ostrze satyry i pełnej pasji politycznej retoryki przeciw białym liberałom, przekonanym o tym, że w kwestii rasy nie można im niczego zarzucić.

W zabawny, a przy tym daleki od łatwej karykatury sposób portretuje napięcia, jakie wokół problemu rasy narastały w ostatnich latach na amerykańskich uczelniach. Bohaterowie filmu i serialu dyskutują o kursach zdominowanych przez dzieła „martwych białych mężczyzn”, przywłaszczaniu czarnej kultury przez białych, na rasistowskich kostiumowych przyjęciach w bractwach studenckich itd.

Radykalizm Samanthy i jej zwolenników nie jest przy tym jedyną postawą czarnych studentów. Część z nich traktuje Sa-

manthę jak wariatkę, jest bowiem przekonana, że w Ameryce drugiej dekady XXI w. nie ma miejsca na radykalną, czarną politykę. Koledzy Samanthy chcą skorzystać ze studiów na prestiżowej uczelni, by budować swoją pozycję w górnych warstwach amerykańskiej klasy średniej. Nawet jeśli będzie to musiało oznaczać zaciśnięcie zębów i cierpienie iluś mniej lub bardziej rasistowskich „mikroagresji”.

Ona sama, mimo całego swojego aktywizmu, prywatnie przyznaje, że od Spike’a Lee woli Ingmara Bergmana. Ma też białego ojca i chłopaka – co ukrywa przed swoimi najbardziej zaangażowanymi politycznie, czarnoskórymi przyjaciółmi.

Różnice statusu, klasy i strategii życiowych wśród czarnych Amerykanów to także temat nowej produkcji Veeny Sud (autorki „Dochodzenia”), „7 sekund”. Serial dostępny na Netfiksie jest zainspirowany przez znakomity rosyjski film Jurija Bykowa „Major”. W obu produkcjach policjant potraça na drodze dziecko i przy pomocy kolegów próbuje ukryć swoją winę.

W amerykańskim serialu intryga włożona zostaje w kontekst rasowy. Policjanci są biali, dziecko czarne. „Po Black Lives Matter ukrzyżują cię za to” – mówi przełożony sprawcy wypadku. Podobnie jak w „Dochodzeniu”, Sud komplikuje na-

sze pierwsze intuicje na temat bohaterów i świata przedstawionego. Stopniowo podważa obraz rasowych stosunków w Jersey City, jaki wyrobiliśmy sobie w pierwszym odcinku.

Policjanci przerażeni BLM jednocześnie chronią rządzący okolicą czarny gang, całą policijną brutalność kierując wobec jego konkurencji. Za ich przemocą stoi nie tylko rasizm, ale także brudne pieniądze z narkobiznesu.

Sprawę potrąconego chłopaka prowadzi czarna prokurator, KJ. W prokuraturze przydzielane są jej najmniej spektakularne sprawy, na ogół pakuje do więzienia czarnych nastolatków za drobne przestępstwa. Sama jednak okazuje się mieć z nimi mniej wspólnego, niż z początku sądzimy – pochodzi z uprzywilejowanej, zamożnej czarnej rodziny, z najlepszej dzielnicy miasta. Nawet jeśli jej kariera stoi chwilowo w miejscu, to rodzinne koneksje i kapitał wyznaczają jej biografii zupełnie inne trajektorie niż początkującym czarnym gangsterom.

Prokuratura interesuje się sprawą ofiary wypadku głównie dlatego, że jej rodzina – choć niezamożna – chodzi do kościoła i aktywnie bierze udział w życiu parafii. Wyrok zaspokajający poczucie sprawiedliwości czarnych z tej grupy ➔

→ świetnie będzie wyglądać w kolejnej kampanii wyborczej szefa KJ. Inaczej wyglądałoby to, gdyby potrącony chłopak pochodził z nieaktywnej społecznie rodziny na zasilku.

Komiksowy afrofuturyzm

Nowa fala czarnego kina wybiera jednak nie tylko realistyczne, głęboko społecznie osadzone narracje. Przykładem może być wielki hit tego roku, „Czarna Pantera” – kolejny *blockbuster* osadzony w kinowo-komiksowym uniwersum Marvela.

Akcja toczy się w pewnym fikcyjnym afrykańskim państwie – Wakandzie. Wakanda uchodzi za najbiedniejszy kraj na świecie, zamieszany głównie przez pasterzy. Za tą fasadą kryje się jednak rdzennie afrykańska, hipernowoczesna cywilizacja, wyprzedzająca Zachód. Wszystko za sprawą meteorytu, który uderzył w terytorium Wakandy u zarania dziejów, zostawiając potężne złoża wibranium – najtwardszego metalu na świecie, będącego jednocześnie źródłem energii. Surowiec umożliwił technologiczną rewolucję.

Główny bohater, T'challa, jest dziedzicem tronu Wakandy. Jako król nosi przy tym kostium komiksowego superbohatera – tytułowej czarnej pantery. Wykonany z wibranium, daje mu odporność na ciosy i pozwala walczyć z wszelkimi zagrożającymi jego ludowi niebezpieczeństwami.

„Czarna Pantera” odwołuje się do afrofuturizmu – nurtu afroamerykańskiej kultury, który łączy sprawę czarnej diaspory z utopijną, fantastyczną wyobraźnią. Twórca pojęcia, Mark Dery, pisał w esej „*Black to the Future*” (1993), że czarnym – po tym, jak zostali pozbawieni historii przez kolonizację i niewolnictwo – grozi także wymazanie z przyszłości. Dlatego czarna społeczność musi aktywnie zaangażować się w tworzenie utopijnych, przyszłościowych wizji, gdzie czarni znajdują wreszcie sprawiedliwość – choćby w odległych galaktykach.

Filmowa Wakanda to marzenie o ukrytej w teraźniejszości czarnej nowoczesności. O tym, czym mogłaby być Afryka, gdyby oszczędzona jej została kolonizacja i poprzedzający ją handel niewolnikami. Afrofuturyzm filmu przybiera przy tym dość konserwatywne ramy. Fantastyczne technologie nie zmieniają społecznej struktury Wakandy – państwo jest plemienną monarchią, gdzie władzę

z urzędu można usunąć tylko wygrywając z nim rytualny pojedynek w walce wręcz.

Główny konflikt w filmie toczy się między T'Challą a rzucającym wyzwanie jego władzy Killmongerem. Ten ostatni pragnie użyć zasobów Wakandy, by wznieść światową rewolucję czarnych przeciw białym. Chce uzbroić afrykańskie państwa i getta amerykańskich miast. Killmonger przegrywa, T'Challa wyciąga jednak wnioski z tej konfrontacji. Otwiera Wakandę na świat, chce podzielić się jej zasobami, pomóc czarnym i innym ucieszonim przez edukację, wymianę kulturalną itd.

Pękające sufity

Ostatecznie przekaz „Czarnej Pantery” utrzymany jest w klimacie reformistycznym. Zamiast globalnej, zbrojnej konfrontacji ze strukturami opresji T'Challa proponuje program cierpliwego naprawiania niesprawiedliwości przez działania w granicach prawa. „Czarna Pantera” stoi na przeciwnym biegunie do „Django” (2012) Quentina Tarantino, gdzie zbudowana na pracy czarnych niewolników plantacja Calvina Candiego została w finale puszczona z dymem – co reżyser przedstawił jako akt sprawiedliwej, przynoszącej oczyszczenie i wyzwolenie zemsty.

Nowa fala czarnego kina nie angażuje się w takie przemocowo-rewolucyjne obrazy. Choć sama w sobie stanowi rewolucję, zmieniającą parametry tego, co w kwestii rasy jest widzialne w Stanach. Triumf „Moonlight”, „Uciekaj!” czy niezwykle kasowy sukces „Czarnej Pantery” – produkcja okazała się największym finansowym osiągnięciem Marvela – zmienia relacje w branży, zachęca producentów do inwestowania w tworzone przez Afroamerykanów i opowiadające ich historie dzieła.

Pękają w ten sposób szklane sufity. Zmarginalizowane do tej pory narracje i tożsamości przesuwają się bliżej głównego nurtu amerykańskiej kultury. Przemieszczają go zarazem tam, gdzie bije serce prawdziwej Ameryki – w XXI w. na pewno nie będzie ona wspólnotą (jeśli kiedykolwiek nią była), która mogłaby myśleć o sobie wyłącznie jako o białym narodzie o europejskich korzeniach. Wbrew obecnemu prezydentowi od tej zmiany własnej tożsamości Ameryka nie odgrodzi się już żadnym murem.

© JAKUB MAJMUREK

Konstelacje bliskości

ANITA PIOTROWSKA

Kantemir Bałagow pyta o miejsce dla indywidualizmu w świecie opartym na silnych więzach rodzinnych i plemiennych, a jednocześnie opowiada o stworzonych przez nie pułapkach.

WOBEC „NIEMİŁOŚCI” ANDRIEJA ZWIA-gincewa ten film sytuuje się na antypodach. Nie tylko dlatego, że rzecz dzieje się bardzo daleko od Moskwy, w rzadko odwiedzanej przez filmowców Republice Kabardyno-Bałkarii. Debiutujący w pełnym metrażu Bałagow opowiada o międzyludzkiej bliskości we wszystkich jej wymiarach: rodzinnej i wspólnotowej, erotycznej i etnicznej.

Aż nie chce się wierzyć, że reżyser miał zaledwie 26 lat podczas kręcenia tego filmu, nagrodzonego w zeszłym roku przez krytykę na festiwalu w Cannes. Urodzony w Nalczyku i wyedukowany przez samego Aleksandra Sokurowa, który kilka lat temu w kaukaskiej stolicy próbował rozkręcić szkołę filmową, twórca „Bliskości” osadził swoją historię w rodzinnym mieście. Inspirując się zdarzeniami zapamiętanymi z dzieciństwa, przeniósł się w czasie do 1998 r., kiedy to Północny Kaukaz znajdował się pomiędzy jedną a drugą wojną czeczeńską. Niewyraźne echa tych waśni docierają do bohaterów jakby mimochodem – w jednej ze scen kabardyjska młodzież ogląda „dla rozrywki” drastyczne wideo z egzekucji rosyjskich żołnierzy. Brutalność jest wpisana w codzienność głównej bohaterki i jej rówieśników. Na początku filmu brat Ilany i jego narzeczona zostaną uprowadzeni przez nieznaną sprawców.

Żeby zwiększyć temperaturę pod etniczno-religijnym kotłem, Bałagow zwrócił obiektyw na społeczność kaukaskich Żydów. Oczywiście w Nalczyku znacznie łatwiej usłyszeć głos muezina niż dźwięk szofaru, tym bardziej więc rodzina Ilany

WARTO ZOBACZYĆ W TV [17 – 23 III]



NOWE HORYZONTY

Kadr z filmu „Bliskość”

może liczyć w kryzysowych chwilach jedynie na własną wspólnotę. Widzimy, jak miejscowy rabin natychmiast organizuje zrzutkę na okup dla porywaczy, choć znajdują się i tacy, którzy próbują wykorzystać rodzinną tragedię, by przejąć zakład należący do ojca Ilany. Oliwy do ognia dodaje fakt, że dziewczyna spotyka się potajemnie z Kabardyjczykiem. Młody reżyser gdzie indziej jednak umieszcza węzłowe dla filmu konflikty. „Bliskość” stawia pytania o miejsce dla indywidualizmu w świecie opartym na silnych więzach rodzinnych i plemiennych, a jednocześnie opowiada o pułapkach egoistycznie rozumianej bliskości.

Żeby jeszcze bardziej skomplikować te wszystkie zależności, Bałagow umieszcza graną przez Darię Żownier główną bohaterkę w rozmaitych konstelacjach emocjonalnych. Trudno zresztą wyobrazić sobie dziewczynę bardziej niepasującą do tradycyjnej obyczajowości Kaukazu. Ilana jest chłopczycą, która lepiej niż w kuchni czuje się w warsztacie samochodowym, ma palce wiecznie ubrudzone smarem, a w sukience wygląda jak przebrana. Swoją buńczuczną naturą wyłamuje się z przypisanych jej ról, przez co na każdym kroku przynosi wstyd rodzinie. Z czasem domyślamy się, że gwałtowne i prowokacyjne zachowanie dziewczyny jest w dużej mierze odpowiedzią na niesprawiedliwą miłość, jaką matka obdarza dwójkę swoich dzieci – tutaj zdecydowanie lepiej być synem niż córką. Przychodzi moment, gdy rodzice, żeby ratować porwanego jedynaka, są gotowi „przehandlować” Ilanę.

Tytuł filmu wskazuje na więź łączącą bohaterkę z matką, ojcem, bratem, z kabardyjskim chłopakiem, lecz szybko okazuje się, że ta bliskość nie tylko zbliża, ale także przydusza (tytuł oryginalny oznacza: „ciasnotę”, „ścisk”). Łączy się z chęcią posiadania, z potrzebą kontroli, ze spełnianiem własnych wyobrażeń na temat drugiej osoby. Wolność, która zrazu wydaje się ucieczką od tak rozumianej bliskości, przychodzi jednak dopiero wtedy, gdy Ilana samodzielnie przejmuje odpowiedzialność za bliskich. Bałagow robi wszystko, byśmy na własnej skórze tę bliskość odczuli: pracuje na zbliżeniach twarzy, zamyka bohaterów w ciasnych kadrach, skupia się na ich wzajemnym dotyku. Wreszcie – rozszerza to pojęcie do wymiaru plemiennej przynależności. Ilana nosi dzinsową kurtkę z Lwem Judy na plecach. W należących do bohaterów samochodach dyndają symbole religijne. Wspólnota, która definiuje się głównie przez opozycję wobec innej wspólnoty, daje siłę, ale i ogranicza. Sprawia, że robi się ciasno, coraz ciaśniej.

Zrobiony za niewielkie pieniądze, mówiony po rosyjsku i kabardyjsku film Bałagowa stara się wyprowadzać przemoc poza kadr. Równocześnie potrafi ją dostrzec nie tylko w oczywistych antagonyzmach, ale również tam, gdzie żyje się razem, mówi tym samym językiem i wyznaje tego samego Boga. ©

BLISKOŚĆ (Tesnota) – reż. Kantemir Bałagow. Prod. Rosja 2017.
Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty.

1. Baby Driver



Thriller, reż. Edgar Wright, USA/Wielka Brytania 2017, HBO, 18 III, 20.10, 21 III, 20.10

Trzy nominacje do Oscara w kategoriach technicznych nie są przypadkowe – energia kinetyczna najnowszego filmu Wrighta wręcz rozsądza ekran. Opowieść o młodym mistrzu kierownicy, który zostaje zmuszony do wzięcia udziału w ryzykownym napadzie, to brawurowe połączenie kina akcji z musicaliem.

2. Jane



Dokumentalny, reż. Brett Morgen, USA 2017, National Geographic, 18 III, 21.00

Ponad sto godzin niewykorzystanych dotychczas materiałów przejrzał reżyser, by stworzyć fascynujący portret Jane Goodall, brytyjskiej badaczki życia szympanсів. Poznajemy ją z nieznanego dotąd strony – jako kobietę próbującą łączyć wielką pasję z życiem osobistym. Muzykę skomponował Philip Glass.

3. Kruk



Serial, reż. Maciej Pieprzyc, Polska 2018, Canal+, odc. 1, 18 III, 21.30

„Szepty słysząc po zmroku” – to podtytuł nowego polskiego serialu, który wyreżyserował twórca filmu „Jestem mordercą”. W scenerii Podlasia rozgrywa się kryminalna intryga związana z porwaniem chłopca, a wraz z nią mroczna historia z przeszłości prowadzącego sprawę inspektora. W roli głównej Michał Żurawski, obok niego m.in. Cezary Łukasiewicz, Anna Nehrebecka i Jerzy Schejbal.

4. The Defiant Ones



Miniserial dokumentalny, reż. Allen Hughes, USA 2017, Netflix, od 23 III

Eminem, Bono, Bruce Springsteen, Patti Smith – to tylko niektórzy spośród komentujących narodziny kulturowego fenomenu, jakim stała się muzyka hiphopowa. W centrum zainteresowania twórców serialu znajdują się jednak dwa inne nazwiska: Jimmy'ego Iovine'a i Dr. Dre, których wieloletnia przyjaźń i współpraca przy produkcji nagrań przyczyniły się do „eksplozji” rapu.

JAN

Klata: ...I kamieni kupa



UWAŻAM, ŻE NACZELNIK MA RACJĘ: JESTEŚMY coraz bliżej prawdy. Ja np. blisko prawdy o stanie państwa polskiego byłem w nocy z 10 na 11 marca – usiłując się położyć. W budynku naprzeciwko trwała impreza hiszpańskich studentów. Próba negocjacji z rozochocnymi żakami nic nie dała, z powodów głuchego domofonu i wyraźnych różnic kulturowych, więc trzeba było dzwonić po specjalistów – funkcjonariuszy aparatu państwa powołanych do zaprowadzenia porządku w wypadku jego uporczywego, a sprzecznego z prawem i społecznymi normami naruszania.

Już widzę oczyma duszy, jak Państwo czytają powyższe zdanie i wybuchają serdecznym śmiechem. Tak, mają Państwo rację: polscy stróż porządku strzegą spokoju, ale swojego, zwłaszcza świeżo po miesięcznicy. Straż miejska stołecznego miasta Warszawy najpierw stara się nie odbierać telefonu alarmowego, aby następnie, po serii kilkunastu zniechęcających pytań zakomunikować, że jeżeli naruszenie ciszy nocnej następuje wewnątrz budynku, to oni nie mogą przeprowadzić interwencji.

Policja po serii kilkunastu zniechęcających pytań zadaje ostateczny sztych: a czy tam jest domofon? Bo jeśli jest, to patrol policji nic nie może zrobić, jak domofon nie będzie chciał wpuścić.

Spoko, czujemy się ukojeni faktem, że policja ma jeszcze większe problemy od nas. Usiłujemy zasnąć, ale zasnąć się nie da, więc zdesperowany powtarzam operację ze strażą miejską (nie odbiera) oraz pogotowiem policji (nie odbiera). Wiem, naiwny jestem, przecież z mojego numeru już nie odbiorą, nawet jeśli zastukałby do mnie Kuba Rozpruwacz. Pożyczam telefon od żony, dodzwaniam się i słyszę ten sam „przekaz dnia”. W odpowiedzi sugeruję większą aktywność aparatu przemocy, w rezultacie słysząc pytanie o imię i nazwisko. Ujawniam personaalia, jednocześnie oznajmiając, że nagrywam naszą konwersację (blef, nigdy nic nie nagrywam). Jest godzina 4.30, straż miejska oznajmia, że przekazuje sprawę policji, policja obiecuje interwencję, więc liczę na to, że w największej operacji od czasu miesięcznicy oddziały policji podejmą heroiczną akcję sforsowania domofonu. Funkcjonariuszy ani widu, ani słyhu. Ok. 5.44 Hiszpanie mają dość, samoczynnie udają się w objęcia Morfeusza.

Brawo Rzeczpospolita. Policja w polskich mundurach bije i lży kobiety na manifestacjach, wywleka w kajdankach Władysława Frasyniuka, co miesiąc prawem kaduka wyłącza z użytku stolicę, dojmująco pokazuje swoje bohaterstwo na komisariatach, ale funkcjonariusze państwa polskiego są ośmieszani w konfrontacji z domofonem. Państwo polskie A.D. 2018 praktycznie i zdecydowanie funkcjonuje tylko dla wybranych, prawych i sprawiedliwych. Istnieje teoretycznie, wtedy, kiedy nic od niego nie chcemy. Oczywiście zawsze może być gorzej, może nas np. stuknąć lub przejechać BOR, czyli SOP. ©

Lektor: Widziane z uniwersytetu



■ Stanisław Grodziski
**ZA TRZECIM RAZEM.
ZAPISKI UNIWERSYTECKIE
Z LAT 1968, 1981 I 1989**
Wyd. Karolina Grodziska,
Kraków 2017, ss. 240.

„O TYM, ŻE SPISUJĘ WRAŻENIA tych dni, nie mówiłem nikomu – notował autor 27 grudnia 1981. – Wiele spośród moich informacji ma charakter ogólnikowy, bo są to wieści *ex auditu*. Wiele luk. Jednak powstaje z tego spory rękopis. Może go ktoś kiedyś nazwie: Pamiętnik znaleziony w szufladzie. Przez milicję”. Podszycie czarnym humorem przypuszczenie na szczęście

się nie sprawdziło, notatki ocalały. Stanisław Grodziski, historyk prawa, uczeń prof. Adama Vetulaniego, dziś emerytowany profesor UJ, związany z tą uczelnią przez całą swoją karierę naukową, autor książek o Galicji i Rzeczypospolitej Krakowskiej, a także biografii cesarza Franciszka Józefa, jest kronikarzem sumiennym i wnikliwym. Pozycja, którą w tamtych latach

zajmował, dawała mu spore pole obserwacyjne. W 1968 r. był już po habilitacji.

W 1978 r., choć bezpartyjny, został mianowany dziekanem Wydziału Prawa, a we wrześniu 1980 r. w tajnym głosowaniu (które odbyło się na jego wniosek) otrzymał *votum* zaufania Rady Wydziału i sprawował tę funkcję jeszcze przez rok. W 1987 r. wybrano go prorektorem. Tak więc zarówno w czasie krzepnięcia pierwszej Solidarności, jak i pod koniec istnienia PRL, w dniach kolejnego strajku studenckiego (1988) i Okrągłego Stołu znajdował się we władzach UJ. Mógł z autopsji opisać kolejne fazy napięcia na linii uniwersytet–partia, później zaś strategię obrony autonomii wywalczonej przez Solidarność.

Pisząc o tym niezwykle wciągającym i pełnym anegdot świadectwie z opóźnieniem,

ale pora po temu nie jest zła. W półwiecze Marca '68 możemy dzięki autorowi odtworzyć niemal minuta po minucie przebieg wydarzeń 13 marca 1968 r. Wiec studencki pod Domem Akademickim „Żaczek”, przemarsz pochodu w stronę Rynku, brutalny atak milicji i ORMO przy skrzyżowaniu ulic Jagiellońskiej i św. Anny, pacyfikacja Collegium Novum... Prof. Grodziski nie ogranicza się do własnych obserwacji, cytuje też relacje przyjaciół – historyka prawa Wojciecha Marii Bartla, polonisty Tomasza Weissa – i studenckie ulotki. To właściwie kawał reportażu: widzimy wyrzutnie petard, czujemy smród gazu łzawiącego, przez wiele dni utrzymującego się w korytarzach i salach Collegium, słyszymy okrzyki „Gestapo, Gestapo!”. Niewielu niestety było wtedy takich kronikarzy... ©®

PAWEŁ

Bravo:

Chleb i duch powinny być z masłem



„DOBRY RZEŹNIK, KIEDY SPRZEDAJE CI NERKI cielęce, pyta, czy chcesz z łojem, czy bez” – słyszę w zgiefku krakowskiej ulicy, na krótkiej trasie z kleparskiego rynku do jatek skrytych w podwórku przy ulicy Długiej. A było to tak: wybrałem się na Kleparz kupić na straganie węgierskim pasztet i słoninę z mangelicy. Wiem, nie wypada przyznawać się do sympatii dla tego nabuzowanego nacjonal-kompleksizmem kraju, ale wszystko Węgrom wybaczę za tę półdziką, wielbiącą wolność świnkę. Gdyby ktoś ogłaszał konkurs na herb Grupy Wyszehradzkiej, to należałoby w nim uwiecznić jej pocziwy, kudłaty ryj.

Jeśli politycznie wątpliwa V4 w ogóle istnieje, to wokół stołu, we wspólnych paradygmatach smakowych, czyli np. w głowie Zbyszka Kmiecica: kulinarnego partyzanta i podpalacza, organizującego regularnie zasadzki na nasze sanitaryzowane, zokcydentalizowane gusta, i przypominającego, że nasze geny, a więc i dyspozycje smakowe, sytuują nas bliżej Debreczyna niż, dajmy na to, San Gimignano.

Jakież było moje zaskoczenie, gdym właśnie jego – wcześniej czynnego parę lat w Warszawie, m.in. w popularnej knajpie Zielony Niedźwiedź – odnalazł na kleparskim straganie, zarządzającego tamtejszym garmazem. Wybierał się akurat na Długą po mięso na *pörkölt*, dołączyłem więc: jako świeżo naturalizowany krakus wciąż rozpoznaję miejsca, gdzie zaopatrywać własną kuchnię. Na moje pytanie, czemu kupione u niego pierogi z podrobami są tak dobre, odpowiedział pobłaźliwie, że rzecz tkwi w wypełniaczu, swego rodzaju *massa tabulettae* – czyli jajkach na twardo podsmażonych na gęsim tłuszczu z bułką tartą. A jeszcze lepszy byłby łój z nerek cielęcych, dodał, o ile rzeźnik nam go zachowa.

I tak sobie po drodze dywagowaliśmy o roli tłuszczu w zachowaniu tego, co Zbyszek nazywa pierwotną smacznością. Jest to zespół fizjologicznych bodźców, które wiercą nam w mózgu dziurę tak głęboko, że przegryzają się do spodu cielesności i dalej na drugą stronę. Czy da się to odnaleźć, jak chce René Redzepi, nowomodny guru smakoszy z kopenhaskiej restauracji Noma, bez tłuszczu, zwłaszcza tych zwierzęcych? Idąc nie całkiem równym chodnikiem, pośród swojskiej kakofonii drobnego handlu, wymijając przymy pośniewowego

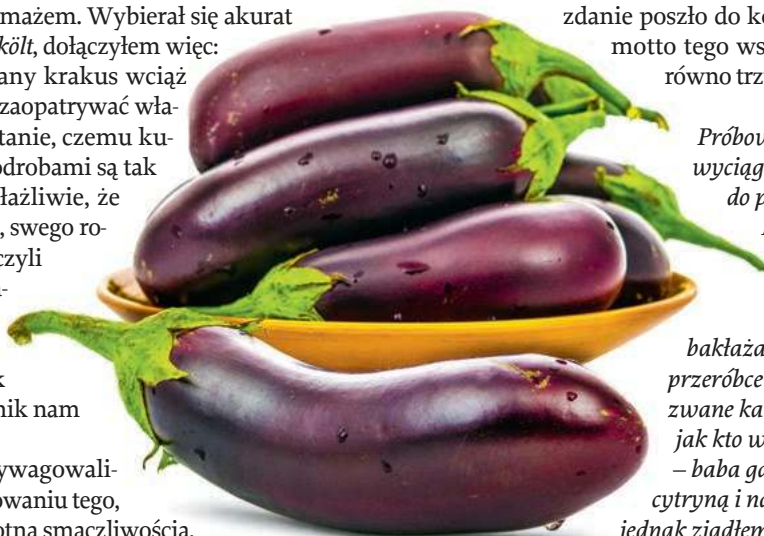
blota, wspólnieśmy doszli do wniosku, że ducha tak całkiem na sucho, bez tłuszczu, osobliwie zwierzęcego, nie pobudzisz.

Jeszcze tego samego tygodnia znalazłem się w zgola odmiennych okolicznościach. Na czubku tynieckiej skały kontemplanowałem jarmarczną w swojej pyszności barokizację jednej z najstarszych na tej ziemi świątyń, ale i atrakcyjnie opakowane produkty sygnowane mianem benedyktyńskich. O, zacny mnichu z Nursji, którzy tyle poświęcił czasu i uwagi, by uregulować codzienne życie i spożycie swoich uczniów! Czy przypuszczałeś, że do twego *ora et labora* dopiszą kiedyś *vende*, czyli sprzedawaj? Nie tylko zresztą specjały, przetwory i nalewki, lecz także czas i ciszę, dostępną za nieskromną opłatą w tutejszym duchowym spa.

Leż jesteśmy gotowi dopłacić za słowo „klasztorne” na słoiku, choć z daleka widać, że to jest tylko marketingowa posypka towarów, które mnicha na oczy nie widziały? Potrzeba zastępczego uświęcenia pokarmu przez napis na etykiecie otworzy każdy portfel. Czyż nie jest to rewers uwielbienia ciała dla niego samego, przez które w głowie się nie mieści, że ono samo, nakarmione kromką z masłem, potrafi się przeobrazić bez specjalnej pomocy w naczynie myśli?

Blisko bramy, w ciemnej kanciapce, upchnięte jak ubogie krewne, mniszki benedyktyńskie z opactwa w Staniątkach sprzedają nieco skromnych słoików i oselek masła. Robionych własnymi rękami, nie dla czczego zysku, lecz po to, by pozyskać choć trochę grosza na przetrwanie w dramatycznych warunkach. Potrzeba załatania dachu lub kupna opału na zimę to znacznie lepszy powód, bym poczuł się lepiej, kupując te rzeczy. Mnie nie uczynią świętszym, ale komuś pomogą choć trochę znośniej żyć.

„Chleb i duch powinny być z masłem” – takie słowa w latach 40. ubiegłego wieku Jerzy Turowicz wykreślił Andrzejowi Bobkowskiemu z tekstu nadesłanego do „Tygodnika”. Ledwie byłbym godzien temu autorowi ołówki strugać, ale skoro jego zdanie poszło do kosza, to mu je ukradnę jako motto tego wszystkiego, czym was tu już równo trzy lata zanudzam. ©P



Próbowałem ze Zbyszka Kmiecica wyciągnąć podstępnie jego klucze do pierwotnej smaczności.

Droga była jednak krótka i tylko na odchodnym rzucił: „spróbuj mojej pasty z bakłażana”.

Pieczony bakłażan poddaje się, rzecz wiadoma, przeróbce na rozmaite smarowidła, zwane kawiozem z bakłażana albo – jak kto woli orientować się na Orient – baba ganoush, przeważnie z oliwą, cytryną i natką pietruszki. Na Kleparzu jednak zjadłem wersję, która wbiła mnie w błotnisty trotuar. Po upieczeniu **bakłażana**

(pamiętajmy, by go nakłuć, żeby nam w piecu nie wybuchł) odsączamy miąższ, oddzielamy nasiona i mieszamy z **masłem** (dużo masła! łyżka na bakłażana, albo i więcej), zmiażdżonym **czosnkiem** i odrobiną spadziowego **miodu**... Jego ilość zależy od naszych kubków smakowych, chodzi o to, by pastę doprowadzić tylko pod granicę słodczy.



„TP” 9 / 2018

Jak chronić śląszczyznę

Senator Maria Pańczyk-Pozdziej w odpowiedzi na apel red. Anny Dziewit-Meller o ochronę i prawne przyznanie statusu języka regionalnego językowi śląskiemu podkreśla, iż rozumie, „że wszystkim nam chodzi o to, by przetrwała mowa [śląska]” oraz że wraz z kolegami z Rady Języka Polskiego jest „za wszechstronną ochroną śląszczyzny”. Jednak w odróżnieniu od Dziewit-Meller twierdzi, że parlamentarne uznanie śląskiej mowy za język regionalny „będzie jej grobem”. Ergo najlepszym gwarantem przetrwania jest powstrzymanie się przez państwo od jakichkolwiek

interwencji w tym zakresie, zapewne włączając w to zapewnienie, że żadne środki z podatków płaconych przez Ślązaków nie będą przekazywane na kultywowanie, badanie, rozwijanie, a tym bardziej na standaryzację (kodyfikację) śląszczyzny jako języka. (Ciekawe, jak Kaszubi zareagowali na propozycję, żeby jeszcze lepiej chronić kaszubszczyznę – którą obecnie posługuje się ok. stu tysięcy osób – poprzez odebranie jej nadanego w 2005 r. statusu języka regionalnego?). Jednak nie są znane socjolingwistom przypadki, że takie leseferowskie podejście do ochrony zapewnia językom mniejszościowym lub regionalnym przetrwanie, a tym bardziej rozwój. Przeciwnie: doprowadza to do ich szybkiego zaniku na rzecz języka dominującego w danym państwie. Dlatego autorytety światowej socjolingwistyki (np. Joshua Fishman czy Florian Coulmas) podkreślają konieczność aktywnego wsparcia legislacyjnego i budżetowego dla takich języków.

Administracja polska nie uznaje wyników Narodowego Spisu Powszechnego (2011) w zakresie wyników dla deklaracji języka i narodowości śląskiej. Wedle tych wyników zaledwie 62,5 proc. z 800 tys. Ślązaków miało pewną znajomość języka śląskiego, oczywiście w mowie, nie więcej bowiem niż kilkadziesiąt pasjonatów pisze i wydaje po śląsku, a ich czytelnicy to kilka lub w najlepszym wypadku kilkadziesiąt tysięcy osób. Oczywiście, wszyscy Ślązacy znają doskonale polszczyznę – i w mowie, i w piśmie. Tak, znają polszczyznę lepiej niż język śląski, co oznacza, że jeśli polityka państwa polskiego się nie zmieni, za pokolenie lub dwa język śląski zaniknie w użyciu, dzieląc tym samym los języka mazurskiego, którego przestano używać w latach 70. XX w. Lecz jeśli socjolingwistyka się myli, a senator Pańczyk-Pozdziej jednak ma rację, to na przypadające w tym roku stulecie utworzenia polskiego państwa narodowego trzeba skorygować

podręczniki w ocenie przyjęcia polszczyzny jako języka urzędowego w roku 1918 oraz zaprowadzenia powszechnego i przymusowego szkolnictwa podstawowego w tymże języku. Zapewne lepsze przetrwanie polskiej mowy, aby „zachowała swój walor wszechstronności – różnorodność brzmień, mnogość synonimów, a nade wszystko melodię” (jak stwierdza autorka listu w kontekście języka śląskiego), byłoby zagwarantowane poprzez kontynuację używania w urzędach i szkołach rosyjskiego oraz niemieckiego w dwudziestowiecznej Polsce, oraz poprzez nieuznawanie polskiej godki za język.

© DR HAB. TOMASZ

KAMUSELLA

University of St. Andrews, Szkocja

Uzupełnienie

W dodatku „Marzec. 50 lat później” na stronie 12 opublikowaliśmy zdjęcie z 1967 r. przedstawiające „komandosów”. Autorem tego zdjęcia jest pan Włodek Kofman.

26 marca mija 5 lat od śmierci

Ś.†P.

Krzysztofa Kozłowskiego

20 marca o godz. 17 w bazylice archikatedralnej pw. Jana Chrzciciela w Warszawie zostanie odprawiona msza św. w intencji Zmarłego, którą koncelebrować będzie ks. kardynał Kazimierz Nycz. Serdecznie zapraszamy do udziału.

Tego samego dnia pod popiersiem naszego Redaktora na dziedzińcu MSWiA zostaną złożone kwiaty, a w Senacie RP odbędzie się konferencja poświęcona jego sylwetce pt. „Rewolucja po polsku”.

Obchodom towarzyszy okolicznościowa publikacja Instytutu Obywatelskiego, ilustrowana zdjęciami Grażyny Makary, z tekstami Krzysztofa Kozłowskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Jerzego Turowicza.

euuropejski poeta wolności

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 12/2018

**EUROPEJSKI
POETA WOLNOŚCI**

Redakcja: MICHAŁ SOWIŃSKI

**Poezja polska jest wielka,
ale poezja europejska – jeszcze większa,**

dlatego już po raz piąty zaprosiliśmy do Gdańska autorów nominowanych do nagrody Europejski Poeta Wolności, przełożyliśmy ich książki, a jeden z nich wróci do domu ze statuetką i kwotą 100 tys. zł. Uhonorowany zostanie również jego tłumacz.

To już piąta edycja, a zarazem jubileusz dziesięciolecia Nagrody i Festiwalu. Czy coś się przez ten czas zmieniło? Niewiele – wciąż jesteśmy najlepsi w przybliżaniu polskiemu czytelnikowi twórczości najciekawszych współczesnych poetów naszego kontynentu.

Znajdujemy się w tej komfortowej sytuacji, że poezja jest niszowa, że nie podlega medialnej presji i trudno na niej zarobić. Dlatego mamy przyjemność poruszania się po marginesach rynku, z dala od zgiełku międzynarodowego targowiska książki. Skupiając się na poezji, możemy być całkowicie wolni. Ciekawa jest lista krajów, z których pochodzą tegoroczni nominowani, lecz jeszcze bardziej intrygują ich wiersze, które z łupiny języka islandzkiego, azerskiego, niderlandzkiego, armeńskiego, angielskiego, bułgarskiego, fińskiego i mołdawskiego bezbłędnie wydłubają uniwersalną prawdę o człowieku.

W centrum naszego zainteresowania pozostają poeci i ich książki, ale filarami festiwalu są także debaty: „Korzenie wolności”, „Zagranice polskiej poezji” oraz „Brzmi sensownie”. Pierwsza będzie dotyczyć problemu zakorzenienia, rozmaitych form migracji oraz ich literackich konsekwencji, druga będzie poświęcona fenomenowi popularności polskiej liryki w świecie, ostatnia zaś – poetyckim inspiracjom popularnych muzyków i autorów tekstów. W ramach „Krytycznych kwadransów” wybitni pisarze i literaturoznawcy opowiedzą, dlaczego nie wyobrażają sobie życia bez wierszy, a pod hasłem „Konfrontacje” spotkają się polscy poeci, których na pierwszy rzut oka różni wszystko: wiek, temperament, skala głosu oraz tradycje, z jakich się wywodzą. Osobnym wydarzeniem artystycznym będzie gala wręczenia nagrody EPW, którą wyreżyserował dla nas Wiktor Rubin.

Podobno poezja ma niewielki wpływ na życie zbiorowości, nie jest w stanie obalać ustrojów, zapobiec globalnemu ociepleniu ani walczyć z głodem. A jednak poeta był zawsze na celowniku tyranów. Dlaczego? Ponieważ dobry wiersz uczy nas krytycznego myślenia, impregnuje na fałsz, uwrażliwia na cudzą krzywdę. Wyrasta z wolności i rozbudza potrzebę wolności. Przekonajmy się o tym w pierwszy weekend wiosny w Gdańsku.

© TADEUSZ DĄBROWSKI

dyrektor artystyczny Festiwalu

**instytut
kultury
miejskiej**


GDAŃSK
miasto wolności

**#wolność
kultury**

Sygnaliści

PAWEŁ SOŁTYS

Kto to jest poeta, poetka? Poeta to taki facet, a poetka to taka babka, co kręci się przy świetle, chce wszystko wiedzieć, zobaczyć, nazwać, choć jest dyletantem.

Podobno telegraf optyczny wykorzystano już, by przekazać wiadomość o zdobyciu Troi. Przy pomocy szeregu ognisk informacja dotarła do Myken. Niedługo później Grecy opracowali system przekazywania liter. Trzeba było tylko wzniesień albo wysokich budowli oraz przeszkolonych i piśmiennych ludzi z chorągiewkami. Tu można by dać pierwszą wzmiankę o poezji, poetkach i poetach, ale nie poddawajmy się najprostszym skojarzeniom, idźmy dalej. Pod koniec XVIII wieku wynaleziono telegraf optyczny semaforowy. Zamiast machających specjalistów budowano albo osadzano na wysokich budynkach urzędzenia, których ramiona „szyfrowały” litery i zdania, unosząc się i opadając wedle ustalonych reguł. W 1849 r. prosta informacja przez 20 przekaźników leciała (płynęła? przenosiła się?) z Paryża do Lyonu w 2 minuty. Tu wszystko brzmi już jak metafora, ale ciągle nie ulegamy pokusie. W Warszawie sieć takich telegrafów zaczynała się na dachu Teatru Wielkiego, ustalono nawet z dużym prawdopodobieństwem, gdzie dokładnie. W 1838 r. uruchomiono taką „linię” na trasie Warszawa – Moskwa. Składała się z 220 stacji obsługiwanych przez 1320 operatorów. Robi wrażenie, prawda?

Poproszono mnie, bym napisał parę zdań o poezji, więc skąd nagle telegraf optyczny? Poza oczywistą urodą samego zjawiska, pięknem urządzeń, o których mowa (w internecie jest sporo zdjęć i rycin), uwiódł mnie szybki i nagły zgon ogromnego przecież przedsięwzięcia. Pojawiał się telegraf elektryczny i wszystko mogło już sobie niszczyć, rozpadać się, zarastać zielskiem, a obsługujący urządzenia wybitni, jak podejrzewam, specjaliści mogli szukać nowej roboty albo sączyć wino w marnych knajpach. Koniecznie przy oknie, koniecznie z widokiem na próchniejące ramiona swoich mechanicznych pracodawców. I wcale nie znikli. Widujemy ich przecież do dziś, tylko przekwa-

lifikowali się na copywriterów, scenarzystów seriali albo poufale klepią biedę. Szybko to poszło.

200 lat temu powoływali narody, ustanawiali państwa, wszczynali rewolucje, zbierali hołdy i wymyślali języki, którymi mówiły całe pokolenia. Więcej – jeszcze 50 lat temu tak było, a i sam pamiętam imprezy poetyckie z połowy lat 90., na których kolejki do poetek i poetów były dłuższe niż te po wino, a przecież te po wino praktycznie nie miały końca. Poezja oczywiście nie znikła, żyją poetki i poeci, ale w coraz większych samotnościach, w niszach, gdzie mało kto zagląda. Parę lat temu, gdy to zauważyłem, zrobiłem małą sondę wśród rówieśników i młodszych znajomych. Wbrew tytułowi słynnej swego czasu antologii – nie mieli swoich poetów. Ani poetek. Wykształceni, znający języki ludzie odpowiadali coś półgębkiem o noblistkach, noblistach i tych, którzy niemal noblistami zostali. W najlepszym razie przypominał im się licealny Bursa, Wojacek, Świrszczyńska czy Poświatowska. Ale to były raczej chwilowe rozmarzenia, jak wspomnienie Wojtka czy Beaty z 3C. Oczywiście, gdyby poskrobać, to ta poezja, czy coś poezję przypominającego (nie mnie rozstrzygać), jest ciągle obecna w życiu młodych ludzi: w piosenkach (oby dobrych), w rapie przede wszystkim, który przecież gdzieś do tradycji griotów się odnosi. Tyle tylko, że to ucięte, jakby pewne sprawy trzeba było odkrywać na nowo – poczwórne rymy i proste treści, jakby nie było ciągłości, tych wszystkich kobiet i mężczyzn od setek lat nad kartkami. Smutne? Trochę tak.

Ponieważ jednak jestem człowiekiem czynu, zacząłem powtórna pracę u podstaw. Tu komuś Leśmiana, tam Sendeciego, Joannę Mueller siostrzenicy, Bargołską nowej dziewczynie kolegi, punkowcom znajomym – Konrada Górę. Prezenty świąteczne, imieninowe, na rocznicę ślubu, na komunię – wiadomo, Ficowski

albo Grochowiak. Nikomu żadnych perfum, skarpet, kryminałów, bielizny (choć czasem kusi) ni bibelotów. Tylko mowa wiązana, choćby rozwiązła, albo ledwo sfastrygowana i bladobiała. Oczywiście niektórzy przestali mnie zapraszać, a zaczęli kręcić palcem wskazującym przy skroni, gdy rozmowa schodziła na mój temat, ale to nie zmniejszyło mojego zapału. Bo z jakichś niejasnych powodów uważam, że poezja jest mi potrzebna, a skoro mi, to może i komuś innemu, jednej, jednemu na dziesięciorgo obdarowanych. To trochę krępujące i pewnie nieco głupie, ale robiłem wiele głupszych rzeczy. Bo kto to jest poeta, poetka? Poeta to taki facet, a poetka to taka babka, co kręci się przy świetle, chce wszystko wiedzieć, zobaczyć, nazwać, choć jest dyletantem. Ale te jej czy jego uwagi, uwagi człowieka, który „nie wie, że tak nie można”, pozwalają profesjonalistom żyjącym w świecie dostrzec kurioza, szczególnie piękna, okropności, których nie widzą, bo ich zmysły przywykły. Jak do faktury poręczy schodów, której codziennie dotykają, wracając do domu.

I tu pewnie należałoby skończyć, ale ponieważ nieczęsto zdarza mi się pisać coś na kształt eseju dotyczącego poezji (a dokładnie: robię to pierwszy raz w życiu), postanowiłem pokazać ten tekst dwóm przyjaciółom. Mniejsza o ich ocenę, są však przyjaciółmi, ale obaj, niezależnie, zgłosili podobne uwagi czy nawet postulaty. Wybitny prozaik zżymał się, że utyskiwanie na „upadek” poezji jest niemądre, bo ona w Polsce bywała czymś więcej niż tylko poezją oraz że trochę sama jest sobie winna, bo popadła w hermetyzm i „samotłumaczenie się”. To jest jedna z tych fajnych myśli, z którą zasadniczo się zgadzam i która budzi we mnie wstręt. Za to wybitny tłumacz postulował „odbudowę” poezji poprzez powrót do jakiejś ludowości, do tego, by czytelnik mógł powiedzieć: „Ja niemal też bym tak mógł”. Tu zdaje się, że właśnie rap, pisanie do muzyki w ogóle,



ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Saint Gildas Point, Loire-Atlantique, Francja

nieco zaspokaja tę chęć. Wiem, co piszę. Wiem, co pisać, ale obu tych myśli nie potrafię obalić, więc ucieknę w pseudocytat. Márai w „Dziennikach” opisuje scenę z Turgieniewa, w której jeden z bohaterów, szlachcic, oczywiście opętany różnymi zwątpieniami, słyszy swojego służącego mówiącego wiersz. Przystaje i zirytowany pyta go, czy ten coś z tego wiersza rozumie. Na co indagowany odpowiada: „Gdybym to rozumiał, to już nie byłby wiersz”. Pointa jest inna: otóż nie ma takiej sceny u Turgieniewa. Idę więc sprawdzić, czy jest ten balkonik na dachu Teatru Wielkiego, gdzie stać miał optyczny telegraf. Nucię Tkaczyszyna-Dyckiego, bo zimno, minus czternaście. ©

PAWEŁ SOŁTYS, pseud. Pablopavo (ur. 1978) jest muzykiem, autorem piosenek, pisarzem. Wydał kilkanaście płyt oraz zbiór tekstów prozatorskich „Mikrotyki” (2017).

Dobry czas dla poezji

ZBIGNIEW MIKOŁEJKO, ANDA ROTTENBERG, JURORZY EPW:

Zawsze istnieje taki czy inny kontekst polityczny dla poezji, ale nawet najgorsze czy najgłupsze odczytanie nie jest w stanie jej zaszkodzić.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy dużo Państwo czytają poezji?

ZBIGNIEW MIKOŁEJKO: Od dziecka, nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej... Co więcej, Instytut Mikołowski wydał teraz tomik „Gorzkie żale” – zbiór moich utworów z ostatnich lat. Będą także dwa kolejne tomy. Wszystko starcze.

Czyli sam został Pan poetą.

ZM: Nie nazwałbym tego w ten sposób. Myślę o tych tekstach jako o wierszykach. Ale wszystko zaczęło się od czytania francuskich i rosyjskich poetów w młodości.

Nawet zdarzyło mi się tłumaczyć Jesienina i Préverta. Potem oczywiście przyszli inni. Jeśli w jakiejś materii mogę pochwalić się jako taką erudycją, to chyba byłaby to właśnie poezja, jej rozmaite tradycje.

ANDA ROTTENBERG: Po tym, co było w szkole, u mnie też była faza Rosjan, czytanych najczęściej w podziemnych albo półlegalnych wydaniach.

ZM: Poezja była dla mnie o tyle ważna, że stanowiła bramę, przez którą wchodziłem w kolejne kultury. Miewałem w życiu objawienia poezji anglosaskiej, kiedy indziej niemieckiej. Należę również do ➔

→ generacji, dla której kluczowym wydarzeniem było wejście na scenę literacką Rafała Wojaczka.

AR: To świetny przykład tego, jak poezja może ukształtować całe pokolenie. Wystarczy, że pojawi się kilka takich postaci jak Wojacek, i zmienia się wszystko – otwiera się nowy, nieznany wcześniej kawałek świata.

A inne przykłady?

ZM: Podobnie było z Nową Falą. Pamiętam niesamowity powiew świeżości, szczególnie po długim i jałowym okresie poetów „Współczesności”.

AR: No i oczywiście Miłosz, który krążył w kopiach fatalnej jakości, na których zepsuliśmy sobie oczy. Pochłaniałam go w olbrzymich ilościach i smakował nie zwykle. Pewnie dlatego, że był zakazany.

ZM: To też ciekawy przykład wpływu polityki na recepcję. Bo Miłosz trafił do nas późno, tak naprawdę zaczęliśmy od jego uczniów, od tych, którym Miłosz wyznaczył poetycką drogę – jak Gajcy. Ale po Noblu wydarzyła się jeszcze inna ciekawa rzecz – myśmy Miłosza-poetę szybko zapomnieli, zastąpiliśmy go Miłoszem-moralistą, piewą zasad.

AR: Bardzo znaczące, że na pierwszym pomniku stoczniovym w Gdańsku jest fragment z „Który skrzywdziłeś”. To chyba mój ulubiony jego wiersz.

ZM: Dokonało się przejście od Miłosza-katastrofisty do Miłosza, którego nazwałbym właśnie poetą wolności. Bez wątpienia mocno upolityczniliśmy jego poezję takimi odczytaniem. Ale nie widzę w tym nic złego.

Padło tu wiele nazwisk, ale właściwie żadnego współczesnego. Czy poezja dziś jeszcze może odgrywać rolę zwornika pokoleniowego lub wspólnotowego?

ZM: Bez wątpienia poetą takiej rangi jest Marcin Świetlicki. Choć oczywiście to bardzo osobne zjawisko.

AR: Powiedziałabym, że z linii Wojaczka – robi coś podobnego ze słowem czy całą frazą. Ale problem jest dużo ogólniejszej natury, bo dziś prawie się nie czyta, i nie dotyczy to wyłącznie poezji. Promykiem nadziei jest muzyka – dziś młodzi ludzie dużo słuchają, w tej formie poezja wciąż potrafi mocno oddziaływać.

ZM: Z drugiej strony wielu autorów, którzy byli dla nas ważni, dziś wraca. Weźmy choćby przytaczanego już Wojaczka albo



BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA GAZETA

■ **ANDA ROTTENBERG:**

Gdańsk od zawsze był dla mnie miastem wolności. To kolebka Solidarności i nic tego nie zmieni. A takie dziedzictwo zobowiązuje.

Bursę. Wydaje mi się, że poeci, którzy niosą w sobie bunt, starzej się powoli i są chętniej czytani przez kolejne pokolenia młodych.

Prezydent Duda ogłosił 44 utwory, które wejdą w skład niepodległościowej antologii. Czasy powojenne, bo ciężko nazwać to współczesnością, reprezentuje zaledwie garstka twórców – jest m.in. Miłosz, Herbert, Rymkiewicz i, co ciekawe, Wencel.

ZM: Rzeczywiście, dość oryginalne zestawienie. Zaczyna się od Bogurodzicy, czyli faktycznie od samego początku. Ale mówiąc serio, to jest ewidentna próba uczyńnięcia ze wszystkiego, co tylko pod ręką, broni służącej doraźnym celom politycznym. Tak się nie da. Już nawet pomijam oczywisty fakt robienia krzywdy samym poetom.

AR: Ja powiem inaczej – od przedszkola przez kolejne etapy edukacji byłam produktem najbardziej wulgarnej propagandy aparatu komunistycznego. Ale

od zawsze dużo czytałam i to mnie uratowało, bo nasiąkałam najrozmaitszymi rzeczami. Gdy przyjechałam na studia do Warszawy, od razu znalazłam swoją drogę. A 8 marca 1968 r. stałam się na zawsze i nieodwołalnie człowiekiem politycznym. Od tego momentu już nikt mi nie mógł nic powiedzieć, bo sama wiedziałam, co jest prawdą, a co kłamstwem.

ZM: Można całą tę awanturę podsumować dwoma uwagami. Po pierwsze, nie da się czytać poezji w pełni autonomicznie – zawsze istnieje taki czy inny kontekst polityczny, z którego musimy sobie zdawać sprawę...

AR: A po drugie – nawet najgorsze czy najgłupsze odczytanie nie jest ostatecznie w stanie zaszkodzić samej poezji. Można próbować wypychać ją w najrozmaitsze dziury, ale to jest zawsze tymczasowe.

ZM: Tak właśnie. I w tym sensie nie widzę specjalnej różnicy między poezją a innymi językami kultury.

Czyli poezja obroni się sama?

ZM: Oczywiście! Problem z poezją w Polsce, co nasza rozmowa dobrze pokazuje, polega na tym, że mamy jej wręcz za dużo. Polska to kraj wybitnej poezji. Podobnie jak Szwecja.

Mówi Pan to jako juror nagrody Europejski Poeta Wolności? Jaka poetycka mapa naszego kontynentu wyłania się przy okazji piątej już edycji?

ZM: Dzięki tej nagrodzie odkryłem obszary wcześniej dla mnie nieznane, np. genialne poetki bałkańskie – choćby Albankę Luljetę Lleshanaku i laureatki dwóch ostatnich edycji, Anę Blandianę i Dortę Jagić.

AR: Mocno zapadła mi w pamięć poetka macedońska z poprzedniej edycji, Lidija Dimkovska. Bardzo ostra i wyraziista osoba. Wydaje mi się, że ostatecznie udało się kobietom na Bałkanach przełamać rozmaite zniewolenia i ograniczenia – czy to na poziomie rodzinnym, czy społecznym, czy wreszcie politycznym. Uwolniło to olbrzymią energię. Widzę to także w swojej dziedzinie. Od końca lat 90. nastąpił olbrzymi wysyp fenomenalnych artystek, kuratorek czy w ogóle intelektualistek. Poetki nominowane do Europejskiego Poety Wolności tylko to potwierdzają.

ZM: To w ogóle jest być może największe odkrycie tego konkursu, też jestem tymi poetkami zafascynowany.

Co jeszcze przez te lata nagrody EPW zrobiło na Państwu wrażenie?

AR: Szkoda mi trochę Yahyi Hassana, duńskiego poety palestyńskiego pochodzenia z poprzedniej edycji. Byłam jego gorącą zwolenniczką, choć wiedziałam, że to jętką jednodniówka. Samorodny, wielki talent, chłopak z muzułmańskiego getta w Kopenhadze. Obcy zarówno wśród Duńczyków, jak i swoich, obdarzony genialnym słuchem językowym, do tego chuligan z kryminalną przeszłością. No i te wiersze pisane w poprawczaku – co za język, co za świat! No ale niestety, od początku zdawałam sobie sprawę, że to meteor, co jego późniejsze fatalne decyzje życiowe i konflikty z prawem tylko potwierdziły.

ZM: Poeta przeklęty XXI wieku, tyle że ze Skandynawii.

Jak wyglądają obrady jury? Porównywanie tak różnych tekstów i twórców musi być wyzwaniem.

ZM: Pamiętam, że zażarcie kłóciliśmy się przy okazji drugiej edycji nagrody. Wtedy z Andą robiliśmy wszystko, aby nie wygrał Durs Grünbein. Stało się inaczej, ale długo i dzielnie stawialiśmy opór.

Dlaczego?

ZM: Proszę mnie źle nie zrozumieć, to nie jest zły poeta – pod wieloma względami jest wręcz wzorcowy. Klasyczny, trochę herbertowski z ducha...

AR: Ale całkowicie wykreowany! To rodzaj spóźnionego postmodernizmu, który już przeminął. Pełno nawiązań, nawet do Goethego czy Kawafisa. Jednak czegoś wyraźnie mi tam zabrakło. Jego poezja mnie nie przekonała.

Mają Państwo ukutą na własne, jurorskie potrzeby definicję „dobrej poezji”? Sprecyzowane obiekty poszukiwać?

AR: Nie, absolutnie nie wiemy, czego szukamy.

ZM: Czekamy, aż coś nas zaskoczy, zachwyci. Stosujemy przy tym jednak pewne chwytły i podstępny intelektualne.

AR: Nie znoszę mieć Zbyszka przeciwko sobie w tych dyskusjach. Na szczęście za zwyczaj trzymamy jeden front.

ZM: Andrzej Jagodziński powiedział kiedyś, że zapis z naszych obrad byłby wspinałym, choć skomplikowanym w swojej strukturze esejem. Coś w tym jest.

AR: Moją ostateczną bronią jest sama poezja. Gdy już brakuje argumentów, zaczy-



ADAM LACH / FORUM

ZBIGNIEW MIKOŁAJKO:

Kategorie socjologiczne, ekonomiczne czy nawet psychologiczne to wierzchołek góry lodowej. Poeci pracują w mrocznych, podwodnych obszarach.

nam na głos czytać ten czy inny tomik. Co ciekawe, to często działa!

A jak sobie Państwo radzą z tymi trudnymi słowami, które pojawiają się w nazwie nagrody, czyli „europejski” i „wolności”?

AR: Jest jeszcze jedno słowo, które spina je wszystkie, czyli „Gdańsk”. To od zawsze było dla mnie miasto wolności, z pewnego punktu widzenia jest nim do dziś. Cokolwiek by mówić, to jest kolebka Solidarności i nic tego nie zmieni. A takie dziedzictwo zobowiązuje.

ZM: No i morze! Żywiół, który otwiera. W ten sposób rozumiem też europejskość – Europa jako kontynent otwarty. Ale dla mnie Gdańsk oznaczał od zawsze jeszcze jedną ważną rzecz – niezwykle prężny ośrodek intelektualny, stworzony właściwie jednoosobowo przez wygnaną z Warszawy Marię Janion. Za jej sprawą, a potem także jej uczniów, Gdańsk wyrósł na lidera intelektualnego.

Zmienił się chyba też kontekst samej nagrody. 10 lat temu sytuacja polityczna była, delikatnie mówiąc, inna.

ZM: Nie przejmowałbym się tym szczególnie – dla poezji zawsze jest dobry czas.

AR: Z drugiej strony jednak czasy politycznego napięcia wyraźnie sprzyjają poezji. Znamy to aż za dobrze z własnego doświadczenia. Zgodzisz się z tym, Zbyszku?

ZM: Masz rację. A dzieje się tak dlatego, że poezja ze wszystkich języków i sposobów opisu świata najlepiej odczytuje to, co dzieje się w nieświadomości indywidualnej i zbiorowej. Od świadomości są ideologowie, publicyści czy politycy. Poezja działa gdzie indziej, daje języki do nazywania tego, co nienazwane. W wielu wypadkach nasze doświadczenie nie może znaleźć właściwego dla siebie słowa nigdzie indziej niż w poezji. Kategorie socjologiczne, ekonomiczne czy nawet psychologiczne, przy pomocy których opisujemy naszą rzeczywistość, dotyczą wyłącznie wierzchołka góry lodowej. Poeci pracują w tych mrocznych, podwodnych obszarach.

To ciekawy paradoks poezji, którą często uważa się za coś marginalnego, ale w sporach ideologicznych czy politycznych zazwyczaj stawiana jest w centrum uwagi.

ZM: Wystarczy zajrzeć do internetu, żeby zobaczyć, jak potężną rolę w życiu wielu ludzi odgrywa poezja. Można tam znaleźć prawdziwe jej oceany. Ale prawda jest taka, że poezja oficjalna – drukowana i recenzowana – od zawsze była odrobinę na marginesie, a przynajmniej od późnego średniowiecza, gdy zamarła tradycja wędrownych trubadurów, którzy dostarczali rozrywki. To nakłada się na koniec pewnej koncepcji poezji, w której poeta przemawia głosem Boga. Paradoksalnie, ten mit pogrzebała ostatecznie nowoczesność.

AR: Zataczamy koło – dla mnie poezja jest ciekawa właśnie wtedy, gdy integruje najróżniejsze obszary ludzkiej egzystencji i doświadczenia.

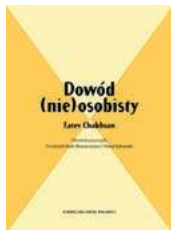
ZM: Mówiąc inaczej – poezja powinna być pierwiastkiem wielkiej całości zwanej kulturą. Źle jest, gdy mamy do czynienia z poezją imitacyjną – gdy poeta uczy się wyłącznie od innych poetów. To prowadzi do wykrzywienia formalistycznego.

AR: Dokładnie. Wszystkiego można się nauczyć, ale potrzebna jest jeszcze iskra boża. © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Biogramy rozmówców na str. 84.

Nominacje 2018 do nagrody

Wiersz, czyli działanie



Tatev Chakhian czyni z poezji rodzaj antropologicznego laboratorium, w którym bada zarówno współczesność, jak i historię swojej ojczyzny.

Armenia łączy się tu w konstelacyjne układy z państwami Europy Środkowej i Wschodniej – obarczonymi równie trudną historią i wcale nie tak stabilną teraźniejszością. Na takiej mapie wiersz może być ironicznym narzędziem obłaskawiania grozy świata, gdyż dzielenie na wersy czyni rzeczywistość prostszą. Częściej jednak jest ostrzem wymierzonym przeciwko różnym społecznym zachowaniom i postawom: „Wróć do wycieczkowego busa (...) / udając, że nic nie widziałeś”. Między wierszami krytycznymi, nastawionymi na budowanie społecznej panoramy, pojawiają się pojedyncze głosy, mierzące się z indywidualną historią i zmieniającym się kształtem rzeczywistości. Wiersz „Dowód (nie)osobisty” to wyznaczenie kogoś, kto urodził się w nieistniejącym już kraju. Historia jest być może surogatką, ale za to poezja umożliwia wypowiedzenie (nie)osobowości.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ **Tatev Chakhian, DOWÓD (NIE) OSOBISTY**, przeł. Haik Howannisjan i Paweł Sakowski

TATEV CHAKHIAN (ur. 1992) jest ormiańską poetką, artystką wizualną, tłumaczką i redaktorką, laureatką kilku nagród literackich, przyznawanych w Armenii i w Polsce. Jej wiersze zostały przełożone m.in. na język niemiecki, polski, perski i rosyjski. „Dowód (nie)osobisty” (2016) to jej pierwszy tom poetycki.

Biblioteka poety



Selim Babullaoglu nieustannie nasłuchuje rzeczywistości – jest uważny, a jego czujność nakierowana jest przede wszystkim

na fałszywe nuty w lamentach i pochwałach wygłaszanych przy okazji długich rozmów o ojczyźnie. A o ojczyźnie, podzielonej i wiecznie bolącej niczym jątrząca się rana, rozmawia się tu dużo (w Polsce znamy to aż za dobrze). Poeta, samozwańczy strażnik języka, pilnuje, żeby nie popaść w fałsz albo banał. Już w pierwszym wierszu prowadzi filozoficzny dialog ze swoim młodym podopiecznym. Choć nie ma wszystkich odpowiedzi (a może właśnie dlatego), przestrzega przed wyborem najłatwiejszych dróg i rozwiązań. Gdyby tylko na tym poprzestał, byłby poprawnym, lecz nudnym i przewidywalnym piewcą praw. Na szczęście wzrok poety co rusz ześlizguje się w stronę piętrzących się na biurku książek. Tytuły kolejnych powieści układają się w różnorodną mozaikę, łączą się w nieoczywiste konstelacje, z których rodzą się nowe sensory. Nie pierwszy raz literatura ratuje przed nudą polityki i moralności.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

■ **Selim Babullaoglu, „NIE MA KTO PISAĆ DO PUŁKOWNIKA”**, przeł. Ilaha Karimova i Grażyna Zajac

SELIM BABULLAOGU (ur. 1972) jest azerskim poetą, tłumaczem i eseistą, członkiem Związku Pisarzy Azerbejdżańskich i Środkowoazjatyckiego PEN Clubu. Wydał trzy tomiki poetyckie, tłumaczone na kilkanaście języków, m.in. na turecki, rosyjski, angielski i polski („Poświęcone biciu serca”, 2007).

Ironia i polityka



Związki między poezją a polityką od zawsze były skomplikowane, a jeśli dodamy do tego jeszcze permanentną, przenikającą wszystko

ironię, uzyskamy równanie z trzema niewiadomymi. To właśnie na nim bułgarski poeta Plamen Dojnow, autor manifestu „Nowa poezja polityczna”, dokonuje skomplikowanych, ale jednocześnie spektakularnych operacji. Bohaterami jego tomiku są zwykli ludzie, przemykający ukradkiem gdzieś na marginesach codzienności. Ale to właśnie oni – babcia kłozetowa, sprzątacze ulic czy stare kobiety wzięte niemalże wprost od Różewicza – mają najwięcej do powiedzenia na temat świata i rządzących nim mechanizmów. Dojnow próbuje na nowo odzyskać język dla spraw najważniejszych, jednak jego polityczność nie ma nic wspólnego z partyjniactwem czy wyświechtanymi ideologiami. To raczej lekkie, napędzane śmiechem wznoszenie się ponad te zniewalające języki. Ironia, zaprzęgnięta do poetyckiej pracy, staje się tu bronią w walce o minimum wolności, bez którego życie staje się nieznośne.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

■ **Plamen Dojnow, SOFIA BERLIN**, przeł. Hanna Karpińska, Wojciech Gałązka, Dymitr Dobrew i Dorota Dobrew

PŁAMEN DOJNOW (ur. 1969) jest bułgarskim poetą, dramatopisarzem, eseistą i literaturoznawcą. Wydał dziewięć tomików poetyckich. Jego sztuki były wystawiane w teatrze radiowym i na bułgarskich scenach teatralnych. Pracuje w redakcji tygodnika literackiego „Literaturen westnik” oraz jako wykładowca na Nowym Uniwersytecie Bułgarskim.

Europejski Poeta Wolności

Świadomość jako metafora



„Biała burza przebudzenia”, debiutancki tom Erkki Filandera, to zapis wciąż na nowo powtarzanej próby zrozumienia przyrody. Nie odbywa się ono jednak na drodze intelektualnego opanowywania i estetycznego przetwarzania natury. Jest raczej rodzajem symbiotycznej więzi, angażującej i kształtującej zmysły. Pod wpływem doznań ze świata przyrody ludzkie ciało ulega przeobrażeniom. Skóra nie stanowi tu bariery oddzielającej „ja” od zewnętrznego świata – to tylko półprzepuszczalna warstwa, która pozwala zewnętrznosci przeniknąć w głąb człowieka. Wzajemność tej relacji staje się możliwa dzięki językowi poetyckiemu i pracy metaforą – szczególnym dla poety narzędziem, które pozwala językowi przesuwac znaczenia, aktualizując je w każdym kolejnym wersie. Metafory mają tu charakter somatyczny – dowartościowują cielesność, która percypuje świat, zanim jeszcze umysł wtrąci go w utarte koleiny poznania. Język tomu tworzy więc efekt bliskości ze światem, ale bliskości zawsze już przefiltrowanej przez poetycki obraz.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ **Erkka Filander, BIAŁA BURZA PRZEBUDZENIA**, przeł. Katarzyna Szal

ERKKA FILANDER (ur. 1993) jest fińskim poetą, najmłodszym laureatem nagrody literackiej gazety „Helsingin Sanomat” dla najlepszego debiutu, którą otrzymał za tom „Biała burza przebudzenia”. W 2016 r. ukazał się jego drugi tom, „Torso”, który otrzymał nominację do nagrody poetyckiej Tanssiva Karhu.

Nonszalancja i wdzięk



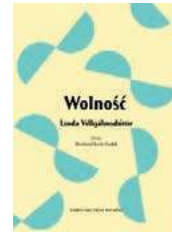
Wigman czyni swoją poezję wehikułem dla zwykłych opowieści – zasłyszanych na ulicy, w sklepie albo barze. W ostentacyjny i prowokacyjny sposób podkreśla nieważność – zarówno własną, jak i poezji w ogóle („Wtorek. Miasto podgląda miasto. Nic nie robić. / Nic nie chceć robić”). Jednak gra, którą z nami prowadzi, jest w oczywisty sposób bardziej skomplikowana i tylko od czytelnika zależy, jak głęboko zdecyduje się w nią wejść. Dodatkowego paliwa dostarcza tu klasycyzujący styl niderlandzkiego poety, dzięki któremu jego *désintéressement* nabiera dodatkowych rumieńców. Wigman nie oszczędza też innych poetów. Prowadzi ożywioną dyskusję z książkami z własnej biblioteczki (do której zagląda częściej niż gdziekolwiek indziej), a wszystko to bardzo dosadnym i mięsistym językiem. W efekcie otrzymujemy prowokację i nonszalancję zrównoważoną szczerym wdziękiem i bezpretensjonalnością.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

■ **Menno Wigman, NA IMIĘ MI LEGION**, przeł. Barbara Kalla i Adam Wiedemann

MENNO WIGMAN (1966–2018) był niderlandzkim poetą, eseistą i tłumaczem. W latach 2012–14 pełnił funkcję Poety Miejskiego Amsterdamu. Tworzył wiersze wygłaszane na pogrzebach osób samotnie zmarłych. Był laureatem dwóch prestiżowych nagród literackich: Jan Campertprijs (2002) i A. Roland Holst-Penning (2015). Zmarł 1 lutego 2018 r. w Amsterdamie z powodu przewlekłej choroby serca.

Poetyckie interwencje



Linda Vilhjalmsdottir pracuje na krótkich, skondensowanych komunikatach poetyckich, które w tomie „Wolność” służą dosadnemu nazwaniu destrukcyjnych mechanizmów i zachowań współczesnych społeczeństw zachodniego świata. Poetka wykorzystuje medium wiersza, by krytycznie spojrzeć na konsumpcjonistyczny świat zmierzający do samozagłady, w którym obietnica zysku i dominacji podporządkowuje sobie wszystko. „Zamiast grzebać mięso w ziemi / podjęto decyzję by rozpalić grilla / w celach dobroczynnych i zaprosić do ogrodu / najgorzej sytuowanych na darmowy lunch”. Słowo poetyckie jest tu palącym piętnem, które odciska się tak na współczesnych wyznawcach dobrobytu, jak i fasadowych orędownikach ekologii i empatii. Vilhjalmsdottir nie stoi jednak ponad komentowanym światem. Tkwi w nim głęboko, nie chce więc moralizować. Poezja zdaje się tu raczej narzędziem, pozwalającym stworzyć warunki do spojrzenia na rzeczywistość z ukosa i uruchomić interwencyjną krytykę.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ **Linda Vilhjalmsdottir, WOLNOŚĆ**, przeł. Jacek Godek

LINDA VILHJALMSDOTTIR (ur. 1958) jest islandzką poetką, autorką trzech tomów wierszy: „Bláþráður” (1990), „Klakabörninn” (1993) i „Wolności” (pisanej przez siedem lat, opublikowanej w 2015 r.). W 2003 r. ukazała się jej powieść „Lygasaga”. Pracuje dorywczo jako pielęgniarka w szpitalu w Reykjavíku, skąd pochodzi.

Jury

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI (ur. 1958) jest animatorem kultury, poetą i eseistą, współtwórcą Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach oraz Fundacji Pogranicze. Laureat Medalu św. Jerzego. Przewodniczący jury nagrody Europejski Poeta Wolności.

PAWEŁ HUELLE (ur. 1957) jest prozaikiem, poetą, eseistą, scenarzystą, redaktorem i wydawcą akademickim. Debiutował w 1987 r. głośną powieścią „Weiser Dawidek”. Laureat Paszportu „Polityki” (2001).

ANDRZEJ JAGODZIŃSKI (ur. 1954) jest tłumaczem, dziennikarzem, redaktorem. Przełożył na polski m.in. dzieła Hrabala, Kundery i Havla. Członek redakcji „Literatury na Świecie”. Sekretarz jury nagrody Europejski Poeta Wolności.

ZBIGNIEW MIKOŁEJKO (ur. 1951) jest filozofem religii, historykiem religii, eseistą, pedagogiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych w zakresie filozofii. Kierownik Zakładu Badań nad Religią i profesor nadzwyczajny w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.

STANISŁAW ROSIEK (ur. 1953) jest pisarzem, eseistą, historykiem literatury, wykładowcą Uniwersytetu Gdańskiego na Wydziale Filologicznym. Szef wydawnictwa słowo / obraz terytoria.

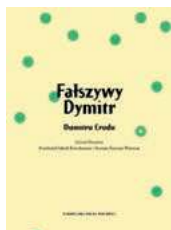
ANDA ROTTENBERG (ur. 1944) jest historyczką sztuki, krytyczką, kuratorką i publicystką. W latach 1993–2001 dyrektor Państwowej Galerii Sztuki Zachęta w Warszawie. Członkini Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki.

BEATA STASIŃSKA (ur. 1960) jest wydawczynią, redaktorką, współzałożycielką i przez lata redaktorką naczelną W.A.B. Wykłada na Podyplomowym Studium Wydawniczym UW. Należy do Rady Programowej Kongresu Kobiet, ruchu społecznego Obywatele Kultury i Polskiego PEN Clubu oraz Rady Funduszu Mediów.

OLGA TOKARCZUK (ur. 1962) jest pisarką, eseistką, scenarzystką i poetką. Laureatka Nagrody Literackiej „Nike” (2008 i 2015), Paszportu „Polityki” (1996) oraz Nagrody Kościelskich (1997).

Nominacje 2018

Samotność frakturysty



„Być samotnym bardzo samotnym / i pisać ten wiersz” – to właśnie owa samotność powołuje do życia Fałszywego Dymitra, dziwną postać, której oczami

patrzy na świat Dumitru Crudu. Dymitr pije, pasie świnię, patrzy na karaluchy i szczury – i wszystko to zapisuje. Nie robi nic nadzwyczajnego, otaczają go banalne rzeczy i zjawiska. Samotność nakazuje jednak je zapisywać, mnożyć rutynowe gesty i zestawiać w powtarzalność wyższego rzędu. A wszystko zgodnie z zasadą postulowaną w zawartym w zbiorze manifestie frakturyzmu, by odrzucić konwencjonalność języka potocznego. Paradoksalnie efekt ten można osiągnąć właśnie poprzez przesadne używanie potoczności. W końcu frakturyzm, technika poetycka Crudu, chce odzyskać konkretność języka i rzeczywistości. Jak? Na przykład przez zwrócenie uwagi na podmiot i doświadczenie przez niego wrażenia. Fałszywy Dymitr widzi świat poprzez samotność – puste butelki służą mu do nazwania swojego stani, a nie kreślenia tła. Przedmioty schodzą na drugi plan, na pierwszym niezmiennie pozostaje Fałszywy Dymitr i jego banalna intymność.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ *Dumitru Crudu, FAŁSZYWY DYMITR,*
przeł. Jakub Kornhauser
i Joanna Kornaś-Warwas

DUMITRU CRUDU (ur. 1967) jest moldawskim poetą, prozaikiem, dramaturgiem, krytykiem literackim i autorem książek dla dzieci. Píše po rumuńsku. Debiutował w 1994 r. zbiorem „Fałszywy Dymitr”, od tamtej pory wydał prawie 30 książek (tomów wierszy, dramatów i powieści) tłumaczonych na kilkanaście języków.

Pomiędzy



„Znasz słowo na bezsłowne, kiedy ziemia wybucha cykadami?” – pyta Alice Oswald w jednym z wierszy z tomu „Zapadać w jawę”. I jest

to pytanie zadane całkowicie serio, ze świadomością wszystkich swoich konsekwencji. Brytyjska poetka zabiera nas w miejsca zazwyczaj niedostępne dla naszego języka, gdzieś na sam kraniec naszej percepcji. I nie są to wcale podróże egzotyczne – wystarczy obudzić się kilkanaście minut przed świtem, aby znaleźć się w nieodokreślonym szarym międzyczasie światła i ciemności – „Titosos. 46 minut z życia jutrzeńki” to być może jeden z najpiękniejszych poematów o naturze światła, jakie powstały w angielskiej poezji. Ale miejsc, w których nazwane styka się z tym, co jeszcze na nazwanie czeka, jest u Oswald więcej, a w każdym z nich panuje niespotykany nigdzie indziej gwar. Słowa zderzają się tam co chwila, łączą się w nieoczywisty sposób ze sobą („parę snów ściele się po ścieżkach jak / pokrzywy / nadchodzą kaskady wczesności”). A wszystko po to, aby choć na chwilę zajrzeć w głąb tego, co pomiędzy.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

■ *Alice Oswald, ZAPADAĆ W JAWĘ,*
przeł. Magda Heydel

ALICE OSWALD (ur. 1966) jest brytyjską poetką, autorką siedmiu tomów poetyckich. Jej pierwszy tomik „The Thing in the Gap-Stone Stile” (1996) został wyróżniony Forward Prize for Poetry za najlepszy debiut. Laureatka wielu prestiżowych nagród, m.in. T.S. Eliot Prize, Warwick Prize czy Costa Poetry Award. Mieszka w Devon.

euuropejski poeta wolności



Festiwal Literatury
i Nagroda Literacka
23–25 marca 2018 r.
Gdańsk

www.europejskipoetawolnosci.pl

Gala wręczenia Nagrody w reżyserii
Wiktora Rubina odbędzie się 25 marca 2018 r.
w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim.

W programie Festiwalu m.in.:

Spotkania autorskie z poetami nominowanymi
do Nagrody EPW i ich tłumaczami

Rozmowa Korzenie wolności z udziałem
Krzysztofa Czyżewskiego, Miljenko Jergovicia,
Ilmy Rakusy i Jarosława Mikołajewskiego

Brzmi sensownie, rozmowa o wpływie poezji
na twórczość muzyczną z udziałem
m.in. Pawła Sołtysa i Agnieszki Szydtowskiej

Rozmowa Zagranice polskiej poezji z udziałem
m.in. Marka Kazmierskiego, Michaela Krügera
i Tadeusza Dąbrowskiego

Konfrontacje z udziałem Krystyny Dąbrowskiej,
Urszuli Koziół, Piotra Matywieckiego i Marcina Sendeckiego

Krytyczne kwadranse Leszka Szarugi
i Agnieszki Wolny-Hamkało

Spotkania z poetami sieci Versopolis: Kim Moore,
Dortą Jagić, Johanną Venho, Sigurbjörg Thrastardóttir

Wieczór czytania poezji, **slam poetycki**

Koncert Pablopavo i Ludziki

ORGANIZATORZY

instytut
kultury
miejskiej

GDANSK
miasto wolności

#wolnosc
kultury

PARTNERZY

UNIWERSYTET GDAŃSKI

ECS
europejskie
miasto wolności

GDANSKI
TEATR
SZEKSPIROWSKI

WM
SP

VERSOPOLIS

With the support of the
Creative Europe Programme
of the European Union

TYGODNIK
POWSECHNY

F I

RUMUNSKI
INSTYTUT
KULTURY

ICELANDIC
LITERATURE CENTER
HISTORIO-TELEWIZYONARNA

prchelvetia

PATRONAT MEDIALNY

Radio Gdańsk

wyborcza.pl
TROJMIASTO

trojmiasto.pl

jest
grane24

lubimyczytać.pl

empik

ZMYŚŁY

WINO, KTÓRE NIE JEST SOBĄ

ŻYJĄCY W I WIEKU N.E. Zkompilator przepisów kulinarnych Gajusz Apicjusz w słynnym „*De Re Coquinaria*”, pośród wielu niezwykle pożytecznych porad dla kupców i kucharzy podpowiada, „jak poprawić jakość kiepskiego wina”. Sposób jest nietrudny: do pół miary wina kiepskiego dodać pół miary wina dobrego. Wymieszać.

Jeśli przez wino „kiepskie” rozumiemy wino ze-psute, to mamy oczywiście receptę na nic innego jak jego fałszowanie. Jeśli jednak „kiepskie” oznacza po prostu „niedobre”, to ta sama operacja niczym się nie różni od powszechnego w świecie win stołowych kupażowania lepszych i gorszych produktów celem osiągnięcia produktu akceptowalnego. Bywa zatem, że kupaż od fałszu dzieli jeden niewielki krok.

Przekonali się o tym jakiś czas temu producenci z legendarnego tokańskiego Montalcino (w tym słynny Frescobaldi), oskarżeni o doprawianie swoich Brunello di Montalcino zabronionymi przez apelację dodatkami win z odmian francuskich, czy wręcz gotowymi winami z Południa Włoch. Równie głośno było wówczas, gdy część winiarzy nowozelandzkich, spostrzegłszy, że ludzkość zagustowała w zielonych, porzeczkowo-pokrzywowych aromatach tamtejszych odmian sauvignon blanc, poczęła dodawać odpowiedzialny za tę nutę aromatyczną związek chemiczny, tzw. pirazyny, w formie syntetycznej.

A co z wielkimi bordoskimi châteaux, w których tradycyjnie podkrećcano porzeczkowość cabernetów za pomocą... porzeczki? A dokładnie – słynnego porzeczkowego likieru crème de cassis?

Wino fałszowano, odkąd istnieje.
Kto wie, czy podrabianie wina
nie należy, w pewnym
szczególnym sensie,
do istoty samego winiarstwa.

MICHAŁ BARDEL

Można coś tam dodać

Historia zna mnóstwo sposobów fałszowania wina. Za najbardziej powszechne i mające bodaj najdłuższą tradycję uchodzi dodawanie do wina wody. Przy czym odróżnić należy tu rozpowszechniony w starożytnej Grecji zwyczaj rozcieńczania gotowego wina zimną wodą lub śniegiem od prostackiej metody na zwiększanie objętości wina, wystawianego na sprzedaż przez samego kupca lub producenta.

Wbrew pozorom ten zwyczaj wcale nie został dziś zarzucony, choć dodawanie wody służy obecnie nieco innym celom – chodzi o zmniejszenie potencjalnej mocy wina. Jednym z bardzo dobrze znanych winogrodnikom skutków ocieplenia klimatu jest bowiem dziś – szczególnie w klimacie śródziemnomorskim – nadmierna ilość cukru wytwarzana przez grona, a co za tym idzie – zbyt wysoki poziom powstającego z niego podczas fermentacji alkoholu w wytrawnych winach. Winiarze w Kalifornii już kilkanaście lat temu wywalczyli sobie prawo uzupełniania niewielką ilością wody moszczu winnego przeznaczonego do fermentacji, co pozostaje sprawą kontrowersyjną i szeroko

dyskutowaną. W Europie wciąż zakazane jest dodawanie wody na jakimkolwiek etapie procesu winifikacyjnego, choć tajemnicą poliszynela jest, że wielu winiarzy Południa wbrew zakazowi właśnie w ten sposób radzi sobie ze zbyt dojrzałymi owocami.

Zakazany jest także w większości krajów winiarskich świata jakikolwiek dodatek substancji aromatycznych. Tymczasem doprawianie wina ziołami, żywicą, miodem i rozmaitymi sokami było w epoce starożytnej na porządku dziennym: zioła i żywica pozwalały lepiej zakonserwować wino, miód je dosłodził, zaś soki pozwalały uzyskać dodatkowe nuty zapachowe. Jeszcze w XVIII w. można było spotkać w naszym kraju fachową literaturę poświęconą doprawianiu wina, czego wówczas nikt nie uznawał za działanie wbrew sztuce, a tym bardziej czyn przestępczy. Czasów antycznych wreszcie sięga także tradycja wyrabiania win leczniczych, w których sam prefermentowany sok z winogron służył jako nośnik i utrwalał dla uzdrawiających ziół. Wina chinowe czy pepsynowe z powodzeniem stosowano w lecznictwie europejskim późnej nowożytności – w Polsce zaś ostatnie ich receptury pojawiają się w literaturze fachowej jeszcze w latach 60. ubiegłego stulecia.

Można się upodobnić

Podobnie mało wyrafinowanym sposobem fałszowania wina jest – doskonale znana choćby z branży odzieżowej – metoda podszywania się pod znaną markę.

W Chinach, które uchodzą od co najmniej dekady za rynek o potężnym winiarskim popycie wprost proporcjonalnym do winiarskiej ignorancji, co rusz słyszy się o takich, zazwyczaj zdumiewająco bezczelnych, praktykach. W sklepach nietrudno znaleźć butelkę Benfoldsa (identycznego literaczo co słynny Penfolds), zaś z końcem ubiegłego roku świat obiegła wieść o wystawieniu na rynek przez pekińską firmę Shanghai Haotuo kilkunastoletniego wina z apelacji Côtes du Rhône Villages Sablet za cenę... 15 tys. dolarów za butelkę. Fakt, że była to butelka o pojemności sześciu litrów, nie usprawiedliwia wcale tak zawrotnej ceny, podobnie jak to, że butelkę taką fachowcy nazywają Matuzalemem, w żaden sposób nie usprawiedliwia podeszłego wieku i – jak się możemy domyślać – kiepskiej kondycji samego wina.

Na co więc liczyli w Shanghai Haotuo? Ano nie bez podstaw pewnie wyobrazili sobie, że jeśli nazwę producenta („France Henris Co Ltd.”) zapiszą chińskim alfabetem, z dość tajemni-

czych przyczyn będzie ona w tym języku brzmieć bardzo podobnie do... „Moët Hennessy”. Moët Hennessy zaś, podobnie jak Romanée-Conti, Château Lafite, Dom Pérignon itd., to hasła, na których dość często zaczyna się i kończy winiarska kindersztuba najbogatszych miłośników wina w Pekinie. Fakt, że Moët Hennessy, część monstrualnej grupy biznesowej LVMH (Louis Vuitton Moët Hennessy), nie produkuje wina w Dolinie Rodanu, nie miał tu – jak widać – wielkiego znaczenia.

Można też podrobić

O wiele bardziej wyrafinowaną, bo wymagającą już pewnej wiedzy, doskonałych umiejętności kamuflażu i długoletniego budowania swojego image'u, pozostaje metoda podrobienia istniejących wielkich i drogich win. Pod pewnymi względami przypomina ona zresztą fałszowanie obrazów czy innych dzieł sztuki. Przedmiotem inkryminowanych zabiegów bywają tu wyłącznie pojedyncze butelki (ew. skrzynki, tj. sześć lub dwanaście butelek) win kolekcjonerskich, ze starych i bardzo starych roczników, wystawiane na licytacjach przez wielkie i znakomite domy aukcyjne.

Fałszerstwo polega tu najczęściej na spreparowaniu unikalnego dzieła sztuki winiarskiej już to przez podrobienie etykiety (rzadko), już to przez wykorzystanie autentycznej pustej butelki i etykiety jakiegoś wielkiego wina, by sprzedać ją ponownie, napełnioną zupełnie innym winem. Fałszerz musi zadbać w tym przypadku o jakość zastępczego wina (zwykle „wytwarza” takich butelek kilka, jedno czy dwa mogą zostać przeznaczone na ekskluzywną, biznesową degustację w towarzystwie znawców), a także o jego odpowiednie zamknięcie (korek musi być w odpowiednio „zużytym” stanie, nie mieć na sobie śladów jakiegokolwiek manipulacji itp.).

Casus Kurniawana

Najsłynniejszy w ostatnich latach fałszerz wina, Rudy Kurniawan, Indonezyjczyk osiadający właśnie w kalifornijskim więzieniu dziesięcioletni wyrok, zasłynął swoistym *modus operandi*, w ramach którego podczas koneserskich degustacji otwierał autentyczne i piekielnie drogie wina, a następnie skrzętnie kolekcjonował... pozostałe po nich puste butelki, by raz jeszcze wykorzystać je podczas aukcji. Sztuka polegała na tym, by zdobyć zaufanie klientów podczas poprzedzających licytację wytwornych popijaw (bywali na nich wielcy tego świata, Jackie Chan miał tańczyć na stole z butelką Petrusa, wznosząc głośne toasty za zdrowie Rudy'ego).

Aukcje z udziałem Kurniawana przeprowadzały najsłynniejsze domy maklerskie na zachodnim i wschodnim wybrzeżu ➔

→ USA. Wydawałoby się, że zatrudniają one specjalistów zdolnych zapobiec takim sztuczkom. Sprawa nie jest jednak tak prosta. Sfałszowany obraz można poddać wszelkim możliwym badaniom przed jego wystawieniem pod młotek. Butelkę wina trzeba by było w tym celu otworzyć. Kupowanie otwartych butelek wina nigdy nie cieszyło się jednak specjalną popularnością. Poza tym możemy tylko domniemywać, że Rudy Kurniawan niekoniecznie działał sam.

W ostatnich dekadach nie tylko zwiększyła się liczba samych fałszerzy. Wraz z szerokim otwarciem rynku azjatyckiego pojawiła się też pokaźna liczba winnych paserów. Falszowane flaszki nie przechodzą już przez ręce nieświadomych i niedouczonej marszandów – coraz więcej spośród kupców wina świadomych jest tego, że zawartość butelki nie zgadza się z etykietą. Falszerstwo winne wkroczyło w ostatnich dekadach na grunt coraz lepiej zorganizowanej przestępczości. Statystyki zdumiewają: na rynku chińskim można obecnie kupić więcej butelek bordoskiego Château Lafite, niż kiedykolwiek zostało wyprodukowane, zaś wedle znawczyni tematu Maureen Downey co druga butelka wystawiana na aukcjach w tym kraju uważana jest za podróbkę (co piąta w Europie i USA). Laurent Ponsot, który zde-

(tej i wielu innych degustacji) znalazły się tak prominentne postaci świata wina jak Robert Parker Jr., Jancis Robinson czy Michael Broadbent.

Już w późnych latach 90. ubiegłego wieku pojawiły się doniesienia kwestionujące autentyczność niektórych win z kolekcji Rodenstocka. Słynna bordoska posiadłość Château Petrus nie mogła sobie na przykład przypomnieć, by kiedykolwiek wyprodukowała roczniki 1921, 1924, 1926, 1928 i 1934 zapakowane w butelki typu Imperial (także sześciolitrowe, jak wspomniany Matuzaleum). Część tych – niemających prawa istnieć – win wystawił do degustacji, a następnie także sprzedał Hardy Rodenstock.

Wina prezydenta Jeffersona

Najsłynniejsza jednak dyskusja – tocząca się właściwie do dziś – dotyczy legendarnych win odkupionych rzekomo przez Rodenstocka od człowieka, który w starych paryskich piwnicach dokopał się przez przypadek do kilkunastu (później, w miarę jak spieniężał kolejne butelki, Rodenstock mówił już o trzydziestu kilku) bardzo starych, bo datowanych na końcówkę XVIII wieku, win opatrzonych inicjałami „Th.J.”. A ponieważ nie jest tajemnicą, że w latach 80. XVIII w. przebywał w Paryżu Thomas Jefferson, skądinąd znany miłośnik i kolekcjoner wina, nietrudno było dać się ponieść fascynującej wizji wejścia w posiadanie fragmentu kolekcji trzeciego z prezydentów Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Kiedy jednak w 2005 r. jeden ze szczęśliwych nabywców kilku butelek sygnowanych „Th.J.” postanowił pokazać je na wystawie w pewnym bostońskim muzeum, okazało się, że dla muzealników przedstawione dowody autentyczności butelek nie są wystarczające. W miarę, jak kolekcjoner próbował pozyskać nowe, legenda zaczęła się niebezpiecznie sypać.

Wkrótce zaangażowanie FBI oraz wybitnych specjalistów od starych roczników win z domu aukcyjnego Sotheby's doprowadziło do postawienia Rodenstocka przed sądem. Milioner nie zjawiał się jednak na żadnej z rozpraw, odmówił ujawnienia personaliów człowieka, od którego nabył wina, do dziś także nie znamy adresu słynnej paryskiej piwnicy. Rodenstock nie zgodził się również, by zawartość pozostałych w jego posiadaniu butelek „Th.J.” została przebadana przez Bundesanstalt für Materialforschung – laboratorium, które zasłynęło m.in. w wykazaniu nieautentyczności słynnych dzienników Hitlera.

*Próba najdroższego wina świata Château d'Yquem, rocznik 1887, pierwszy z prawej Hardy Rodenstock. Wiesbaden, maj 1987 r.
Po prawej butelka Château d'Yquem z 1973 r.*



PETER BISCHOFF / GETTY IMAGES



Korki i nalepki sfalszowanych przez Kurniawana win; sąd federalny w Nowym Jorku, grudzień 2013 r.

maskował nieczne poczynania Kurniawana, idzie jeszcze dalej twierdząc, że cztery na pięć wszystkich wielkich burgundów sprzed 1980 r. to fałszywki.

Casus Rodenstocka

Kurniawan skończył w więzieniu, tu wina nie podlegała kwestii – w jego mieszkaniu (a mieszkał z mamą na przedmieściach Los Angeles) znaleziono fałszywe etykiety, puste butelki, spreparowane korki i zapas kalifornijskiego pinot noir, na którego skrzyniach Rudy nakreślił „RC 40s/50s”, co zapewne oznaczało, że miały się stać surowcem na kolekcjonerskie butelki najdroższych wytrawnych win świata – Romanée-Conti w rocznikach 40. i 50. Zupełnie inaczej skończyła się równie słynna afera z Hardym Rodenstockiem w roli głównej.

Ów urodzony podczas wojny w Kwidzynie (wówczas Marienwerder) niemiecki wydawca oddający się przez długie dekady pasji kolekcjonera win miał zwyczaj – podobnie jak Kurniawan, tyle że w Niemczech – organizować niezwykle wystawne degustacje, na które przeznaczal wina ze swojej potężnej kolekcji. Do historii przeszła trwająca tydzień degustacja najdroższego i najwybitniejszego ze słodkich win Château d'Yquem z roczników sięgających lat 80. XVIII w. Podano podczas niej 175 win, a wśród gości

Przebadano więc inne butelki z kolekcji Rodenstocka – w maju 2008 r. ukazała się słynna książka Benjamina Wallace'a „*The Billionaire's Vinegar*” („Ocet miliardera”), w której twierdził, że badania radiowęglowe zawartości inkryminowanych butelek jednoznacznie wskazują, iż wino to wyprodukowano w latach 60. XX w.

W 1992 r. sąd niemiecki uznał, że Rodenstock był w pełni świadomy, iż sprzedaje nieautentyczne wina. Sąd apelacyjny oddalił jednak zarzuty przeciw kolekcjonerowi.

Co ciekawe, wielkie fałszywki nie raz i nie dwa uwodziły najwybitniejszych znawców. O wspomnianym Petrusie 1921 w butelkach magnum (który nigdy nie został wyprodukowany) Robert Parker Jr. twierdził, że wykracza poza skalę stupunktową. Jancis Robinson do dziś wierzy, że Château d'Yquem 1811 z kolekcji Rodenstocka należało do największych win, jakie w życiu piła.

Szkoda, że nigdy nie dowiemy się, co tak naprawdę kryło się pod podrobionymi etykietami.

Fałszerstwa na wielką skalę

Wina, o których mówimy, pozostają poza zasięgiem zainteresowania i kieszeni większości z nas. Istnieją wszakże przypadki, i wcale ich niemało, gdy fałszerstwo w winnym biznesie dotyka przeciętnego klienta. Są o wiele mniej spektakularne, trudno jednak o nich nie wspomnieć, bo sami padamy nierzadko ich ofiarami.

Wystarczy, że ktoś wyprodukuje lub kupi bardzo tanie wino, a następnie zabutelkuje i zaetykietuje je jako produkt pochodzący z innego (lepiej winiarsko pozycjonowanego) kraju lub wyżej cenionej apelacji winiarskiej. Kilka tygodni temu postawiono zarzuty o tego rodzaju fałszerstwo pewnej firmie ukraińskiej, która wprowadziła na rynek swoje wino jako gruzińskie. W ubiegłym roku także w Polsce zakwestionowano sporą ilość rzekomo gruzińskiego wina.

Gruzja zresztą w tym względzie ma sporego pecha. W 2006 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) wydała komunikat stwierdzający, że aż 90 proc. gruzińskiego wina sprzedawanego poza Gruzją jest w ten czy inny sposób nieautentyczna (najczęściej po prostu nie pochodzi z Gruzji). Komunikat ten okazał się zresztą bardzo na rękę Rosji, która w tym samym roku objęła wina gruzińskie kolejnym embargiem.

W czerwcu ubiegłego roku zatrzymany został prezes francuskiej Raphael Michel – założonej w 1899 r. potężnej wytwórni wina opodal Orange. Postawiono mu zarzut wprowadzenia na rynek gigantycznej ilości stołowego wina pod etykietami słynnych rodąńskich apelacji (m.in. Châteauneuf-du-Pape). Co interesujące, choć nie nadzwyczajnie zaskakujące, przyczynkiem do objęcia negocjanta dyskretną kontrolą odpowiednich służb, a następnie postawienia przed sądem w Carpentras, nie były bynajmniej skargi wystawionych do wiatru konsumentów. Guillaume Ryckwaert wpadł, bo coś tam nie zgadzało się w fakturach.

Rzecz w świecie wina dość banalna i spotykana: u jednego z włoskich producentów zamieszanych

w słynną jak świat długi i szeroki aferę metanolową (1986 r.) także znaleziono podobno w papierach... fakturę na zakup dużej ilości metanolu, którego śmiertelny dodatek do wina spowodował zgon przeszło dwudziestu miłośników barbery.

W ogóle powody, dla których wpadali najwięksi fałszerze wina w historii, zwykle zdumiewają nas swoją banalnością. Jako się rzekło, Rodenstock częstował gości niemającymi prawa istnieć rocznikami Petrusa, zaś Rudy Kurniawan potknął się był o własną ignorancję (a może raczej tupet?), butelkując i etykietując w domowym zaciszu Ponsot Clos Saint-Denis Grand Cru z roczników 1945–1970 zamiast Christine Ponsot Clos-Saint Denis (inny producent, podobna nazwa, tyle że pierwsze z win debiutowało dopiero w latach 80.).

Jak rozpoznać podróbkę

Kiedy opowiadam o takich przypadkach studentom wiedzy o winie, nieodmiennie pojawia się pytanie: „Czy jesteśmy w stanie rozpoznać podrabiane wino? I jak to zrobić?”. Odpowiedź jest prosta: nie jesteśmy. Skoro takie sławy jak Jancis Robinson, Robert Parker czy Michael Broadbent dały się uwieść butelkom, które nie były sobą, to tym bardziej dla nas nie ma ratunku.

Owszem, tam gdzie w grę wchodzi bardzo stare roczniki, może pomóc datowanie radiowęglowe, ale do tego potrzebne jest nie byle jakie laboratorium. Specjaliści od podrabianych win zwykle potrafią bez trudu orzec, czy wino zamknięte jest oryginalnym korkiem, czy był wymieniany itp., choć w tym przypadku – jak i w wielu innych – technologia staje raczej po stronie przestępców: w każdym dobrym sklepie winiarskim można się dziś zaopatrzyć w urządzenie, dzięki któremu nakłuwając umiejętnie korek wydobędziemy z butelki pożądaną ilość wina. Urządzenie wynaleziono po to, by można było bez szkody dla tego, co we flaszcze pozostaje, sprawdzić jakość trunku. Ale – jak to z wynalazkami bywa – można go również użyć w mniej szlachetnych celach. Nie trzeba dodawać, że po takiej chirurgicznej operacji na korku nie pozostaje najmniejszy ślad.

Odpowiednio przygotowanych fachowców potrzeba także do wykazania, że – dla przykładu – dana partia wina nie została wyprodukowana zgodnie z apelacją (nazwą zastrzeżoną). Pewna działająca na wyobraźnię legenda opowiada o dużej grupie tirów zawróconych lata temu z niemieckiej granicy przez zespół enologów, który był w stanie na miejscu zawyrokować, że przewożonym przez nie winom brakuje odpowiedniej zawartości alkoholu, by mogły być sprzedawane jako medoki, gravesy czy st-emiliony.

Tymczasem szary prosty konsument zawsze był i będzie bezradny wobec tego zjawiska. Czy jednak szary prosty konsument koniecznie potrzebuje wiedzy na temat pochodzenia wina, które mu smakuje? „Jeśli podaje się podczas degustacji podrobione wino i nikt nie zwraca na to uwagi – pisze Wallace w zakończeniu „*Billionaire's Vinegar*” – czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie, gdyby było prawdziwe?”.

© MICHAŁ BARDEL



DOMENA PUBLICZNA

STANISŁAW

Mancewicz:

Relaks



NIEDZIELNE WIZYTY W MARKETACH BUDOW-
lanych już dawno uznaliśmy za najsensow-
niejszy sposób spędzania wolnego czasu.
Jakże często relaksowaliśmy się, wachając
tam plastikowe kwiatki, przeglądając oferty
młotków, wsłuchując się w muzykę tła

zwaną muzakiem bądź w trele ptactwa puszczane z głośników
w działach ogrodniczych. Jakiś czas temu, z opóźnionym reflek-
sem, skonstatowaliśmy, że sklepy, zwłaszcza duże, bo małe nie-
koniecznie, są całkowicie wolne od smogu polityki. Zważywszy,
że wszystkie pozostałe przestrzenie – służbowe, domowe, towa-
rzyskie bądź uliczne przymuszają nas do wdychania tych opa-
rów. Wpadamy przez to co rusz w bąbel śmiertelnego znudze-
nia – a mówimy bardzo szczerze: od wczesnego dzieciństwa
nuda to nasz podstawowy problem w funkcjonowaniu pośród
ludzi. Odkrycie, że planety sklepów wielkopowierzchniowych
nas nie męczą, nie nudzą, że nas wręcz ciekawią, było krokiem
milowym w gonieniu nudy i zwiotczaniu sobie mięśni gładkich
oraz prądkowanych poprzecznie.

Chwile spędzone w wielkich sklepach dają nam zawsze so-
lidną próbkę polskiej intymności, bo to tam wsłuchujemy się
w szepty i krzyki, a to w sprawie kolorów farb, a to tapet bądź
kafli. Szepty te i krzyki dają nam też pełną orientację, że oto po-
między regałami, a nie w polityce, płoną najpoważniejsze po-
działy i gotują się konflikty. To tam mamy do czynienia z naj-
boleśniejszymi zranieniami. To stamtąd, z odległych od akade-
mii sztuk pięknych hal, płynie Nil tutejszej estetyki. Tam biją

serca polskiej Prowansji i Toskanii. Oto obserwacje te i nasłuch
skutecznie zwalniały nas z powracających i kompulsywnych
rozmyślań nad fenomenem klinicznego lewactwa polskiej pra-
wicy. Mamy tu na myśli miliony lewych rącek i nóg, w które
natura ludzi owej formacji wyposażała z osobliwym naddat-
kiem, godnym obficie ilustrowanego atlasu.

Rzecz jasna pełni tych wrażeń można było zaznać tylko w nie-
dzielę, w rzekomo święty dzień rodziny polskiej. Dni powsze-
dnie są w marketach zaledwie okazją do specjalistycznych ba-
dań nad fachowcem polskim w permanentnej irytacji. Jest to za-
jęcie co najmniej równie nużące jak uczestniczenie w dyskusji,
której założeniem jest magiczna teza, że w Polsce nie ma anty-
semityzmu. Ponieważ niedziele uznano właśnie za dni przy-
musowo wolne od tego typu handlu i nasze oazy wypoczynku
czynnego w tych dniach zamknięto, pozostała nam ostatnia
rozrywka z tego gatunku, czyli jeżdżenie tramwajami.

Podróż tramwajem w celach rozrywkowych ma oczywiście
wadę podstawową. To przymus wniesienia opłaty i ograni-
czony horyzont obserwacyjny, zamknięty pojemnością pudła
wagonu bądź tłokiem, co skutecznie hamuje ekspresję zarówno
werbalną, jak i fizyczną. Zaletami jest możliwość bawienia się
na siedząco, będąc jednakowoż w ruchu, i powab w sklepach
niespotykany: mianowicie w tramwajach ludzie, jeżeli już roz-
mawiają, też przez telefon, to rzecz jasna albo o tym, co zjedli,
albo o chorobach. Zaprawdę trudno o lepszy niż tramwaj punkt
obserwacyjny, jeśli idzie o badania nad różnorodnością zaka-
żeń wśród ludności polskiej. Jest i coś jeszcze: to tramwajowe
monitory, na których niejako mimochodem podawane są no-
winy ze świata. Parę dni temu, gdyśmy jadąc przysłuchiwali
się interesującym zwierzeniom współpasażerki na temat drę-
żącego ją uczucia balonienia głowy, co jest oczywistym obja-
wem tzw. syndromu kuchni chińskiej, na monitorze pojawił
się lakoniczny komunikat: „Uczeni odkryli w mózgu sygnał
zrozumienia”. Gdzie? U kogo? – zakrzyknęliśmy, zwracając na
siebie uwagę podróżnych. Niestety detali owego odkrycia na
ekraniku nie wyświetlono. Najpewniej był to kolejny *fake news*.
Tak mniemamy. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

PRZEDSTAWIAJĄ:

NIEZASTĄPIENI

SCENARIUSZ I REŻYSERIA
ŻYCIE

DZIECKO
KASIA

RODZICE
BRAK

BOHATER
TY I TWÓJ **11%**



ŻYCIE TO NIE FILM,
ALE MY ZASTĘPUJEMY
NIEZASTĄPIONYCH.

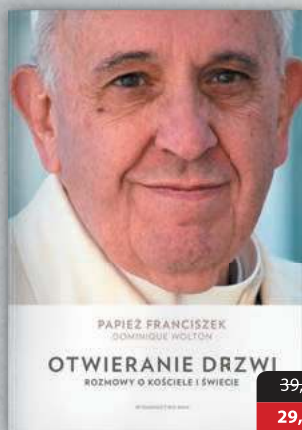


SOS WIOSKI DZIECIĘCE TO MIEJSCE, GDZIE OPUSZCZONE DZIECI ZNAJDUJĄ NOWY DOM I RODZINĘ.

PROSIMY PRZEKAŻ NAM **11%** PODATKU.

WWW.DZIECISOS.ORG

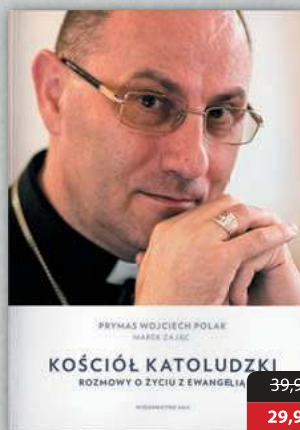
KRS 0000 056 901



39,90 zł

29,92 zł

W rozmowie z francuskim intelektualistą papież Franciszek odważnie opowiada o życiowych doświadczeniach, które go ukształtowały. Pierwszy raz tak szeroko kreśli wizję naprawy świata i Kościoła.

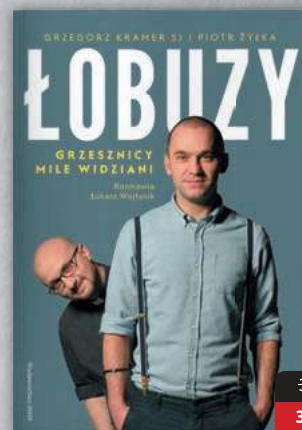


39,90 zł

29,92 zł

Kiedy Kościół jest najwienijszy swojemu powołaniu? Co sądzi o rozwodnikach? Jaki jest jego stosunek do nacjonalizmu i uchodźców? Czego uczy o wierności własnemu sumieniu?

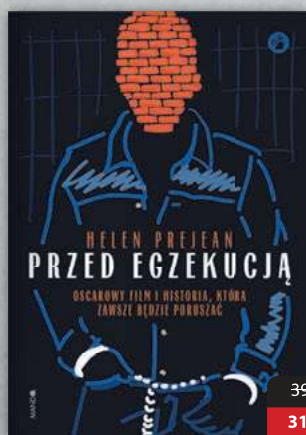
Marek Zając pyta arcybiskupa Wojciecha Polaka, Prymasa Polski.



39,90 zł

31,92 zł

Czy Kościół może być normalny? Bez tematów tabu, pouczania i krzywdzenia innych? Grzegorz Kramer SJ i Piotr Żyłka w szczerej rozmowie z Łukaszem Wojtusikiem. Ta książka pozwoli Ci zobaczyć zupełnie inny wymiar chrześcijaństwa.



39,90 zł

31,92 zł

Wstrząsająca opowieść i głośny apel społeczny. Przejmująca historia walki o godne traktowanie skazanych na śmierć nikogo nie może pozostawić obojętnym. Książka trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”, była również nominowana do Nagrody Pulitzera.



39,90 zł

31,92 zł

Epicka opowieść, którą czyta się z narastającym zdumieniem. Autor podąża czarnymi ścieżkami ropy. Tropi gigantyczne interesy paliwowe, ujawnia kontrowersje i rzuca światło na jej awanturniczą historię.



34,90 zł

27,92 zł

Monika Milewska w genialny sposób połączyła historię z humorem w fascynującej fabule. To literacki majstersztyk, który na długo pozostaje w pamięci.



44,90 zł

33,67 zł

WALKA Z RAKIEM
I ŻYCIE POŚWIĘCONE
HOSPICIUM

ROZPACZ PO
PRZENIESIENIU DO PUCKA

OSTRE
KONFLIKTY Z ARCYBISKUPEM

PRZYJĘCIE DO SEMINARIUM DZIĘKI
PROTEKCJI WPŁYWOWEGO
POLITYKA

SKOMPLIKOWANE
RELACJE Z „SYNKAMI”